www.tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 22 (1116)
24-30.05.2021
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Gen. Jaruzelski w dziennikach prof. Andrzeja Walickiego

Dr Mariusz Sawa
Zwolniony z IPN za rzetelność

Dr Wojciech Wilk
W Iraku działy się rzeczy straszne

Hanna Stolińska
Superżywność na odporność

Jak zmieniło życie Polaków?

500+ HIT CZY KIT?

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
22 >
9 771509 311102

eprasa.pl/4b004544af

COLLEGIUM NOBILIUM

TEATR

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM JUŻ OTWARTY!

WWW.TCN.AT.EDU.PL
UL. MIODOWA 22/24, WARSZAWA

Jerzy Domański

Wiarygodni na opak

Maszerują. Szeroką ławą dziarsko maszerują w orkiestrze pod batutą Kaczyńskiego. Orkiestra co prawda ciągle fałszuje, ale dyrygent ma swoje sposoby, by ją jakoś trzymać w kupie. A przy tym sprytnie dba, by mu nie uciekła widownia. Co nie jest aż tak trudne, bo niemrawa opozycja trwa w jakimś paraliżu i niemocy.

Obraz, jaki najczęściej oglądają Polacy, wypełniony jest konsekwentną propagandą mediów rządowych, powtarzających, i to po wielekroć, tylko to, co tej władzy jest na rękę. Pisowskie media wspiera chór tysięcy beneficjentów rządzącej prawicy. Jedni i drudzy mają osobisty interes w tym, by nikt im nie zatrzasnął drzwi do kasy. Posad, które dostali po kumotersku, będą bronili na wszelkie możliwe sposoby. I dopóki są częścią posłusznej i zdyscyplinowanej armii, odspawanie ich od stołków będzie trudne.

Najsłabszą stroną tych kadr, oprócz rażącej niekompetencji, jest równa tym brakom arogancja, z jaką traktują wszystkich, którzy nie należą do układu i nie popierają PiS. Ale że jest to matematyczna większość, moment, w którym jej cierpliwość się skończy, może być całkiem bliski.

Dobrze, że wreszcie pieniądze popłyną do tych, którzy materialnie są pod kreską. Wyższa kwota wolna od podatku po sześciu latach rządów PiS nie jest żadną łaską. W tej sprawie gorzej w Europie nie ma już nikt. Dodatkowe środki dla rodzin, ujęte w nowym programie wyborczym PiS, są w większości krajów Unii od dawna. Dobrze więc, że zaczynamy równać choćby do tych, którzy też są bliżej końca. Podobnie jest ze zniesieniem opodatkowania najniższych emerytur.

Za to, że prawica dojrzała do realizacji starych programów lewicy, należy się rządzącym plus.

Ale na to, co chcą zrobić z edukacją, nie ma zgody. Zamiast poprawy jakości kształcenia szykują nam marsz do tyłu. Ta ekipa, z Morawieckim i Czarnkiem na czele, nie widzi dość oczywistego związku między wiedzą, kreatywnością, otwartością i umiejętnością współpracy między ludźmi a przyszłością Polski. A przecież inwestowanie w ludzi to najlepszy kapitał i najkrótsza droga do realizowania ambitnych pomysłów.

Tym, co od razu stawia pod wielkim znakiem zapytania wiarygodność twórców Polskiego Ładu, jest stek kłamstw, jakimi opisują wszystko, co było przed obecnymi rządami. Po tylu bredniach niczego mądrego nie warto się spodziewać.

Na cmentarzu Wilanowskim pożegnaliśmy **Andrzeja Kratiuka**. Przyjaciela naszej redakcji. Mądrego, dobrego i bezinteresownego człowieka. Bardzo nam pomagał.

Andrzeju, nie zapomnimy.

BĄKOWSKI

PRZEDSPRZEDAŻ
KUP E-BOOK
W SPECJALNEJ CENIE
~~29,90 zł~~ 19,90 zł
ZAPISZ SIĘ
DO NEWSLETTERA,
OTRZYMASZ
FRAGMENT KSIĄŻKI
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
Andrzej Andrusiewicz
Buntownicy i marzyciele

CYTATY

RADEK RAK, pisarz
W połowie XIX w. dla wszystkich było oczywiste, że chłop to zwierzę, które pracuje w polu, żeby pan mógł żyć jak człowiek.
„Tygodnik Powszechny"

KS. PROF. ALFRED WIERZBICKI, etyk i teolog, KUL
Duża część biskupów myśli tak jak ojciec Rydzyk.
„Polityka"

eprasa.pl 4b004544af

W NUMERZE

KRAJ

8 **Nikt ci tyle nie da, ile Morawiecki obieca**
Pisowskie zapowiedzi a rzeczywistość

12 **500+ hit czy kit?**
Jak zmieniło życie Polaków

18 **Zmęczeni zdalnym studiowaniem**
Porażki uczelni online

21 **To była ucieczka**
– rozmowa z dr. Wojciechem Wilkiem

54 **Kasia: samotna dziewczyna**
– rozmowa z Moniką Całkiewicz

SYLWETKI

26 **Prof. Walicki o generale Jaruzelskim**
Odpowiedzialność Generała, małość polityków prawicy

HISTORIA

28 **Konflikt pamięci**
– rozmowa z dr. Mariuszem Sawą

ZAGRANICA

32 **Manifestacje od Stambułu po Londyn**
Izraelsko-palestyński konflikt dzieli Europę

34 **Jak zamknąć Indie**
Pandemiczna tragedia subkontynentu

36 **Londyn w rękach lewicy**
Nowa kadencja burmistrza Sadiqa Khana

40 **U progu wojny o wodę**
Spór Egiptu, Sudanu i Etiopii

ZDROWIE

42 **Superżywność**
– rozmowa z dr Hanną Stolińską

KULTURA

45 **Qulturalia**

46 **Dziewczyna szatana**
Malv Miel – artystka niepokorna

48 **Miejsce krytyków zajęli influencerzy**
– rozmowa z Pietrem Marcellem

66 **Krzysztof M. Bednarski. Symbole życia po śmierci**

ZWIERZĘTA

50 **Złota, Źródlak i reszta**
Pogotowie dla jeży

53 **Zwierzęta na tropie COVID-19**
Czy mogą zastąpić testy?

TECHNOLOGIE

58 **Powrót do lotów**
Katastrofy promów kosmicznych

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Wiarygodni na opak

17 **Jan Widacki**
Nowy ład opozycji

25 **Andrzej Romanowski**
Dziedzictwo Komuny

31 **Roman Kurkiewicz**
Mamy marzenia: batożenie, dożywocie, śmierć

39 **Tomasz Jastrun**
Polski nieład

32
ZAGRANICA

JAK ZAMKNĄĆ INDIE
Pandemiczna tragedia subkontynentu

42
ZDROWIE

SUPERŻYWNOŚĆ
– rozmowa z dr Hanną Stolińską

50
ZWIERZĘTA

ZŁOTA, ŹRÓDLAK I RESZTA
Pogotowie dla jeży

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4b004544af

TRUCICIEL Z POLANICY-ZDROJU

Piszę do czytelników PRZEGLĄDU, a szczególnie do ministra Dworczyka, którego, choć pewnie czytelnikiem PRZEGLĄDU nie jest, sprawa dotyczy równie mocno jak wszystkich. Czyste powietrze! Jestem obecnie podopieczną Centrum Pielęgnacyjno-Opiekuńczego w Polanicy-Zdroju. Nie wiem, ile czasu mi zostało, ale chcę bronić świata i jego maleńkiego skrawka. Miejsce, które chcę panu ministrowi pokazać, to skrawek ziemi w Polanicy-Zdroju. Jest pan posłem z Dolnego Śląska. Proszę obejrzeć piękną posesję przy ul. Żeromskiego 24, ukrytą wśród zieleni. W tym sielankowym zakątku dobrze się ma zatruwalnia powietrza. Codziennie wieczorem z komina willi buchają kłęby duszących dymów. Właściciel domu, którym jest policjant, o czym wiedzą mieszkańcy Polanicy, spala jakieś zjadliwe, trujące odpady i śmieci. Wszyscy z okolicy znają truciciela. Ale po kilku próbach interwencji nikt już nie podejmie żadnych kroków w celu zlikwidowania małego „otwartego krematorium". Polanica to niewielka miejscowość, a przestępcza działalność, o której piszę, trwa, bo tu – jak wszędzie w Polsce – ważniejsi są kumple niż prawo.

Te małe spalarnie są posłańcami śmierci. Trzeba z nimi walczyć. Faktycznie, a nie tylko wystąpieniami, powoływaniem nowych instytucji, drukowaniem kolejnych plakatów.

Ludzie, patrzcie, co palą wasi sąsiedzi, i pamiętajcie, że trucizny nie ulatują w nicość, ale pozostają w płucach naszych i naszych dzieci. Panie ministrze, niech pan podejmie jakieś działania. My, staruszkowie, będziemy umierali przez te trucizny, które dobrze się mają pod ochroną policji. Zatruwani odchodzimy powoli, ale wybory zbliżają się szybko. Przypominam adres: Polanica-Zdrój, ul. Stefana Żeromskiego 24.

Maria Berny

POGRZEB NA RATY

Co z tego, że Platforma upadnie? To niczego nie zmieni. W jej miejsce powstanie kolejne neoliberalne ugrupowanie, np. Polska 2050/60 itp. Będzie to samo, tylko opakowane nowymi frazesami.

Monika Papińska

FAŁSZERZE HEJNAŁU

10 maja byłam na krakowskim Rynku Głównym. Bardzo się ucieszyłam, że będę mogła posłuchać hejnału jak za dawnych lat. Na Rynku pusto, cicho z powodu pandemii. Hejnał niesie się daleko w tej ciszy. Niestety, ani razu nie był czysto zagrany. Tak niemożliwie jest fałszowany, że chyba niedługo go nie rozpoznamy. Na przykład zakończenie nie jest czysto urwane, jak nakazuje legenda, tylko słychać, jakby hejnalista, konając, jeszcze rozpaczliwie dmuchał w trąbkę. Byłoby dobrze, gdyby prezydent Jacek Majchrowski i jego współpracownicy czasem posłuchali, co się dzieje z hejnałem, i póki czas, podjęli jakieś skuteczne środki zaradcze, żebyśmy się nie wstydzili, kiedy wrócą do Krakowa turyści.

Elżbieta Kwiatkowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Palestyńczycy wracają do swoich domów zniszczonych przez izraelski ostrzał. Zawieszenie broni między Izraelem a Hamasem nastąpiło po 11 dniach walk. Bajt Hanun, Strefa Gazy, 21 maja.

FOT. ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 4b004544af

Prof. Henryk Skarżyński, twórca Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu, obchodzącego w tym roku 25-lecie, otrzymał indywidualną Nagrodę Prezydenta RP. Doceniono wieloletnią nowatorską działalność na rzecz pacjentów i misję służenia ludziom oraz wyjątkową osobowość Profesora.

W Łodzi dzięki programowi in vitro dofinansowanemu przez samorząd od 2016 r. urodziło się 258 dzieci, w Poznaniu – 304, w Gdańsku – 309, a w Częstochowie – 56.

Laureatami Nagród Historycznych „Polityki" za 2020 r. zostali: Maria Halamska za książkę „Ciągłość i zmiana. Wieś polska 1918-2018. W poszukiwaniu źródeł teraźniejszości", **Maciej Łubieński** za „Portret rodziny z czasów wielkości. O prymasach, milionerach, zakonnicach, bankrutach, pisarkach i innych przodkach", **Bohdan Korzeniewski** za „Było, minęło… Wspomnienia" oraz **Aleksandra Leyk i Joanna Wawrzyniak** za „Cięcia. Mówiona historia transformacji".

Jerzy Matuszkiewicz, kompozytor, został pierwszym laureatem tegorocznej edycji Polskich Nagród Filmowych Orły.

Rada Warszawy przyznała 2 mln zł na remont dwóch domków fińskich na Polu Mokotowskim. W jednym z nichmieszkał Ryszard Kapuściński, wybitny pisarz i reportażysta.

Od początku pandemii w Polsce infekcję koronawirusem potwierdzono u 2 863 031 osób, z których 72 691 zmarło (stan na 21 maja).

95,1 mld zł wyniosły na koniec 2020 r. zaległości w należnym budżetowi, a nieściągniętym podatku VAT.

Małgorzata Gosiewska, wicemarszałek Sejmu (PiS), w skandaliczny sposób potraktowała prof. Adama Bodnara, który składał ostatnie sprawozdanie z działalności Rzecznika Praw Obywatelskich. Na wypowiedź dała mu pięć minut, a po protestach opozycji dorzuciła trzy. Wstyd.

Łukasz Piebiak, były wiceminister sprawiedliwości u Ziobry, zdymisjonowany z powodu afery hejterskiej, został powołany przez KRS do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Jak widać, nie ma granic bezczelności.

Arkadiusz Rogowski, z orlenowskiej nominacji **nowy redaktor naczelny rzeszowskich „Nowin", wyrzucił z pracy znanego dziennikarza i wykładowcę Jana Miszczaka za krytyczny felieton o prezesie Obajtku.**

630 tys. dzieci i młodzieży poniżej 18. roku życia wymaga pomocy psychiatrycznej i psychologicznej (raport NIK).

O 7% spadła w 2020 r. sprzedaż w sklepach.

PRZEBŁYSKI

Mamy jeszcze dużo zapału do rządzenia

Tego się nie spodziewaliśmy po tym polityku. Cóż, chwila słabości dopadła nawet tak cynicznego gracza jak Adam Bielan. W rozmowie z tygodnikiem „Sieci" dumnie ogłosił: „Mamy jeszcze dużo zapału do rządzenia". Bielan ciągle jest samozwańczym p.o. prezesem Porozumienia Jarosława Gowina. I w związku z tą samonominacją bardzo zabawną figurą. Ale też politykiem wyjątkowo bezwzględnym w dążeniu do celu. Jeśli czegoś mu brak, to refleksu. Potrzebował trzech lat, by się zorientować, że w jego partii nie było wyborów prezesa. Znosił tego uzurpatora Gowina, bo „ma jeszcze dużo zapału do rządzenia". Nie tylko on, bo do pisowskiej władzy butaprenem przykleili się jego stronnicy Gryglas i Żalek.

Mamy jeszcze dużo zapału do rządzenia

Ach, ten waleczny Kohut

Czasy mamy tak porąbane, że mało co człowieka dziwi. Choć zdarzają się takie chwile. Otwieramy „Gazetę Wyborczą" a tam już na trzeciej stronie wielka reklama. Łukasz Kohut, lewicowy europoseł z Wiosny, ogłasza światu, że WYWALCZYŁ w Unii kasę dla społeczeństwa obywatelskiego. Całe 1,6 mld euro. Dzielny synek ze Śląska podkreśla skromnie: „Walczyłem o ten program bardzo mocno".
Ściskamy więc Kohuta z mocą równą kasie, jaką Unia wydała na jego samoreklamę. Ba, wierzymy, że osobiście Kohut jest już jedną nogą wśród społeczeństwa obywatelskiego. A jego polityczny kolega Bogusław Liberadzki nawet dwiema. I to z liczną rodziną.

Brednie historyczne

Więcej historii w szkole – to kolejny pomysł Czarnka i jego pomagierów na wciskanie młodym kitu. Tudzież obsesji, które lęgną się w głowach dojnej zmiany. Historia *à la* PiS to życzeniowe brednie i opis tego, jak niegdyś było pięknie.
Próba z góry skazana na klęskę. Bo jej napędem są tak egzotyczni odkrywcy „prawdziwej historii" jak Tadeusz Płużański, Jerzy Bukowski czy Filip Frąckowiak. Specjaliści od wielkich zasług „Ognia", „Burego", szpiega Kuklińskiego itd.
Jak słuchamy tego, co mówi minister Czarnek, to jakieś złośliwe echo dopowiada: „Czarna sotnia, czarna sotnia". Eksperyment ideologiczny na uczniach czeka los religii w szkole. Uczniowie garną się do niej, że aż strach.

Czekają na mieszkania od Jakiego

Ma to w genach czy co? Co się odezwie, to skłamie. Patryk Jaki jest jak narkoman na głodzie: uwielbia gadać, na każdy temat. Ale żeby choć trochę na czymś się znał, to nie za bardzo. Jak to u Ziobry. Ziobrowa ekipa pali się tylko do władzy. Szkoły natomiast omijała z daleka. Co widać, gdy tylko otwierają usta. I pomyśleć, że ktoś tak niedouczony jak Jaki chciał być prezydentem Warszawy. W kampanii wyborczej kłamał jak najęty. W czerwcu 2018 r. na konferencji, którą zorganizował na kolejowych terenach na Odolanach, ogłosił, że wkrótce warszawiacy będą mieli na rządowym osiedlu ponad tysiąc tanich mieszkań na wynajem. Z opcją wykupu. Po trzech latach nie ma tam nic. ZERO! Nie ma nawet planu zagospodarowania. A Jaki? Kosi euro w Brukseli.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (2), WWW.YOUTUBE.COM (2)

epraca.pl 4b004544af

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy zapomną o niedotrzymanych obietnicach PiS?

PIOTR CYKOWSKI,
Akcja Demokracja

Powodów do dobrej pamięci mieszkanek i mieszkańców Polski jest wiele, zaczynając od tragedii, jaką było niespełnienie zapowiedzi wzmocnienia systemu ochrony zdrowia, czego efektem była m.in. ogromna liczba zgonów na COVID-19. Śmierć bliskich osób na pewno w wielu rodzinach zostanie zapamiętana na długo, tak jak nie wybaczą władzy pielęgniarki i położne, od których ta konsekwentnie się odwraca. Rząd PiS może wręcz przejść do historii jako ten, który upadł przez zaniechania związane z ochroną zdrowia. Polki i Polacy mają też cały czas w pamięci choćby niezrealizowany postulat przyśpieszenia i polepszenia jakości obsługi w sądach, tym bardziej że w efekcie tzw. reformy sprawiedliwości postępowania jeszcze bardziej się wydłużyły. Jednak niezależnie od tego, kto będzie u władzy, Akcja Demokracja będzie pilnowała, by politycy składali konkretne deklaracje, a następnie naciskała na ich realizację.

KATARZYNA DUDA,
ekspertka OPZZ, członkini partii Razem

Polacy nie wybaczą PiS niedotrzymania obietnicy wprowadzenia emerytur stażowych. Złożył ją Andrzej Duda, ubiegając się o fotel prezydenta w 2015 r., co uzgodnił ze swoją partią. To rozwiązanie przyniosłoby ulgę i wcześniejszy odpoczynek pracownikom z bardzo długim stażem pracy, którzy mogą nie dożyć ustawowego wieku emerytalnego. Prezydent ze swoją formacją ma dług wobec kilkuset tysięcy spracowanych ludzi, którzy mu zaufali i oddali na niego głos. PiS podkreśla, że słowność i prospołeczność odróżniają je od PO, lecz niedotrzymanie tej obietnicy świadczy o tym, że wcale tak nie jest.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Obawiam się, że poziom świadomości obywatelskiej jest tak niski, że wyborcy przypomną sobie o niespełnionych obietnicach, dopiero gdy nastąpi poważny kryzys – a i tego wcale nie jestem pewien. Na razie niezwykle sprawna propaganda PiS oraz postępująca degradacja edukacji, w tym celowa rezygnacja z edukacji obywatelskiej, powodują, że większość ludzi patrzy na osobiste korzyści z polityki rządu, nie widząc, ile tracą. Żaden poprzedni rząd nie budował świadomości obywatelskiej, a PiS to wykorzystało i nauczyło społeczeństwo postrzegać rzeczywistość w określony sposób.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

GRZEGORZ P. CHOŁOPIAK

80% Polaków chce słuchać obietnic, nawet jeśli już w trakcie słuchania okazują się bez pokrycia. O niespełnionych zapominają na drugi dzień.

MARIA ŁAKOMY

Zapomną, bo lewica nie przypomina.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 4b004544af

NIKT CI TYLE NIE DA, ILE MORAWIECKI OBIECA

Rząd PiS świetnie inwestuje na papierze, w rzeczywistości wielkie projekty premiera wcale nie powstają

Jakub Dymek

Polski samochód elektryczny nadal jest tylko obietnicą.

Jeden z najważniejszych mitów, dzięki którym Zjednoczona Prawica rządzi drugą kadencję i wygrywa kolejne wybory, to mit zrealizowanych obietnic. I zwolennicy, i zdeklarowani wrogowie Kaczyńskiego, Morawieckiego i Szydło zdają się zgadzać w jednej sprawie – oni robią to, co mówią. Rządzącym pomaga z pewnością to, że obietnice najgłośniejsze i niezwykle atrakcyjne propagandowo – takie jak obniżenie wieku emerytalnego i wprowadzenie programu 500+ – rzeczywiście zrealizowano szybko i bez wahania. Dla wielu Polaków była to pozytywna odmiana po rządach koalicji PO-PSL, która szybko i zdecydowanie realizowała przede wszystkim reformy bolesne. A te przyjazne dla obywatela wprowadzała powoli i bez fanfar. Jednak prawda na temat wyborczych obietnic PiS jest bardziej skomplikowana.

Zjednoczona Prawica bowiem prowadzi zwłaszcza w dwóch kategoriach – w składaniu obietnic i dmuchaniu w balon oczekiwań. Niektóre poprzednie ekipy nie umiały lub nie chciały chwalić się ukończonymi inwestycjami i projektami, a słynne przecinanie wstęgi wydawało się obciachem, ale PiS nie ma żadnych hamulców. Rzeczywistość też go nie krępuje. W *exposé* z 2017 r. premier Morawiecki powiedział, że buduje „Polskę wielkich projektów". I od tamtego czasu każdy projekt zyskuje wielką propagandową obudowę, a język, którym władza mówi o swoich posunięciach, charakteryzuje prawdziwie imperialny rozmach. Raz po raz słyszymy, że budujemy „polską Dolinę Krzemową", „nową Gdynię", „kolejny COP".

Język towarzyszący tym projektom jest pomieszaniem optymizmu amerykańskiej korporacji z pychą sanacyjnego aparatczyka. Styl ten w równych proporcjach czerpie z nowoczesnego PR i z radzieckiego myślenia o rozwoju. Panuje mania przyklejania do wszystkiego, w co dziś inwestuje Polska, przymiotnika narodowy. Pojawienie się na horyzoncie unijnego Funduszu Odbudowy wraz z rekordowym transferem gotówki do Polski w oczywisty sposób dało dodatkowy impuls tej propagandzie. Mowa jest o kolejnym New Dealu, nowym planie Marshalla, największym skoku rozwojowym w historii! Rządzący powinni uważać – co już ostatnio pisałem – żeby nie pochwalić się niechcący „wielkim skokiem naprzód" Mao Zedonga.

Bo mówić łatwo, jednak weryfikacja obietnic przynosi szybkie otrzeźwienie.

Szał księgowego

Obietnicami PiS rządzi pewna żelazna prawidłowość. Władza świetnie dotychczas poradziła sobie z planami o, nazwijmy to, księgowym charakterze. Jeśli jakaś reforma lub program wymaga przełożenia cyfr w budżetowych tabelach, podniesienia jednego podatku lub świadczenia, wyemitowania jednorazowych obligacji czy wymyślenia jakiejś finansowej dźwigni – we wszystkich tych przypadkach rząd Morawieckiego kroczy sprawnie i prędko. Jeśli jednak trzeba wyjść poza ekran komputera, natychmiast robi się gorzej. Być może „wielkie projekty", jakich chciał premier Morawiecki, są właśnie tym, co idzie najbardziej opornie.

Prawie każda reforma, która wymaga budowy nowej infrastruktury, zaangażowania przemysłu lub nauki, koordynacji ponadresortowej i włączenia samorządu, wlecze się lub stoi w miejscu. Polski samochód elektryczny, Centralny Port Komunikacyjny, budowa polskiej elektrowni atomowej i polskich wiatraków na Bałtyku, tanie mieszkania na wynajem

eprasa.pl 4b004544af

– żaden z tych projektów na dobre nie wyszedł z bloków startowych, a zaraz będziemy na półmetku drugiej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy.

Kto pamięta choćby taki projekt jak Luxtorpeda 2.0? Premier Morawiecki, gdy był jeszcze ministrem rozwoju, obiecał dofinansować budowę polskiej innowacyjnej lokomotywy, która miała nawiązywać do chluby międzywojennego kolejnictwa. Projekt wystartował w 2016 r. i w ciągu czterech-pięciu lat powinien był dać Polsce nowy produkt. Dziś doniesienia branżowych portali przypominają, że PKP inwestuje w polskie lokomotywy – ale remontując stare elektryczne „siódemki" albo kupując nasze nowe konstrukcje, z których żadna nie pojedzie szybciej niż 200 km/godz. Całkiem niedawno Polskie Koleje Państwowe dały też do zrozumienia, że do końca 2023 r. nie planują w ogóle zakupu podobnych lokomotyw – nawet gdyby istniały.

Luxtorpeda 2.0 nie jest jednak ani wyjątkowym, ani szczególnie rażącym przykładem niezrealizowanej obietnicy rozwojowej. Podobny schemat powtarza się przy największych i najbardziej spektakularnych obietnicach składanych od 2014 r. Wystarczy im się przyjrzeć.

Setki tysięcy mieszkań teoretycznych

W żadnym chyba innym wypadku obietnice nie rozjechały się tak mocno z rzeczywistością jak w kwestii mieszkalnictwa. W 2018 r. premier Mateusz Morawiecki zapowiedział realizację obiecywanego od czasów kampanii programu Mieszkanie+ i od razu rzucił imponującą liczbę: 100 tys. nowych lokali w budowie już w kolejnym, 2019 r. Premiera nie powstrzymało to, że problem budownictwa mieszkaniowego ma w Polsce wymiar strukturalny i żadnej poprzedniej ekipie nie udało się wywiązać z wyborczych przyrzeczeń w tym zakresie. Niezależnie od tego, czy poprzedni szefowie rządów i kandydaci na prezydenta obiecywali tych mieszkań miliony, czy tysiące, zawsze kończyło się to zawodem. Nie powstrzymało Morawieckiego i to, że Zjednoczona Prawica przez ponad dwa lata nie wylała nawet – *nomen omen* – fundamentów pod swój sztandarowy program.

Z Mieszkaniem+ miało być przecież inaczej! Grunty pod nowe inwestycje zaczęły przekazywać państwowe instytucje i spółki. Oprócz tego spółka PFR Nieruchomości miała budować na komercyjnych zasadach tanie mieszkania na wynajem. Początkowo deklaracji przekazania rządowi gruntów było na tyle dużo – lub tak przynajmniej się wydawało – że resorty rozwoju i infrastruktury ustami ministrów i wiceministrów dawały gwarancję budowy przynajmniej 60 tys. mieszkań. Okazało się, że był to blef, który lojalni ministrowie podtrzymywali tak długo, jak tylko się dało. Czyli do końca kadencji.

Jeden z najważniejszych mitów, dzięki którym Zjednoczona Prawica rządzi drugą kadencję i wygrywa kolejne wybory, to mit zrealizowanych obietnic.

Dwa pnące się w niebo kominy są podobno nazywane przez mieszkańców Ostrołęki dwiema wieżami Kaczyńskiego.

W rzeczywistości bowiem gwarancje te były nic niewarte, a urzędnicy, by zaciemnić obraz, chwalili się mieszkaniami – cytując innego polityka – „istniejącymi czysto teoretycznie". W jednym z komunikatów Ministerstwa Infrastruktury z 2019 r. do puli mieszkań, których budowę zawdzięczamy rządowi, wliczano takie, które wciąż znajdowały się na etapie… przygotowania wniosku inwestycyjnego. Mówiąc brutalnie, nie było ich nawet na papierze. Bańka obietnic pękła ostatecznie, gdy w roku 2019 Ministerstwo Infrastruktury odpowiedziało na wnioski o informację publiczną, których tematem były postępy w programie budownictwa mieszkaniowego.

Od połowy 2018 r. nowi najemcy mogli cieszyć się ze swoich – czasami rzeczywiście tanich – czterech kątów w Białej Podlaskiej, w Kępnie w Wielkopolsce czy we wsi Siedlemin pod Jarocinem. Ale każdorazowo były to inwestycje skromne – w pierwszym przypadku mowa o 186 mieszkaniach, w drugim o 36, a jeśli chodzi o trzeci, to na stronach rządowego programu w ogóle nie umieszczono informacji o liczbie lokali oddanych do użytku szczęśliwym najemcom. Łącznie do końca pierwszej kadencji według najprzychylniejszych szacunków w ramach programu Mieszkanie+ ukończono budowę nieco ponad 2 tys. lokali. Zaakceptowano zaś w całości 146 wniosków na nieco ponad 7 tys. mieszkań. W porównaniu z zapowiadanymi przez premiera Morawieckiego 100 tys. te liczby nie są nawet skromne – one są statystycznie nieistotne.

Centralny Port czy Centralne Pole?

W kwestii rządowej gigantomanii, porównywalnej z mocarstwowymi ambicjami II RP i radzieckim podejściem do państwowych inwestycji,

FOT. PAP/BARTOSZ JANKOWSKI, PAWEŁ MAMCARZ/FORUM, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4b004544af

prym wiedzie z pewnością Centralny Port Komunikacyjny. Partia Jarosława Kaczyńskiego jest do wizji centralnego lotniska bardzo przywiązana, bo pomysł w takim kształcie był obecny już w programie wyborczym PiS w 2014 r. i do dziś, pomimo porażek, rozwijany jest dokładnie według ówczesnych założeń. Założenia są niezmienne, lecz w mazowieckim Baranowie, gdzie ma powstać CPK, jak było pole, tak dalej jest.

Problem z CPK nie polega wyłącznie na dyskusji, czy potrzebujemy wielkiego lotniska w środku kraju, czy nie. To przedmiot sporu ekspertów od rynku lotniczego, komunikacyjnego i handlowego, specjalistów od infrastruktury i globalnych trendów. Są dobre argumenty i za, i przeciw temu pomysłowi. Dotychczas też Polska radziła sobie z inwestycjami w budowę i rozbudowę lotnisk – choć nieporównywalnie mniejszych – więcej niż dobrze. Taki jest kontekst budowy lotniska, zwanego czasem w rządowych prezentacjach Portem Solidarność.

Ale wystarczy rzut oka na cały plan towarzyszący CPK, by nawet laik doszedł do wniosku, że obecnie rządząca ekipa nie będzie w stanie dowieźć go do końca. Jednym z filarów CPK ma być bowiem budowa 1,8 tys. km nowych linii kolejowych z 10 kierunków, które łączyć się będą z lotniskiem i Warszawą. Tyle że w Polsce po wejściu do UE budowaliśmy średnio… 4 km nowych linii rocznie. Tak, to nie żart. Krajowy Program Kolejowy realizowany w latach 2014-2020, wart 76 mld zł, pomógł zmodernizować prawie 9 tys. km tras, ale właściwie w ogóle nie stawiał na nowe połączenia. Powstały więc nowe, piękne dworce, perony, parkingi i udogodnienia dla niepełnosprawnych na wózkach – ale łączna długość tras w Polsce wciąż nie rośnie, a nawet konsekwentnie się kurczy od 1989 r. Jesteśmy niechlubnym rekordzistą UE w długości likwidowanych linii kolejowych. Teraz mamy zaś uwierzyć, że za niewiele więcej, bo 96 mld, zbudujemy w nieco ponad dekadę kilkadziesiąt razy więcej kilometrów linii kolejowych niż przez całą III RP?

Weryfikacja obietnic przynosi szybkie otrzeźwienie.

Media nie bez powodu nazwały to przedsięwzięcie najambitniejszą inwestycją w infrastrukturę kolejową od czasów I sekretarza Edwarda Gierka. Ale za Gierka część inwestycji się udała. A analogie i złośliwości wcale nie są tu nie na miejscu. Przypomnijmy *exposé* Morawieckiego z 2017 r., w którym premier mówił, że „budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego, Portu Solidarność, to kluczowy element strategii rozwoju, strategii rozwoju transportu w Polsce. To nie tylko szansa dla sektora lotniczego, to też rozbudowa sieci kolejowej, to pierwszy krok ku stworzeniu w Polsce najnowocześniejszego systemu transportu w Europie, otwartego również na takie innowacje, jak transport autonomiczny czy koleje próżniowe. Centralny Port Komunikacyjny to będzie nasza Gdynia w sercu Polski. Nasza Gdynia zresztą też w sercu Europy”.

W Baranowie, gdzie ma powstać Centralny Port Komunikacyjny, jak było pole, tak dalej jest pole.

Gdynię jednak – podobnie jak inwestycje z czasów Gierka – naprawdę zbudowano w kilka lat. CPK zaś nie ma szczęścia. Kolejni dyrektorzy i pełnomocnicy, olbrzymie fundusze zarezerwowane na budowę, deklaracje rządzących – nic z tego nie popchnęło projektu ani o centymetr. Po wybuchu pandemii w 2020 r. i radykalnym ograniczeniu ruchu lotniczego, a także w świetle nastawienia Komisji Europejskiej, która chce promować bardziej ekologiczne środki transportu, trzeba zadać jeszcze to pytanie: czy projekt CPK – nawet jeśli to możliwe – w ogóle wypada kontynuować?

Według doniesień polityków opozycji, którzy wnioskowali o kontrolę w CPK, lotnisko to dziś projekt widmo, który pożera niemal 30 mln zł rocznie na wynagrodzenia pracowników i umowy cywilnoprawne.

Dwie wieże w Ostrołęce

Indywidualny rekord w kategorii finansowego marnotrawstwa trafi jednak pewnie do Ostrołęki. Dwa pnące się w niebo pylony – wraz z resztą nieczynnej konstrukcji elektrowni – były podobno nazywane przez mieszkańców miasta Manhattanem albo wieżami Kaczyńskiego. Ale górę szły też koszty instalacji, która nigdy nie ruszyła i już nie ruszy. Węglowy blok elektrowni w Ostrołęce kosztował według Najwyższej Izby Kontroli 1,3 mld zł. A teraz rozebranie konstrukcji postawionej w latach 2018-2020 będzie kosztować kolejne miliony.

Co ma fiasko inwestycji energetycznej w dobie zmieniających się polityk klimatycznych UE do niezrealizowanych obietnic PiS – może ktoś zapytać. Jak się okazuje, sporo. Dziennikarz portalu Onet Mateusz Bałuka przypomniał niedawno, że projekt budowy elektrowni realizowano z takim uporem właśnie ze względów politycznych, nie bacząc na kwestie ekonomiczne ani ekologiczne. Zbrodnią nazwał przerwanie przez rząd PO-PSL inwestycji w elektrownię węglową na Mazowszu kandydat

eprasa.pl 4b004544af

na prezydenta Andrzej Duda w 2015 r. „Jeśli zostanę wybrany na prezydenta, to natychmiast będę rozmawiał z rządem o budowie elektrowni węglowej w Ostrołęce", obiecywał. I jak zapowiedział, tak zrobił. Pomógł mu wybrany z pobliskiego okręgu poseł i późniejszy minister energii Krzysztof Tchórzewski.

Koalicja PO-PSL zarzuciła wcześniej projekt, bo już ponad dekadę temu miała wyliczenia, które mówiły o nieopłacalności budowy kolejnych elektrowni węglowych. PiS obiecywało jednak dalej inwestować w węgiel – w każdym wymiarze – i sprzeciwiać się europejskiej transformacji energetycznej. Ostrołęka pozwalała na jedno i drugie. Co więcej, znajduje się w atrakcyjnym wyborczo regionie. Jak pisał Bałuka, szybko awansowała do rangi jednego z wielkich projektów wymienianych obok CPK i przekopu Mierzei Wiślanej. Chodziło także o to, że położona jest na wschodzie Polski i właśnie „największą inwestycją na ścianie wschodniej od 30 lat" chcieli się pochwalić politycy PiS. Przez pewien czas, jako szef państwowej Energi, bronił inwestycji również Daniel Obajtek. Jednak trzeźwa (nawet jeśli spóźniona) decyzja samego Morawieckiego, już po tym, gdy i brak źródeł finansowania, i europejskie weto pozbawiły Ostrołękę szans na realizację, przerwała karierę tego projektu.

Polityka klimatyczna UE i surowa rzeczywistość zmusza Polskę do pozyskiwania energii z innych niż węgiel źródeł. Teraz minister Sasin mówi, że w tym samym miejscu, by nic się nie zmarnowało, powstanie blok gazowy. Ale wiedza o tym, że ani Komisja Europejska, ani banki nie będą chciały kredytować instalacji węglowych, była dość powszechna. Podobnie jak wiedza o tym, że pieniądze na zielone inwestycje znajdą się bez problemu. Zignorowanie tych informacji i upór w dążeniu do zrealizowania obietnicy pod każdym względem nieopłacalnej będą kosztować miliardy. W tej sprawie skłócony z wierchuszką PiS prezes Najwyższej Izby Kontroli zapowiedział w kwietniu br. złożenie zawiadomienia do prokuratury.

Inwestycje w próżni

Pod koniec 2019 r., gdy upływała pierwsza kadencja rządów Zjednoczonej Prawicy, organizacja fact-checkingowa Demagog spróbowała zliczyć i rozliczyć wszystkie najważniejsze obietnice władzy. Zebrała ich w raporcie łącznie okrągłą setkę. Od tych, które pamięta każdy, w rodzaju 500+, po szybko zapomniane lub te o czysto wizerunkowym charakterze, takie jak powołanie Narodowego Funduszu Przedsiębiorczości czy produkcja wielkiego filmu patriotycznego.

Ze 100 obietnic analitycy Demagoga wyróżnili 33 zrealizowane, 36 niezrealizowanych, 25 zrealizowanych w części, cztery zrealizowane z opóźnieniem, a dwie zamrożone wyrokiem sądu lub trybunału. To wynik dobry czy zły? Każdy może ocenić samemu. Ale kryteria, jakimi kierował się Demagog, były i tak dość przychylne. Jako zrealizowaną obietnicę traktowano bowiem taką, w sprawie której udało się przegłosować właściwą ustawę i wdrożyć program – bez ewaluacji jego skutków. Dlatego w raporcie Demagoga program Mieszkanie+, program antysmogowy czy poprawa ściągalności VAT są traktowane jako obietnice dotrzymane – bo wykonano w tym kierunku działania. Gdyby jednak zapytać, czy działania te były zbieżne z tym, co zapowiadano, i czy sprostały oczekiwaniom, z punktacji przyznanej rządom Zjednoczonej Prawicy należałoby odjąć jeszcze sporo.

Trzeba też powtórzyć, że nie powiódł się chyba żaden z wielkich projektów inwestycyjnych czy infrastrukturalnych. Wszystkie kolejne plany nawiązujące do centralnie sterowanych inwestycji znanych z II RP i PRL pozostały na papierze. Jeszcze przed pandemią było widać, że rozwój gospodarczy w Polsce stymulują raczej podwyżki płac, świadczenia społeczne, inwestycje zagraniczne i rozwój usług cyfrowych. A nie żadna nowa Gdynia, następny COP czy Dolina Krzemowa – bo te po prostu nie powstały. Odbudowa przemysłu i nowe koła zamachowe polskiej gospodarki również. Chwytliwe hasła „inteligentnych branż", „rozwoju 4.0" i „kluczowych specjalizacji" nie niosły ze sobą widocznych zmian w tym, jak naprawdę działa polska gospodarka i polskie państwo. Wyjątkiem od tej reguły może być Rzeszów, który proporcjonalnie zyskał pewnie na rządach ostatnich lat więcej niż inne polskie miasta, a istniejące tam nowoczesne zakłady i branże mogą przeczyć stereotypom o zacofaniu regionu i zupełnym zastoju polskiego przemysłu w ostatnich latach.

To ważne, bo nowa dekada będzie wymagała właśnie takich inwestycji i takiego rozwoju gospodarczego, z jakim Polska Morawieckiego ma problem. Wymusza to chociażby logika europejskiego Funduszu Odbudowy. Nie będzie można dalej wyłącznie opowiadać o wielkich projektach, trzeba będzie je w końcu realizować. W przeciwnym razie kolejne dziesiątki miliardów będą się marnować i przynosić straty – jak puste pole w Baranowie, nieistniejące mieszkania, szyny bez luxtorpedy i demontowane wieże w Ostrołęce.

Kto pamięta taki projekt jak Luxtorpeda 2.0?

Łącznie w latach 2015-2019 w ramach programu Mieszkanie+ ukończono budowę nieco ponad 2 tys. lokali.

Jakub Dymek
dymek.substack.com
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b004544af

500+ HIT czy KIT?

Z wypowiedzi matek: ratuje godność, daje poczucie bezpieczeństwa, a nierzadko dach nad głową. Mimo to poparcie dla programu spada

Anna Brzeska

500 zł na każde dziecko – Beata Szydło, ówczesna kandydatka PiS na premierkę, w 2015 r. powtarzała tę frazę w bodaj każdej przedwyborczej obietnicy. Gdy po wygranych wyborach rząd ogłosił, że program ruszy w kwietniu 2016 r., ale świadczenie w wypadku rodzin przekraczających niski próg dochodowy (800 zł netto na członka rodziny, 1,2 tys. zł w przypadku dziecka z niepełnosprawnością) będzie się należało dopiero od drugiego dziecka, przez kraj, prócz dominujących okrzyków radości, przetoczyła się zauważalna fala krytyki. Zależność „im więcej dzieci, tym więcej pieniędzy" w połączeniu z faktem, że rodzice jedynaków najczęściej nie dostali nic, bardzo szybko zbudowała krzywdzący stereotyp: polskie rodziny sprzedały swoje głosy za socjal, a wielodzietność to świadectwo bycia łasym na państwową forsę.

Mit 1 – wzrośnie patologia

„Niestety, jak patrzę na patologię, co będzie dostawać po 3-4 tys. plus zasiłki i inne zapomogi, to ch... mnie strzela. Z etatem męża i działalnością gospodarczą, za którą odpowiada się całym swoim majątkiem, zamiast zbliżyć się do klasy średniej, zbliżamy się do patologii, która za nicnierobienie niedługo będzie miała tak samo jak my za 10 godzin pracy codziennie. No i kwestia dzieci – ponieważ posiadam jedno – czuję się, jakby ktoś mi w pysk strzelił. Widać, jest gorsze", napisała pewna mama na popularnym forum tuż po ogłoszeniu programu. „Rozmnoży się roszczeniowe bydło na wiecznym socjalu uzależnione od państwowego cyca", wtórowała jej inna. „Nie znam ani jednej rodziny wielodzietnej, gdzie ojciec i matka albo by nie pili (nawet okazjonalnie) alkoholu, albo nie palili papierosów. Te pieniądze pójdą w części na finansowanie używek. Co za patologia. Kupowanie głosów za wódkę i fajki – po prostu", stwierdziła następna osoba.

W kolejnych komentarzach „patologia", „nieroby", „wóda" odmieniane były przez przypadki, a świadczenie doczekało się nawet złośliwego wierszyka: „Czy się pije, czy pracuje – 500 zł przysługuje".

W krytycznych głosach do dziś wyraźnie dominuje podejście, w którym jako niezasłużonych beneficjentów programu widzi się przede wszystkim niepracujących czy niezaradnych rodziców. Ukształtowane przez lata dzikiego kapitalizmu poczucie neoliberalnej sprawiedliwości podpowiada ludziom, że jeśli ktoś nie pracuje, nie zasłużył na wsparcie. O dzieciach, które przecież nie są odpowiedzialne za winy rodziców, a które są głównymi adresatami programu, mało kto w tej narracji pamięta.

Czy – jak prognozowali neoliberalni hejterzy – rzeczywiście nastąpił „wzrost patologii na zasiłkach"? Jak mielibyśmy to mierzyć? Wzrostem konsumpcji alkoholu? Akurat w ostatniej dekadzie tempo jej wzrostu zmalało. W latach 2000-2010 spożycie wzrosło o prawie 2 litry czystego alkoholu na głowę rocznie, a w latach 2010-2019 o ok. 0,8 litra, więc wiązanie tego z 500+ byłoby absurdem, szczególnie że – jak informują raporty – wśród pijących coraz więcej jest osób dobrze sytuowanych, próbujących alkoholem leczyć skutki stresu.

Może zatem trzeba by zmierzyć „patologię" wskaźnikiem korzystania ze środowiskowej pomocy społecznej? Ten również maleje: 2015 r. – 710 osób na 10 tys. ludności, 2019 r. – już tylko 463.

Co więcej, program 500+ nigdy nie był skierowany do jakiejś wąskiej grupy, lecz od początku miał charakter powszechny. Pieniądze – do tej pory łącznie 144 mld zł – dostały rodziny o różnym statusie ekonomicznym. W pierwszych trzech latach (od kwietnia 2016 r. do lipca 2019 r.) świadczenie 500+ pobierało 2,78 mln rodzin – czyli ponad 3,8 mln dzieci, co stanowiło 55% ogólnej liczby osób poniżej 18. roku życia w Polsce. Wówczas przyznawane było na drugie i każde kolejne dziecko. Aby otrzymać 500 zł również na pierwsze lub jedyne dziecko, trzeba było mieć dochód niższy niż 800 zł netto na członka rodziny (1,2 tys. zł w przypadku wychowywania dziecka z niepełnosprawnością). Wydatki na politykę rodzinną w stosunku do PKB wzrosły z 1,78% w 2015 r. do 4% w roku 2019.

W lipcu 2019 r., w dużej mierze pod wpływem głosów krytycznych o niesprawiedliwym traktowaniu polskich dzieci, zniesiono próg dochodowy. Obecnie 500+ na każde dziecko może pobierać każda polska rodzina, bez ograniczeń dochodowych.

Mit 2 – program kosztem przedsiębiorców

Wydawałoby się, że po zniesieniu kryterium dochodowego nienawistne głosy powinny ucichnąć, ale tak się nie stało. Mimo że wciąż ogromna większość Polaków popiera program, z kolejnych raportów CBOS dowiadujemy się, że to poparcie spada.

	2016	2017	2021
Popiera	80%	77%	73%
nie popiera	15%	20%	24%

Najniższe (choć i tak 70-procentowe) poparcie dla świadczenia wykazują osoby niemające pod opieką dzieci. Najwyższe (92%) deklarują

eprasa.pl 4b004544af

Tylko między rokiem 2015 a 2016 liczba dzieci żyjących w skrajnym ubóstwie zmniejszyła się z 623 tys. do 400 tys.

rodzice z trojgiem lub więcej dzieci. Osób z dwójką dzieci popierających świadczenie jest 80%, a mających jedno dziecko – 74%.

Dlaczego sympatia dla największego socjalnego programu w III RP spada nawet wśród tych, którzy z niego korzystają? Przyczyn jest wiele. Zacznijmy od tych brzmiących rozsądnie: – Siedem lat temu, gdy już miałam dwójkę dzieci, nie było 500+, a utrzymywaliśmy się tylko z wypłaty męża i jeszcze odkładałam. Teraz nie ma takiej możliwości, mimo 500+ – mówi jedna z kobiet zapytanych o opinię o programie.

– Gdy nie było 500+, nasze tygodniowe zakupy mieściły się w kwocie 300 zł – stwierdza druga. – Za 450 zł brałam z półek wszystko, jak leciało. Teraz podstawowe zakupy kosztują 550 zł.

– Tak, na początku może nas to ratowało, bo świeżo po studiach zarabialiśmy grosze, ale patrząc z perspektywy czasu, ile wszystko teraz kosztuje, ten program nic nie jest wart – dodaje trzecia.

500+ uratowało dzieciństwo moich dzieci.

I rzeczywiście, inflacja w ostatnim czasie mocno rośnie. Wskaźnik cen towarów i usług (CPI) osiągnął w kwietniu br. 4,3% – a w lutym ub.r. poszybował aż do 4,7% – ostatnio tak źle było 10 lat temu. Nie jest za to odpowiedzialne wyłącznie 500+, choć eksperci uznają transfery socjalne za dość istotny czynnik inflacji. Pamiętajmy jednak, że w ogromnym stopniu wpływają na nią także ceny paliw i globalne trendy. Warto też zauważyć, że od czasu wprowadzenia programu aż do 2019 r. inflacja nie przekraczała 2-2,5%. Kiepsko zrobiło się dopiero w ostatnich dwóch latach, ale w dużej mierze winna temu jest pandemia – wzrosły np. ceny usług medycznych czy usług w sektorach dotkniętych obostrzeniami. Podsumowując, spadek poparcia dla programu może się wiązać z brakiem jego waloryzacji. Ta zdecydowanie jest potrzebna.

Źle o 500+ wypowiadają się także niektórzy przedsiębiorcy, przekonani, że to ich kosztem państwo wypłaca świadczenie, bo np. składki ZUS wzrosły przez ostatnią dekadę z 839 do 1457 zł. Tyle że rosły one również przed pojawieniem się programu, mniej więcej w takim samym tempie. Tezie o pogorszeniu się losu przedsiębiorców na skutek wprowadzenia 500+ przeczy zresztą wielu ekspertów, którzy raczej zgodnie potwierdzają, że socjalny transfer jest siłą napędową gospodarki, a firm też ciągle więcej przybywa, niż ubywa – i to od wielu lat. Subiektywne opinie są jednak ważniejsze w sondażach – trudno więc się dziwić, że gorzej prosperujący przedsiębiorcy szukają winnych tego stanu rzeczy.

Mit 3 – przez 500+ kobiety masowo zrezygnowały z pracy

Popularna jest również typowa dla liberałów narracja, według której kobiety rzucają pracę, bo dostały socjal. Podtrzymuje ją choćby „Newsweek", w niedawno opublikowanym tekście „Chybiona hojność" przytaczając historię matki trojga dzieci z małej miejscowości pod Częstochową. Kobieta po otrzymaniu świadczenia 500+ zrezygnowała z pracy za 1,5 tys. zł netto, wykonywanej w ramach umowy-zlecenia, do której dojeżdżała leciwym oplem, zostawiając po drodze dzieci w żłobku i przedszkolu. Autor tekstu wprawdzie przyznaje, że w jej wypadku była to racjonalna decyzja, lecz samo zjawisko ocenia negatywnie.

Jak jest w Europie?

Stałe świadczenia na dzieci są w Europie Zachodniej standardem. Garść przykładów: niemiecki odpowiednik 500+ (*Kindergeld*) jest regularnie waloryzowany i obecnie wynosi 219 euro. We Francji, poza becikowym i zasiłkiem na wychowanie dziecka do trzech lat, rodziny z co najmniej dwojgiem dzieci otrzymują zasiłek rodzinny (*Allocations familiales* – AF), uzależniony od liczby dzieci. Przy dwójce rodziny otrzymują 132 euro, przy trójce – 301 euro, czwórce – 470,5 euro. W Szwecji zasiłek na dziecko (*Barnbidraget*) wynosi ok. 1250 koron (ponad 120 euro), we Włoszech (*bonus bebe*) – od 80 do 160 euro, w zależności od dochodów, a w Wielkiej Brytanii (*Child Benefit*) 21,5 funta tygodniowo (miesięcznie ponad 80-100 funtów) na pierwsze dziecko, 14 funtów na kolejne (miesięcznie zatem ok. 56-70 funtów).

To oczywiście podstawowe kwoty. W wielu przypadkach rodzice mogą liczyć na dodatki za wielodzietność czy domową edukację.

eprasa.pl 4b004544af

Zamiast spędzać wakacje na podwórkowym trzepaku, niektóre dzieci dzięki 500+ mogły wyjechać nad morze.

Czy więc rzeczywiście 500+ masowo skłoniło kobiety do zawodowej bierności? Okazuje się, że to tylko część prawdy, nieco wyrwana z kontekstu. Faktem jest, że według GUS współczynnik aktywności zawodowej kobiet w wieku 25-34 lata spadł w okolicach wprowadzenia 500+ – w czwartym kwartale 2015 r. wynosił 77,7%, a w 2017 r. 75,1%. I potem dalej spadał.

Spójrzmy jednak na wskaźnik zatrudnienia (a więc chodzi o umowy o pracę) kobiet. W czwartym kwartale 2015 r., kilka miesięcy przed wprowadzeniem programu, wynosił on 45,2%. Rok później był trochę wyższy – 45,5%. Na koniec 2019 r., mimo że był to rok, w którym zniesiono próg dochodowy na przyznanie świadczenia na pierwsze dziecko, wskaźnik zatrudnienia kobiet podskoczył do 46,1%. Koniec 2020 r. to aż 46,8%, mimo pandemii. Dodatkowo należy pamiętać, że w październiku 2017 r. został przywrócony niższy wiek emerytalny kobiet (60 lat), co teoretycznie powinno spowodować zmniejszenie się wskaźnika zatrudnienia. Jednak nic takiego nie nastąpiło – młodsze grupy wiekowe nadrobiły ewentualny spadek zatrudnienia w grupie pań 60+.

Dzięki tym pieniądzom żyliśmy skromnie, ale nie na granicy ubóstwa, jak wcześniej.

Rozmijanie się wskaźnika zatrudnienia (wzrost) ze współczynnikiem aktywności (spadek) z dużym prawdopodobieństwem oznacza, że z pracą rozstawały się głównie kobiety zatrudnione na śmieciówkach. Co więcej, nawet współczynnik aktywności zawodowej w 2020 r. niespodziewanie zaczął rosnąć (z rekordowo niskiego – 73,8% – na początku roku do 75,2% na koniec). Danych za obecny rok jeszcze nie mamy i dlatego na rzetelną ocenę położenia młodych matek trzeba jeszcze poczekać. Może bowiem się okazać, że sytuacja dużej grupy kobiet, które w ostatnich latach straciły niestabilną pracę na śmieciówce – po zajściu w ciążę czy urodzeniu dziecka – jest tylko przejściowa. Zwłaszcza że teraz właśnie dzieci urodzone w okolicach małego baby boomu w roku 2017 mają już około czterech lat, a więc są gotowe do edukacji przedszkolnej, dzięki czemu ich mamy mogą wrócić do pracy. Obecnie, po znacznych podwyżkach wynagrodzenia minimalnego, może ona być dla nich bardziej opłacalna w stosunku do niezwaloryzowanego 500+.

Podsumowując: za zmniejszenie się aktywności zawodowej kobiet winę ponosi nie 500+, lecz brak skutecznych rozwiązań chroniących kobiety przed śmieciówkami.

Mit 4 – na socjalu jak król

Przeciwnicy programu 500+ lubią udowadniać powyższe przekonanie, wyliczając rozmaite świadczenia, zasiłki, zapomogi i darmowe bonusy – a następnie sumować pozycje z tej listy, podając wielotysięczny dochód jako rzekomo łatwy do osiągnięcia dla każdego, kto miga się od pracy.

Problem w tym, że najczęściej te wyliczenia są nierealne. Na przykład

Sukces ma wielu ojców, czyli krótka historia 500+

Za ojca stałego świadczenia dla rodzin z dziećmi w Polsce uważa się m.in. prof. Juliana Auleytnera, ekonomistę, który w 2017 r. (w wywiadzie dla Business Insider) tak opowiadał o powstaniu pomysłu: „W 2011 r. z Pawłem Kowalem, który wtedy odszedł już z PiS i zakładał Polska Jest Najważniejsza, sporo dyskutowaliśmy nad programem socjalnym tej partii. (...) Kowal chciał, żeby transfery społeczne i polityka w tym zakresie nie były tylko domeną lewicy, ale i konserwatystów. Spotkaliśmy się w jednej z restauracji i zaczęliśmy rozmawiać na temat programu. Powiedziałem mu, że obligatoryjnie trzeba coś przekazać rodzinie, ponieważ u nas w kraju nigdy nie wprowadzono programu wsparcia dla gospodarstw domowych z prawdziwego zdarzenia".

Pomysł świadczenia na dziecko jako sposób na poprawę demografii wypłynął znów dwa lata później, w wypowiedziach ówczesnego kandydata PiS na premiera – prof. Piotra Glińskiego. Na konferencji prasowej, podczas której politycy partii przedstawiali swoją koncepcję tzw. rządu technicznego, pojawiła się zapowiedź wypłacania aż 1 tys. zł miesięcznie na każde dziecko. Ekspertem wskazywanym wtedy jako autor pomysłu był prof. Krzysztof Rybiński. Donald Tusk nazwał wówczas ten plan finansową katastrofą.

W końcu, w 2014 r., o 500 zł na każde dziecko zaczął mówić również Jarosław Kaczyński, wskazywany przez zwolenników PiS jako rzeczywisty pomysłodawca programu. Jego obietnice prezentowała potem w 2015 r. Beata Szydło.

eprasa.pl 4b004544af

zasiłek dla bezrobotnych wlicza się do dochodu, co w praktyce wyklucza uzyskanie innych świadczeń dla najbiedniejszych. Na pierwszy rzut oka wydaje się łakomym kąskiem – jego wysokość to ok. 1 tys. zł netto. Potem mamy jednak kubeł zimnej wody – po trzech miesiącach wypłacania średni zasiłek zmniejsza się do ok. 800 zł netto, w dodatku łącznie nie możemy go pobierać dłużej niż przez rok. Co więcej, warunkiem jego otrzymania jest wcześniejsza uczciwa harówka przez co najmniej rok i odprowadzanie składek w odpowiedniej wysokości. „Kuroniówki" nie dostaną też ci, którzy sami z pracy się zwolnili lub odmawiają przyjęcia oferty wskazywanej przez urząd pracy. Nie ma zatem możliwości, aby zasiłek dla bezrobotnych na stałe uczynić sposobem na życie.

Z kolei osobom niemającym żadnych dochodów (nie licząc 500+), niepobierającym też zasiłku dla bezrobotnych, przysługuje obecnie maksymalnie 528 zł tzw. zasiłku okresowego przyznawanego przez ośrodki pomocy społecznej. Jest to jednak wsparcie tymczasowe, ustalane indywidualnie przez gminę, z założenia dla osób niemogących podjąć pracy w danym momencie, np. na skutek przewlekłej choroby.

Na liście zapomóg pojawiają się także świadczenia jednorazowe lub okazjonalne (np. zasiłek celowy), które nie dość, że nie są wysokie, to jeszcze ich otrzymanie uzależnione jest od niskich dochodów oraz zasobności samorządów. Dotyczą one podstawowych, dobrze udokumentowanych potrzeb bytowych: kupna leków, odzieży, opału, dokonania drobnych napraw w mieszkaniu.

W praktyce jedynym ekonomicznie istotnym, stałym i gwarantowanym świadczeniem dla rodzin, w których nie ma osób z niepełnosprawnościami, jest 500+. Standardowa rodzina 2+2 może zatem otrzymać 1 tys. zł plus tzw. rodzinne, dziś wynoszące ok. 90-125 zł w zależności od wieku dziecka, czyli dodatkowo najwyżej 250 zł na dwójkę dzieci. 1250 zł. Nawet próg skrajnego ubóstwa jest wyższy – wynosi ponad 1,6 tys. zł dochodu na rodzinę. Szału więc nie ma, wbrew temu, co sądzą niektórzy, nawet jeśli gmina w całości opłaci mieszkanie, dorzuci obiady dla dzieci i odzież z paczek charytatywnych. Czy naprawdę ktoś marzy o takiej egzystencji?

Mit 5 – ubóstwo można było zlikwidować znacznie taniej

Tabela poniżej pokazuje, jak od 2015 r. spadają wskaźniki ubóstwa. Na czerwono krótkotrwały i jednorazowy wzrost, który, na szczęście, nie stał się trendem.

	2015	2016	2017	2018	2019
Ubóstwo skrajne*	6,5	4,9	4,3	5,4	4,2
Ubóstwo relatywne**	15,5	13,9	13,4	14,2	13,0

* Odsetek rodzin żyjących poniżej tzw. minimum egzystencji.
** Odsetek rodzin żyjących za mniej niż połowę przeciętnej kwoty wydatków ponoszonych przez gospodarstwa domowe.

W ocenie efektów 500+ w likwidowaniu ubóstwa w rodzinach z dziećmi warto wziąć pod uwagę dane opracowane przez dr. hab. Ryszarda Szarfenberga, pokazujące, o ile w latach 2015-2016 zmniejszyło się ubóstwo relatywne i skrajne w rodzinach z dziećmi.

	Para z jednym dzieckiem	Para z dwojgiem dzieci	Para z trojgiem dzieci	Para z czworgiem i więcej dzieci	Samodzielny rodzic z dziećmi
Ubóstwo skrajne	–6%	–33%	–48%	–23%	–14%
Ubóstwo relatywne	–2%	–15%	–24%	–25%	–11%

W liczbach bezwzględnych oznacza to spadek (zaledwie w ciągu roku) liczby dzieci żyjących w skrajnym ubóstwie z 623 tys. do 400 tys.

To jednak tylko liczby. Mogą nie robić wrażenia – a wręcz wywołać przekonanie, że aby osiągnąć podobne wyniki, wystarczyłoby przetransferować ubogim osobom znacznie mniejszą sumę niż pieniądze dotychczas wypłacone w ramach programu.

Posłuchajmy więc polskich mam. 500+ ratuje ich godność, daje poczucie bezpieczeństwa, a nierzadko dach nad głową. Wiele matek, wbrew stereotypom, może dzięki dodatkowym pieniądzom zwiększyć kompetencje zawodowe lub mieć zabezpieczenie na czas poszukiwania pracy.

Magda z Poznania: – Mam długi po rodzicach, nie jestem w stanie zarobić więcej niż minimalną, sama wychowuję dwoje dzieci. Mam niskie alimenty. 500+ uratowało dzieciństwo moich dzieci, dzięki niemu żyliśmy skromnie, ale nie na granicy ubóstwa, jak wcześniej.

Kasia, inna samodzielna mama: – Gdyby nie 500+, miałabym dwie stówy na życie na miesiąc. Tyle zostaje mi z pensji po wszelkich opłatach, kredytach itd. Alimentów brak – tatuś zniknął i nie można go namierzyć. Pieniądze z Funduszu Alimentacyjnego nie należą mi się, bo „za dużo" zarabiam.

Agnieszka z małego miasta w Kujawsko-Pomorskiem: – Dzięki 500+ wyszliśmy z długów i mogliśmy wynająć mieszkanie, wcześniej mieszkaliśmy z teściami. Mając takie zabezpieczenie, mąż mógł bez obaw zmienić pracę na lepszą.

Iwona z miasta na Śląsku: – Pomaga wyjść z długów. Bardzo. Mnie ratuje bezpośrednio przed totalnym ubóstwem.

Ewa ze Szczecina: – Mnie 500+ wręcz pomogło wrócić na rynek pracy. Dodatkowe pieniądze starczyły akurat na opłacenie prywatnego żłobka i szukanie zatrudnienia. Z jednej pensji męża utrzymanie czteroosobowej rodziny i wydawanie jeszcze tysiaka na żłobek byłoby nierealne. Musiałabym czekać, aż córka skończy trzy latka i pójdzie do przedszkola.

Elżbieta ze Śląska: – 500+ pozwoliło mi zrezygnować z pracy i poświęcić cały wolny czas wychowaniu dziecka i jego terapii. Dzięki temu mój syn spokojnie poradziłby

Gdyby nie 500+, miałabym dwie stówy na życie na miesiąc.

sobie od września w szkole państwowej, idąc tam jako sześciolatek, choć jeszcze dwa lata temu wróżono nam szkołę specjalną lub posłanie go do pierwszej klasy w wieku ośmiu lat. W czasach gdy byłam ofiarą przemocy ekonomicznej

FOT. MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI/AGENCJA GAZETA, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4b004544af

ze strony męża, 500+ sprawiało, że bez proszenia się jak dziecko o kieszonkowe mogłam iść na zakupy i nikt mnie z tego nie rozliczał.

Renata ze wsi w Małopolskiem: – Dzięki 500+ dołożyliśmy do lepszego auta, bo stare ząb czasu gryzł mocno. Teraz 500+ dołoży się do zmiany ogrzewania z węglowego na gaz. A w zeszłym roku pozwoliło nam wyjechać na wczasy.

Paulina z Krakowa: – Mnie jako samotnej mamie pozwala na podreperowanie budżetu. Gdyby nie to, musiałabym się martwić, czy uda mi się przetrwać do końca miesiąca. A tak mogę jeszcze czasem odłożyć kilka złotych na czarną godzinę.

Marta z Warszawy: – Dzięki 500+ nie dygoczę z trwogi pod koniec miesiąca i jestem w stanie opłacić klub piłkarski syna oraz troszkę odkładać na wakacje.

Według danych GUS w latach 2015-2019 przychody rodzin wielodzietnych wzrosły o ponad połowę, o 66% wzrosły zaś ich wydatki na edukację. W 2019 r. prawie wszystkie rodziny wielodzietne (98,9%) posiadały już urządzenia z dostępem do internetu – w 2015 r. odsetek ten wynosił 93,6%.

Najwyższe poparcie (92%) deklarują rodzice mający troje lub więcej dzieci

Cień 1 – Zapłacili starsi

Nie jest jednak tylko różowo. Jak pokazuje raport GUS dotyczący jakości życia ludzi starszych w Polsce, „dobra zmiana" dla rodzin z dziećmi odbyła się poniekąd kosztem innych potrzebujących. Udział osób w wieku 65+ w grupie doświadczającej relatywnego ubóstwa wzrósł z 11,2% (2015 r.) do 17% (2018 r.).

Transfery socjalu nie sprzyjają też w Polsce poprawie jakości usług publicznych. „W opiece zdrowotnej rząd obiecał, że w perspektywie kilku lat będzie zwiększał systematycznie wydatki do 6% PKB – mówił w 2019 r. dr hab. Ryszard Szarfenberg w wywiadzie dla „Głosu Nauczycielskiego". – W przypadku edukacji obiecano niewielkie podwyżki płac, ale samorządy narzekają, że muszą same ponosić dodatkowe koszty wynikające z ostatniej reformy".

Z pracą rozstawały się głównie kobiety zatrudnione na śmieciówkach.

Co mówią dane? W 2015 r. bieżące wydatki publiczne poniesione na ochronę zdrowia wynosiły 79,9 mld zł i stanowiły 4,44% PKB. W 2018 r. były niewiele wyższe – 4,53% PKB. W 2021 r. miało to być już 5,3% PKB. Wciąż zatem nie mamy obiecywanych 6%.

W ogóle nie rośnie natomiast udział edukacji w wydatkach budżetowych. W 2018 r. w Polsce wyniosły one 5% PKB, czyli o 0,3 pkt proc. mniej niż w roku 2015.

Cień 2 – Dzieci nie przybyło

Jeśli chodzi o demograficzne założenia rządu w momencie wprowadzania 500+, mimo chwilowego wzrostu dzietności można dziś mówić o porażce. Dzieci rodzi się obecnie nawet mniej niż w 2015 r.

2015	2016	2017	2018	2019	2020
379 tys.	382 tys.	403 tys.	388 tys.	375 tys.	355 tys.

500+ okazało się nieskutecznym lekiem na demograficzną katastrofę. Jako udany, z pewnością przełomowy dla III RP, program socjalny może być tylko preludium do dalszych zmian w kierunku poprawy dzietności. Doświadczenie z ostatnich lat pokazuje jednak, że bez inwestowania w tanie mieszkalnictwo, stabilność zatrudnienia (aby praktyką nie było kończenie współpracy z osobami w ciąży), jakościową opiekę okołoporodową oraz wreszcie ochronę praw reprodukcyjnych i godności kobiet na skok dzietności raczej nie ma co liczyć.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

PRZEGLĄD DO BIBLIOTEK

Od sześciu lat dzięki hojności naszych Czytelników już ponad sto bibliotek otrzymywało nasz tygodnik. Były to m.in. placówki w **Piechcinie, Trzciance, Rząśni, Biesiekierzu, Kępicach, Korszach, Morągu, Krasocinie** czy **Małej Wsi.**
W tym roku wysyłamy PRZEGLĄD do 77 bibliotek i czytelni.
Niestety, z końcem półrocza prenumeraty się kończą, a wiele bibliotek nie ma środków na prasę. Chcemy im pomóc i dotrzeć z PRZEGLĄDEM do nowych odbiorców. Można też wskazać konkretne miejsce, do którego ma trafić prenumerata.
Za życzliwość serdecznie dziękujemy!

Wszystkich zainteresowanych pomaganiem prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka".

Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Pełna lista obdarowanych bibliotek na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b004544af

Z Galicji

Jan Widacki

Nowy ład opozycji

PiS ogłosiło Nowy Ład, który przechrzciło zgodnie z obecnym trendem na Polski Ład. Aż się dziwię, że tylko „polski". Właściwie mogli to nazwać jeszcze bardziej patriotycznie Nowy Polski Ład Narodowy. Opozycja się martwi, że ten „ład", Polski Ład (narodowy w domyśle), to faktycznie program wyborczy PiS, który może się okazać skuteczny i PiS dzięki niemu wygra kolejne wybory. Zaczęły się też spekulacje, czy to aby nie znaczy, że PiS planuje wcześniejsze wybory. Nie sądzę. Ziobro ani Gowin nie są zainteresowani wcześniejszymi wyborami, bo mogłyby one oznaczać koniec ich obecności w Sejmie. Opozycja także do wcześniejszych wyborów się nie pali, bo nie jest na nie gotowa, a za dwa lata może już będzie. Skądinąd można podejrzewać, że jeszcze nie będzie. Nie przeceniałbym również porywającej elektorat siły Polskiego Ładu. Teraz dopiero ekonomiści i część publicystów rozważają, jakie będą realne skutki złożonych przez PiS obietnic. Kto na tym zyska, kto straci. Elektorat PiS, podobnie jak większość społeczeństwa, nie bardzo rozumie, co się stanie, gdy ten „ład" zostanie wprowadzony, i co w gruncie rzeczy z niego wynika. „Pińcet plus" – to było coś realnego, konkretnego, od razu odczuwalnego. A teraz? Jakieś manipulacje podatkami, jakieś niejasne obietnice, że tak w ogóle to dopiero teraz będzie lepiej, wszystko jakieś mgliste i niejasne. W obietnice ludzie wierzą już mniej. Ile to już razy miało być lepiej, jeszcze tylko trochę „trzeba zacisnąć pasa"…

Opozycja, zamiast przedstawić swoją koncepcję „pocovidowego ładu", a przy okazji objaśniać ludziom („w prostych żołnierskich słowach", tak by każdy zrozumiał, co się do niego mówi), jakie są niekonsekwencje tego „ładu" pisowskiego, jakie wynikają z niego niebezpieczeństwa, zamiast pokazywać, czego w tym projekcie brakuje (poprawy opieki zdrowotnej, ochrony środowiska, klimatu i wielu innych rzeczy), zajmuje się sobą.

Najpierw Platforma obraziła się na Lewicę i wbrew faktom krzyczała, że oto Lewica staje się koalicjantem PiS. Później jej część zaczęła kwestionować przywództwo Budki. Następnie wyrzuceni zostali dwaj posłowie, Zalewski i Raś, za kontestowanie linii partii (to była jakaś linia?). Później Platformę opuściła europosłanka Róża Thun. Opuściła nie z solidarności z wyrzuconymi, jak mogło w pierwszej chwili się wydawać, tylko dlatego, że PO nie potrafiła zająć jednoznacznego i zrozumiałego dla jej elektoratu stanowiska w sprawie unijnego Funduszu Odbudowy. Jeszcze wcześniej Bronisław Komorowski zapowiedział, że chce tworzyć jakąś chadecję. Wątpię, czy dla Komorowskiego i jego chadecji członkowie i sympatycy PiS porzuciliby swoją partię, gdyby więc taka chadecja powstała, urwałaby Platformie jakiś procent lub dwa elektoratu. Tymczasem sondaże PO spadły. Jej poparcie ustabilizowało się na poziomie ok. 12%. Widmo rozpadu stało się realne.

Wystraszeni posłowie zebrali się na wielogodzinnych naradach. Jedynym ich efektem było to, że po wielokroć przeczołgany przez członków własnej partii Borys Budka pozostał na jej czele. Czy jego autorytet się wzmocnił? Wątpię. Przestraszona groźbą rozpadu i spadającymi sondażami Platforma zawarła na chwilę wewnętrzny rozejm. Sam ten fakt tak rozochocił jej parlamentarzystów, że odzyskali na moment dawną pewność siebie.

Co w wielogodzinnych rozmowach ustalili posłowie PO? Rzeczy wielkie i zaprawdę wymagające wielogodzinnej dyskusji oraz wysiłku intelektualnego! Ustalili mianowicie, że partię trzeba wzmocnić, bo Platforma musi być silna. Trzeba zatem wzmacniać struktury i zachować jedność. Ustalili też, że dobrze by było odsunąć PiS od władzy. Nieść społeczeństwu jasny przekaz. Trzeba także zjednoczyć wokół Platformy całą opozycję. Jak widać, PO wciąż niczego się nie nauczyła. W szczególności nie pozbyła się arogancji. Jeśli się chce jednoczyć opozycję, trzeba wszystkie opozycyjne ugrupowania traktować jako równorzędnych partnerów, a nie jak klientów i przystawki. Zwłaszcza w sytuacji, gdy ruch Hołowni w sondażach dawno już wyprzedził Platformę, a poparcie dla Lewicy w ostatnich badaniach jest w sumie niewiele mniejsze niż dla PO. Zamiast zaproponować ugrupowaniom opozycyjnym jakiś okrągły stół, Platforma proponuje im swoje przywództwo! I znów się obrazi, że te ugrupowania nie chcą jej przywództwa uznać, i będzie je wyzywać od koalicjantów PiS. Wątpię, czy to skuteczna droga do konsolidacji opozycji. Jest to z pewnością droga do tego, by po raz kolejny „pięknie przegrać". Tymczasem polityka to sztuka mądrego kompromisu! Wciąż tego nie rozumiecie?

Platforma wciąż niczego się nie nauczyła. W szczególności nie pozbyła się arogancji.

Na razie PiS może chyba spać spokojnie. Obywatele też. Ale niektórzy tylko do szóstej rano.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b004544af

Beata Igielska

Zmęczeni zdalnym studiowaniem

Większość studentów mówi „nie" dalszej nauce online, tak nie da się wykształcić lekarza czy architekta

Podsłuchane w tramwaju: – Pracuję teraz na uczelni niepublicznej. Da się ciągnąć zajęcia ze studentami równolegle. Jednej grupie włączam film, do drugiej mówię. I na odwrót. Podreperowałem budżet domowy. Studenci są zadowoleni z mojej pracy.

Być może akurat w przypadku tego nieleciwego wykładowcy studenci są zadowoleni. Ale jeśli coś takiego uprawiają akademicy, których kompetencje cyfrowe są mierne, studenci czują, że ktoś ich robi w konia. Fama o kiepskim poziomie studiów online idzie w lud. Tegoroczny maturzysta: – Nie mam zamiaru płacić za naukę na uczelni niepublicznej i siedzieć przed komputerem. Po maturze zajmę się pracą i rozwojem osobistym, kończę różne kursy, jestem wolontariuszem w szpitalu covidowym, a za rok czy dwa pójdę na studia, już bez nauki online.

Znajoma nauczycielka: – Mój syn od starszych kolegów słyszał, że wykładowcy nie przykładają się za bardzo do pracy online, mówiąc oględnie. Do niedawna twierdził, że chce od razu po maturze iść na studia. Teraz zmienił zdanie. Nie chce nadal uczyć się zdalnie, a ja wolę, żeby popracował dorywczo, odświeżył głowę. Myślę, że dobrze mu zrobi taka odskocznia i kontakt z ludźmi.

Prof. dr hab. n. med. Marek Kuch, prorektor ds. studenckich i kształcenia z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, na pytanie, czy można wyszkolić lekarza zdalnie, odpowiada krótko, że nie. – Dlatego od początku pandemii, mimo trudności, staraliśmy się w maksymalnym wymiarze prowadzić zajęcia w szpitalach i na terenie uczelni. Aby zminimalizować ryzyko epidemiologiczne, wykłady i seminaria odbywały się w formie zdalnej. Zajęcia w szpitalach zaś – w mniejszych grupach ćwiczeniowych z zachowaniem reżimu sanitarnego. Były przerwy w zajęciach praktycznych na poszczególnych oddziałach związane z nasileniem pandemii i obecnością pacjentów chorych na COVID-19 i chorobami personelu. Zdarzało się również, że oddziały były zamieniane na tzw. covidowe. Wydłużaliśmy więc dni ćwiczeniowe, studenci odrabiali zajęcia na dyżurach lub w dni wolne od ćwiczeń. W dotkliwej, trzeciej fali pandemii nie wstrzymaliśmy ćwiczeń praktycznych. Odbywały się zarówno w klinikach, jak i w laboratoriach, w mniejszych grupach, w pełnym reżimie sanitarnym. Najbardziej zagrożeni są studenci stomatologii pracujący w środowisku aerozoli. U nich więc stosowaliśmy najpełniejsze środki ochrony osobistej. Egzaminy w sesji zimowej przeprowadzaliśmy zarówno w formie zdalnej, jak i stacjonarnej w dużych salach i aulach. Nie wpłynęło to na zwiększenie liczby zakażeń. Chcemy odchodzić od egzaminów prowadzonych zdalnie. Mimo trudności prowadziliśmy zajęcia jak najlepsze jakościowo, gdyż trudno sobie wyobrazić niewypuszczenie całego rocznika medyków, niezbędnych do leczenia chorych. Jestem optymistą i mam nadzieję, że teraz będzie tylko lepiej, tym bardziej że mamy już własne doświadczenie – zapewnia prof. Kuch

Dziekanka, powrót do domu

Jeśli zjawisko odroczenia podjęcia studiów miałoby się stać trendem, padną rozmaite wyższe szkółki gotowania na gazie. A już w tym roku akademickim zdalne nauczanie może zaowocować wysypem urlopów dziekańskich lub wręcz przerwaniem studiów. Do takich wniosków doprowadziły analizy sytuacji na Uniwersytecie Warszawskim. W połowie kwietnia na stronie uczelni pojawił się komunikat: „Po konsultacjach z kierownikami jednostek oraz uwzględniając głos studentów i doktorantów, władze rektorskie podjęły decyzję o rozpoczęciu przygotowań do prowadzenia kształcenia stacjonarnego w roku akademickim 2021/2022".

eprasa.pl 4b004544af

Prof. Paweł Włodarski prowadzi wykład online na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym podczas pandemii.

Dr hab. Mikołaj Jasiński, kierownik Pracowni Ewaluacji Jakości Kształcenia na UW, wspólnie z dr. Markiem Bożykowskim, dr. Albertem Izdebskim i dr hab. Joanną Konieczną-Sałamatin przygotowali raport „Nauczanie w dobie pandemii i perspektywa powrotu do normalności". W badaniu wzięło udział 1,2 tys. nauczycieli akademickich UW (ok. 30%). Akademicy najsłabiej ocenili kontakt ze studentami, efektywność egzaminowania i poziom zaangażowania studentów. Najlepiej – zdalne dyżury i konsultacje, bo dzięki nim są bardziej dostępni dla studentów. Z tego raportu, podobnie jak z wielu innych badań, wynika też, że to kobiety cierpią najbardziej: one opiekują się małymi dziećmi, więc gorzej oceniają swoje warunki pracy.

Dziś wielu studentów potrzebuje pomocy, zaczynają sypać się psychicznie. Sytuacja zawieszenia trwa już drugi rok. Skarżą się na zachwiany schemat dnia, siedzenie przed komputerem ich dobija, brakuje kontaktów towarzyskich. Co najmniej połowa wróciła do rodzinnych miejscowości. W miastach akademickich zostali głównie ci, którzy mają pracę.

Magdalena Pająk z Sowy, Studenckiego Ośrodka Wsparcia i Adaptacji Uniwersytetu Jagiellońskiego: – Powrót do domów rodzinnych dla niektórych okazał się traumą. Młodzi czasami uciekali z nich na studia, bo nie są to domy bezpieczne: z powodu złych relacji, kontrolujących rodziców, złych warunków socjalnych. Proces separacji od takiego środowiska został przez pandemię przerwany i powroty są trudne. Student ma także prozaiczne problemy lokalowe. Nie ma swojej przestrzeni, swojego pokoju, gdzie może prowadzić intymną rozmowę. Zdarza się, że rozmawia z nami z toalety, bo tylko tam znajduje przestrzeń dla siebie. Takie powroty do domów naprawdę nie zawsze były chciane. Obecnie, jak w szkołach powszechnych, mamy problem znikających studentów. Przestają się łączyć, odpisywać na mejle wykładowców. Przytłoczeni sytuacją rozważają przerwanie studiów. Gdy w końcu udaje nam się nawiązać z nimi kontakt, okazuje się, że mają obniżony nastój, problemy z rytmem dobowym, trudno wstać im z łóżka.

Do Sowy zgłaszają się również cudzoziemcy, którzy są podwójnie zagubieni – są w nowym kraju, odmiennej kulturze bez wsparcia bliskich i do tego dochodzi sytuacja pandemiczna, która izoluje ich od środowiska akademickiego. Dlatego zdarza się, że szukają pomocy w kwestiach praktycznego życia: wynajmu mieszkania, zasad odbywania kwarantanny.

Przykre było obserwowanie, jak bardzo wykładowcy są nieprzygotowani do pracy online.

– Trafia do nas ok. 10% studentów. Pandemia na pewno nasila kłopoty emocjonalne. Różne osoby inaczej na nią reagują. Rozmawiamy głównie z tymi, którzy już wcześniej mieli problemy. Sytuacja zamknięcia często jest czynnikiem spustowym – wyjaśnia Magdalena Pająk.

– Brakuje mi bezpośrednich kontaktów. Wiele osób z mojego roku wróciło do domów. Czym innym jest pisanie z kimś na mediach społecznościowych, a czym innym wypicie piwa i podyskutowanie na żywo. Umyka mi przede wszystkim duch akademicki, ta trudna do nazwania atmosfera na uczelni, to poczucie, że oto dotykam czegoś ważnego, co może mnie rozwinąć. Nauka online zupełne tego nie ma. Jeśli jadę do domu na dłużej, staram się zrobić projekty zaliczeniowe wcześniej, bo dla rodziców wciąż jestem Ewą licealistką, która powinna mieć czas dla bliskich, a nie siedzieć przed komputerem i niby studiować – żali się studentka dwóch kierunków: pedagogiki i filozofii, na dwóch uczelniach oddalonych od siebie o 300 km. Ewa pracuje w firmie zajmującej się marketingiem, utrzymuje się sama, pisząc teksty reklamowe dla różnych firm na media społecznościowe. To praca na akord, więc sama ustala jej czas i ilość.

Praktyki online

Dr inż. Dorota Piotrowska, profesor Politechniki Łódzkiej, dyrektor Centrum Współpracy Międzynarodowej, podkreśla, że nauczaniem zdalnym są umęczeni i akademicy, i studenci. – Zabija nas brak kontaktu. Pandemia pokazała wszystkim, że najefektywniejsze jest interaktywne uczenie się w grupie, na żywo, kreatywna wymiana poglądów. Że ważne są wyjście na przerwę i podzielenie się innymi obszarami życia prywatnego, wspólny spacer na przystanek tramwajowy. Nie mówię już o wydarzeniach integracyjnych, których organizowaliśmy sporo, a z powodu pandemii od dawna nie odbyło się żadne.

Zdaniem pani profesor nawet najdoskonalsze narzędzia symulacyjne, gdzie np. trzeba wymieszać składniki, odczytać prawidłowo parametry, nie zastąpią laboratoriów. – Nie mieliśmy jednak wyjścia, na automatyce, robotyce, mechanice, biotechnologii, chemii sięgaliśmy po te wysokiej jakości symulacje, wymagające od studentów zaangażowania się w proces uczenia. Natomiast tam, gdzie było to absolutnie konieczne, robiliśmy laboratoria w małych w grupach.

Dorota Piotrowska nie jest szczęśliwa, że połowa obcokrajowców z powodu nauki zdalnej wróciła do domu, połowa została w akademikach. Są otoczeni wsparciem grup wirtualnych – akademickich i studenckich. Nie jest już poza tym tak tragicznie, jak było

FOT. PIOTR MAŁECKI/NAPO IMAGES/FORUM

eprasa.pl 4b004544af

na początku pandemii: mogą wyjść z pokoju do miasta. Jednak w chwili największego reżimu sanitarnego studiowali, siedząc wyłącznie w pokojach. Nie było mowy o żadnej integracji i socjalizacji. Pojawiły się problemy psychologiczne.

Nie tylko ci z Politechniki Łódzkiej chcieli poznawać kulturę i nowy świat. Przyszło im siedzieć w akademikach, stali się bezradni i zagubieni. Pewien promil doświadcza dyskryminacji. To dzieje się na każdej uczelni.

Mamy problem znikających studentów. Przestają się łączyć, odpisywać na mejle wykładowców.

– Nie miałem wcześniej doświadczeń z nauczaniem online, więc moje początki były trudne. Teamsy u mnie na uczelni pojawiły się dopiero w maju ub.r., od marca łączyliśmy się ze studentami przez Skype'a lub Messengera. Dziś zarówno my, jak i studenci sporo potrafimy. Dzięki poznaniu narzędzi online organizuję spotkania w Akademickim Zaciszu – opowiada Roman Leppert, profesor z Wydziału Pedagogiki Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, kierownik studiów doktoranckich. – Najbardziej wykańcza mnie mówienie do awatarów. Studenci nie chcą albo nie mogą włączać kamerek. Prowadzę zajęcia seminaryjne z niewielkimi grupami, więc są zaangażowani. Jest możliwa nawet praca z tekstem. Wiedzę sprawdzam na bieżąco, na zajęciach daję zadania do wykonania, dyskutujemy o nich. Tak powstaje końcowa ocena, bo tradycyjna formuła testowania lub egzaminowania nie sprawdza się w pracy online. Nigdy nie wiemy, czyją pracę oceniamy – studenci doskonale współpracują ze sobą. Niektórzy wykładowcy próbowali dać krótki czas na rozwiązanie testu, żeby nie było możliwości szukania odpowiedzi w internecie, ale to też okazało się bez sensu.

Prof. Leppert za nieporozumienie uważa praktyki nauczycielskie online. Jak można przyszłego nauczyciela przygotowywać poprzez obserwowanie, jak jakiś nauczyciel prowadzi lekcje, bez możliwości wymiany poglądów, bez emocji towarzyszących procesowi nauczania w realnym świecie? Na praktykach przynudza się na temat wypełniania dokumentów oświatowych lub opowiada o danej szkole.

– W formule online sprawdzają się jedynie wykłady. Usiądę w domu, skupię się, zrobię notatkę, nie muszę dojeżdżać. Natomiast jeśli chodzi o ćwiczenia i praktyki, bardzo dużo tracę. Nie mam możliwości dopytywania na bieżąco, konsultowania. Mam także porównanie, jaki komfort daje praca online w małej grupie. Na filozofii jest nas garstka, wszyscy włączamy kamerki, mimo że nikt nam nie każe. Natomiast na pedagogice jedynie wykładowcy mają włączoną kamerkę – relacjonuje Ewa.

Jeśli zaś chodzi o skuteczność lub nieskuteczność zdalnego egzaminowania, warto przypomnieć sytuację z Collegium Medicum w Bydgoszczy, gdzie okazało się, że w formule online tylko 10% studentów nie zdało egzaminu z anatomii. Na żywo było to zwykle 90%. Egzamin był iście selekcyjny, profesorowie celowo bardzo wysoko podnosili poprzeczkę, bo za powtarzanie egzaminu były pieniądze dla uczelni. Afera wyszła na jaw, gdy wykładowcy zapomnieli wyłączyć mikrofon na Teamsie i studenci mogli usłyszeć ich dyskusję.

W formule online jedynie studia informatyczne mogą być dobre.

Online nie dla MBA

Suchej nitki na formule online nie zostawiają studenci MBA. Płacą słono, oczekują więc jakości. Aleksandra, menedżer w korporacji, studiowała prawo: – Przeszkadzał mi brak kontaktu z grupą. Powinniśmy koncentrować się na omawianiu konkretnych przypadków. W wersji online bronią się wyłącznie wykłady. Ćwiczenia to porażka. Najczęstsza forma zaliczenia: napiszcie esej. Byle tylko zaliczyć. Próbowano tworzyć wirtualne pokoje, ale wykładowcom zabrakło kompetencji cyfrowych. Jedyny plus – nie traciłam czasu na dojazdy. Nie tego oczekiwałam od studiów MBA.

Wojtek, menedżer w sektorze państwowym: – Moja firma zapłaciła Collegium Humanum za studia 10 tys. zł. Niestety, uczelnia poszła na łatwiznę, bo pandemia spowodowała rzucenie się na studia online. Kierownictwo zwęszyło szybką kasę, stworzono 25-osobowe grupy. Nie płacą za salę, katering itp., więc finansowo wszystko im się spięło, ale z pewnością prestiż uczelni ucierpiał, bo wszyscy mówią o kiepskiej jakości tych studiów. Jak prawnik może uczyć ekonomii menedżerskiej? A że w pośpiechu nie znaleźli fachowca, dali nam prawnika. Nie można pokazywać prezentacji sprzed półtora roku, bo od razu wyłapaliśmy jej nieaktualność. Raz połączono grupy i pracowaliśmy w 50 osób. To kpina! Jedynie zajęcia ze sztuki wystąpień publicznych w wykonaniu dziennikarza z TVN były zadowalające.

Zdaniem Wojtka studia MBA w formule online powinny być zabronione. Nuda zabija kreatywność. Ze zjazdu na zjazd studenci mniej się angażują. – Przykre było obserwowanie, jak bardzo wykładowcy są nieprzygotowani do pracy online. Przynudzają, po 15 minutach mimo najlepszych chęci nie da się ich słuchać. Każdy z nich powinien przejść solidne szkolenie z wystąpień online. Nie panują ponadto nad narzędziami, nie wyłączają mikrofonu i słychać w tle, jak gotuje się woda – punktuje.

– Trzeba postawić na dobrych wykładowców, małe grupy, przejrzyste materiały. Nie da się pracować online tak jak stacjonarnie, co niektórym akademikom mogło się wydawać możliwe. Jeśli wykładowca potrafi czarować, chcesz go słuchać. Ciekawsze są zajęcia z sędzią, który cokolwiek przeżył, niż z wykładowcą, który jest teoretykiem. Myślę, że w formule online jedynie studia informatyczne mogą być dobre – podsumowuje Wojtek.

Jeden wielki plus zdalnego kształcenia? Opanowanie narzędzi informatycznych, dzięki którym wykłady będą mogły być prowadzone tylko zdalnie.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b004544af

To była ucieczka

Kulisy akcji humanitarnej ONZ w Iraku

Rozmawia Marcin Ogdowski

DR WOJCIECH WILK
– prezes Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej, niegdyś pracownik, obecnie ekspert Organizacji Narodów Zjednoczonych. Uczestniczył w 19 operacjach humanitarnych. Nadzoruje największy polski program pomocy dla uchodźców syryjskich, realizowany od 2012 r. przez PCPM w Libanie. Kieruje także medycznym zespołem szybkiego reagowania PCPM, działającym w ramach systemu Światowej Organizacji Zdrowia (WHO).

Do Iraku trafiłeś w sierpniu 2003 r. jako pracownik oenzetowskiego OCHA, Biura ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej.

– 4 sierpnia wylądowałem w Bagdadzie. Do siedziby ONZ w dawnym hotelu Canal dotarliśmy ekspresowymi trasami, zbudowanymi w latach 70. i 80. przez Polaków z Budimeksu. U nas tak dobrych dróg było wtedy tyle co kot napłakał – wzdychałem więc i śmiałem się na zmianę. Lecz samo miasto wydawało mi się bardzo chaotyczne.

W hotelu Canal urzędowała przed wojną ekipa z programu „Ropa za żywność".

– Uruchomiono go jako sposób na złagodzenie sankcji, które objęły Irak w 1990 r. Po inwazji na Kuwejt i później, gdy Saddam jednak utrzymał się przy władzy, Bagdad wyrugowano z wolnego rynku sprzedaży ropy. Ale bez środków finansowych uzyskiwanych z tego źródła krajowi groziła zapaść gospodarcza, a ludziom bieda i głód. Stąd inicjatywa ONZ, którą w 1995 r. zaakceptował iracki rząd. Program polegał na tym, że Irak sprzedawał ustaloną z góry ilość ropy, za co przekazywano mu co miesiąc tzw. koszyki żywnościowe, przeznaczone dla mieszkańców. Zawierały one podstawowe produkty żywnościowe, leki i chemię gospodarczą. Dystrybucja odbywała się przez sieć sklepów i pozostawała pod kontrolą pracowników ONZ.

„Ropa za żywność" była największym finansowo przedsięwzięciem ONZ. Jednocześnie wokół programu narosła gigantyczna korupcja.

– Dotyczyła zarówno władz irackich, jak i współpracowników ONZ. Sprzedaż ropy na czarno, malwersacje, ustawione przetargi – sporo tego było. Program podkopał też poczucie dumy zwykłych Irakijczyków. Spadek ich poziomu życia zaczął się wcześniej, podczas wojny iracko-irańskiej w latach 80., ale w latach 90. negatywna tendencja utrwaliła się na dobre. Przedstawiciele kultury liczącej 4 tys. lat zostali zmuszeni do życia z paczek żywnościowych. To było ogromne upokorzenie.

Wróćmy do hotelu. Obstawiali go amerykańscy żołnierze?

– Tak, przed budynkiem stały wozy opancerzone, a w środku oenzetowscy strażnicy. Jeszcze tego samego dnia dowiedziałem się, że na autostradzie między Bagdadem a Al-Hillą ostrzelano auto Czerwonego Krzyża. Któryś z moich przełożonych uznał, że przejazd jest czasowo niebezpieczny i z założeniem biura terenowego ONZ w Al-Hilli trzeba poczekać. Musiałem więc znaleźć sobie robotę na miejscu. I tak trafiłem do innego pokoju niż ten, do którego mnie początkowo przydzielono.

Canal znajdował się w zielonej strefie?

– Nie. Był na wschodnim brzegu Tygrysu, tuż przy biegnącym do rzeki kanale – stąd nazwa. Jako że cały budynek zajęły biura różnych oenzetowskich programów, spaliśmy w ośmioosobowych namiotach na parkingu. Nie czułem się tam komfortowo, bo równie dobrze mógłbym spać na dachu – czego akurat nie wolno było mi robić. Co noc z Miasta as-Sadra – gigantycznej dzielnicy zamieszkanej przez szyicką biedotę – dobiegały nas odgłosy strzelanin i wybuchów granatów moździerzowych. Zdarzało się, że kule i pociski lądowały na dachach, że ktoś przy tej okazji zginął lub został ranny. Nasi przełożeni o tym wiedzieli i dlatego zabronili nam sypiać na dachu budynku. W sumie zabawne, bo przecież brezentowa płachta nie stanowiła dla nas żadnego zabezpieczenia.

Upadek Saddama wyzwolił falę przemocy w całym Iraku.

– Podczas jednego z wyjazdów terenowych dotarłem do miejscowości Chanakin. Przed wojną za sprawą polityki migracyjnej Saddama napłynęła tam ludność arabska. Zwykle zubożali mieszkańcy południa kraju, z jednej strony przymusowo przesiedleni, z drugiej zachęceni do osiedlania się przez rząd iracki, który dawał im domy i ziemię należące wcześniej do wypędzonych Kurdów. Ale ci zaczęli wracać. Aktów bezpośredniej przemocy nie odnotowano wiele. Gdy rozmawiałem z szyickimi osiedleńcami, raczej mówili o presji, a nie represji. Ale ta była na tyle silna, że coraz więcej Arabów opuszczało domy, zwalniając je dla Kurdów.

Ilu osób dotyczyło to zjawisko?

– Chodziło o dziesiątki tysięcy. Chanakin to przykład – kurdyjskie powroty miały miejsce w ogromnym pasie, rozciągającym się od granicy z Iranem po Mosul w północnym Iraku. Największym punktem zapalnym okazało się miasto Kirkuk, pod którym są złoża ropy naftowej. I Kurdowie, i Arabowie uznają je za swoje, a konflikt tak naprawdę trwa do dziś.

Wypad do Chanakin był jednorazową akcją?

– Tak, w Bagdadzie skupiłem się na sytuacji osób masowo wyrzucanych z mieszkań przez właścicieli budynków. Rząd Saddama wprowadził kontrolę czynszów, *de facto* je zamroził, ignorując inflację. W latach 70. jeden dinar iracki wart był dwa dolary, a gdy przyjechałem do Bagdadu,

eprasa.pl 4b004544af

za dolara trzeba było płacić 5 tys. dinarów. W sklepie czy w stołówce ceny podawano w „kawałkach" (ang. *pieces*). W obiegu był bowiem tylko jeden banknot, 250-dinarowy – z wizerunkiem Saddama Husajna. *Five pieces* oznaczało więc 1250 dinarów, równowartość puszki napoju. W sytuacji szalejącej inflacji zamrożenie czynszów pozbawiało właścicieli dochodów. Kiedy zatem upadł reżim Saddama, stawki za wynajem gwałtownie wzrosły. Mało kogo stać było na nowo naliczane opłaty – i tak zaczęła się fala mniej lub bardziej dobrowolnych eksmisji.

Właściciele mieszkań odzyskali swoją własność, ale z dnia na dzień bezdomne stały się dziesiątki tysięcy rodzin.

– Ci ludzie szukali schronienia przede wszystkim w opuszczonych bazach armii irackiej rozsianych wokół Bagdadu. Zjeździłem chyba wszystkie takie obiekty, chcąc ustalić, ile mieszka w nich osób. I na ile da się, np. poprzez budowę przepierzeń, zapewnić pojedynczym rodzinom choćby namiastkę prywatności. Upewniałem się, że dociera tam woda, sprawdzałem sytuację sanitarną. Bagdad był wtedy na skraju potężnego kryzysu epidemicznego. Elektrownie nie produkowały prądu, co wyłączyło z ruchu przepompownie ścieków. Najgorsza sytuacja panowała w milionowym Mieście as-Sadra, gdzie ścieki wartkim strumieniem płynęły ulicami. Przy 50-stopniowym upale zaduch był koszmarny.

Wojciech Wilk (z czerwonym plecakiem) wśród uchodźców wewnętrznych w jednej z opuszczonych baz wojska irackiego na przedmieściach Bagdadu, sierpień 2003 r.

Mówimy o kraju, który posiada dziesiątą część zasobów ropy naftowej na świecie.

– Zapaść wynikała z kombinacji trzech czynników. Po pierwsze, z dnia na dzień sparaliżowane zostały wszelkie struktury organizujące ludziom życie. Ten stan trwał przez kilka miesięcy. Po drugie, interwencja amerykańska spowodowała gigantyczną falę grabieży. Łupiono, co tylko się dało, nierzadko ważne elementy infrastruktury. Znamy to w ograniczonym zakresie z naszego podwórka – ileż to razy PKP musiały wstrzymywać ruch z powodu kradzieży szyn albo drutu przez złomiarzy. Trzecim powodem była głupia polityka Amerykanów, którzy rozwiązali dotychczasowe siły bezpieczeństwa Iraku, a osobom należącym wcześniej do partii Baas odmówiono prawa do dalszej pracy w urzędach i instytucjach publicznych.

W kraju Saddama Husajna każdy, kto coś znaczył, musiał być członkiem reżimowej partii.

– Otóż to. W efekcie np. inżynierowie, którzy mogliby uruchomić elektrownie, puścić w ruch przepompownie, bali się przyjść do pracy.

Zacząłem jeść, gdy dzień zamienił się w noc. Ułamek sekundy wcześniej zobaczyłem, że cała szyba pęka, a rama i mnóstwo odłamków lecą w moją stronę.

Dodałbym jeszcze czwarty czynnik – przestarzałą infrastrukturę, co było winą wieloletnich zaniedbań, po części także sankcji.

– Słuszna uwaga. Jak zwykle najbardziej poszkodowane były dzieci, całymi dniami przebywające w skażonym otoczeniu. Współpracowałem zatem z ludźmi z UNICEF, którym też zależało na jak najszybszym uruchomieniu wodociągów. I nie tylko – któregoś razu pojechaliśmy do dawnej bazy armii irackiej za północną obwodnicą Bagdadu. Tym, co od razu rzucało się w oczy, były niewielkie pojemniki, wielkości puszki farby w spreju, z charakterystyczną żółtą zawleczką. Tak wyglądały pojedyncze ładunki bomb kasetowych, masowo zrzucanych przez Amerykanów podczas wiosennych walk. Część nie wybuchła i niestety przyciągała uwagę najmłodszych. Często kończyło się to tragicznie, ważne więc było odgrodzenie obszarów usianych bombami i skierowanie tam ekip rozminowujących.

Tragedia stała się też udziałem pracowników ONZ. Przejdźmy do 19 sierpnia 2003 r.

– Rano pojechaliśmy do jednej z irackich baz na obrzeżach miasta. Coś tam się działo w centrum, więc wróciliśmy do Canalu drogami szybkiego ruchu, jadąc dookoła stolicy. Gdy dotarliśmy na miejsce, była godz. 14. Po przedpołudniu spędzonym w upale niespecjalnie czułem głód, mimo to poszedłem do stołówki. Zamówiłem posiłek, usiadłem przy stole z twarzą skierowaną do okna. Zacząłem jeść, gdy nagle dzień zamienił się w noc. Ułamek sekundy wcześniej zobaczyłem, że cała szyba pęka, a rama i mnóstwo odłamków lecą w moją stronę. Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby ratować oczy. Schowałem twarz w talerzu z jedzeniem i dostałem w czaszkę masą odprysków. Sturlałem się na podłogę pełną potłuczonego szkła. Wokół było ciemno od kurzu.

Domyśliłeś się, co zaszło?

– Ktoś krzyknął, że to bomba i żeby się kryć, bo za chwilę może

eprasa.pl 4b004544af

nastąpić kolejny atak. Przeczołgałem się do części kuchennej stołówki, gdzie zebrało się już kilku ludzi. Z kawałkami szkła wbitymi w twarze, w kończyny, próbowali jakoś dojść do siebie. Sam byłem utytłany we krwi. Szybko zorientowałem się, że mimo ran na głowie i zadrapań na ciele nie odniosłem poważniejszych obrażeń. Że krew nie była moja. Pamiętam trochę jak przez mgłę, jak zacząłem się przedzierać przez na wpół zawalony budynek, żeby dojść do biura, złapać telefon komórkowy i zadzwonić do narzeczonej. Powiedzieć jej, że ze mną wszystko w porządku.

Pokój, w którym pierwotnie miałeś pracować przed wyjazdem do Al--Hilli, znajdował się 3 m od miejsca eksplozji bomby.

– I wyparował razem z częścią mojego zespołu. Pomieszczenie, które ostatecznie zajmowałem, miało jakieś 10 m długości. Tyle wynosił dystans między oknem a białą tablicą do pisania zawieszoną na przeciwległej ścianie. Widok kawałków szkła powbijanych w tablicę niczym noże wiele mówił o sile wybuchu. Na moim biurku leżał laptop przywalony panelami z sufitu, całkowicie rozbity. Wyjąłem z szuflady najważniejsze rzeczy, czyli telefon i dokumenty, a potem wybrałem numer do Sylwii. Miałem szczęście, że dodzwoniłem się kilka minut przed podaniem przez media informacji o zamachu.

Napędziłeś przyszłej żonie strachu, ale zarazem oszczędziłeś potwornego stresu.

– Przez wiele godzin dzwonili potem do niej nasi znajomi, pytając, co ze mną. Żyłem, ale zaczął mi się urywać film. W budynku pracował Kanadyjczyk polskiego pochodzenia. On do tej pory jest przekonany, że to ja go wtedy odnalazłem, wyniosłem z gruzów i przekazałem ratownikom medycznym. Kompletnie tego nie pamiętam.

A pamiętasz, co działo się, gdy opuściłeś budynek?

– W środku niewiele było widać, za to na zewnątrz... (westchnienie). Tłum ludzi, z których część leżała na trawnikach ciężko ranna, umierająca lub martwa. Rozpoznałem ciało szefa UNICEF w Iraku. Kanadyjczyk, młody facet – miał zaledwie 32 lata i dobrze się zapowiadał. Gdy wybuchła bomba, wysiadał z samochodu. Zginął na miejscu. Wśród zabitych byli ludzie z gabinetu politycznego szefa ONZ w Iraku, zginął też on sam, przygnieciony gruzami...

Sérgio Vieira de Mello, Brazylijczyk, typowany na następcę ówczesnego sekretarza generalnego Kofiego Annana.

– Typowany... Na ile mogłem, włączyłem się w akcję ratunkową. Bardzo szybko pojawili się amerykańscy medycy z pobliskiego ambulatorium. Zaprowadziłem tam kolegę, który podczas wybuchu siedział przy komputerze i dostał w tył głowy ramą okienną, wepchniętą do środka przez podmuch. W ten sposób zostało wówczas poszkodowanych wiele osób.

Ewakuowano cię śmigłowcem?

– Nie, byłem jednym z lżej rannych. Helikoptery amerykańskiego wojska zabierały tych w największej potrzebie. Ja wraz z innymi osobami trafiłem do szpitala polowego lądem. Tam założono mi kilka opatrunków.

Atak na siedzibę ONZ w Bagdadzie przeprowadził zamachowiec samobójca. Algierczyk zrekrutowany przez iracką Al-Kaidę. Wsiadł do betoniarki wypełnionej 750 kg materiału wybuchowego i podjechał pod sam budynek. Jak to w ogóle możliwe, że udało mu się zajechać tak blisko?

– Budynek organizacji znajdował się przy drodze, która prowadziła do szpitala dla upośledzonych. Był to jedyny dojazd do tej placówki i nie udało się go wyłączyć z ruchu.

Kilkanaście dni wcześniej miał miejsce atak bombowy na ambasadę Jordanii w Bagdadzie, w kolejnych miesiącach terroryści wzięli na celownik kwatery Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyca. W biuro amerykańskiego NGO Care w Mosulu wystrzelono pociski RPG. To już nie były „tylko" coraz lepiej zorganizowane akcje przeciwko wojsku.

– Zgadza się. Przy czym „nasz" zamach był najbardziej spektakularny. Zginęły w nim 22 osoby, ponad 160 zostało rannych. Jeden z moich kolegów siedział w biurze z koleżanką. Ona zginęła, on wyszedł bez szwanku – efekt psychologiczny straszny.

Kolejnego dnia wróciłeś na gruzowisko.

– Mieliśmy pomóc w uprzątnięciu terenu i ratowaniu tego, co się dało. Nim dotarliśmy na miejsce, w aucie wysłuchaliśmy przemówienia sekretarza generalnego. Kofi Annan potępiał zamach i dodał, że chyli czoła przed tymi, którzy stają wobec tak dużego niebezpieczeństwa. Przede wszystkim jednak zapewniał, że ONZ nie opuści Iraku i będzie pomagać tak długo, jak będzie to potrzebne.

Chciałeś – chcieliście – wyjeżdżać?

– Skąd! To byłaby ucieczka. Poza tym doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że sytuacja się pogarsza, że potrzeby są gigantyczne, a będą jeszcze większe. „Potrzebują nas tu, a nie na Cyprze czy w jakimś innym przyjemnym miejscu", mówił jeden z kolegów.

Wbrew deklaracjom góry jeszcze tego samego dnia zaczęła się ewakuacja oenzetowskiego personelu.

– Najpierw mowa była o ograniczeniu jego liczby. W sumie nikogo nie zdziwiło, że polecenie wyjazdu dostały wszystkie osoby z projektu „Ropa za żywność". Program i tak już się kończył. Ale dwa dni po zamachu i ja otrzymałem informację, że lada dzień polecę do Ammanu. Chciałem czy nie, kilka dni później byłem już w jordańskiej stolicy, gdzie każdy z nas musiał przejść obowiązkowe badania psychologiczne.

To była chyba pierwsza taka sytuacja dla ONZ. Podczas wojen w byłej Jugosławii czy w Afryce, nawet w Sudanie Południowym, organizacje niosące pomoc nie były celem bezpośredniej przemocy.

– Jeśli już zdarzały się ataki, to na konwoje, samochody czy punkty dystrybucji, ale nigdy na biura. Zamach na siedzibę ONZ uświadomił nam boleśnie, że i my jesteśmy celem, podobnie jak wojsko. Do tego celem łatwiejszym, bo nieuzbrojonym. No i atrakcyjniejszym, bo uderzenie w nas przynosi większy efekt medialny.

Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby ratować oczy. Schowałem twarz w talerzu z jedzeniem i dostałem w czaszkę masą odprysków.

eprasa.pl 4b004544af

Siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych w Bagdadzie zniszczona wskutek samobójczego zamachu bombowego. Widoczna na zdjęciu flaga, podziurawiona odłamkami, jest wystawiona w holu Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku.

Nie mogłyby was ochraniać siły pokojowe?

– To nie jest takie proste. Do wysłania sił pokojowych trzeba zgody kraju, który tę operację przyjmuje. Na palcach jednej ręki można policzyć sytuacje, kiedy wojska ONZ wysyłano bez takiego mandatu. Właściwie to były tylko wojna koreańska oraz interwencja w Kongu w 1981 r. Przy czym misja w Kongu zakończyła się katastrofą – niebieskie berety wkrótce stały się stroną wojny domowej. Dlatego ważne jest, aby zgodę na obecność sił pokojowych wydały wszystkie zaangażowane podmioty.

W Iraku rząd nie istniał, nadzór sprawowały tymczasowe władze okupacyjne, a po drugiej stronie mieliśmy rozproszone formacje rebelianckie, pozbawione centralnego dowództwa. Najsilniejsza w tym gronie Al-Kaida była strukturą terrorystyczną, z zasady nieakceptującą idei Narodów Zjednoczonych.

– Razem z grupą współpracowników sugerowaliśmy naszym przełożonym z Genewy i Nowego Jorku zmianę sposobu myślenia. Chcieliśmy nieść pomoc przez struktury nie państwowe, ale ponadpaństwowe. W Iraku i Jemenie, w którym pracowałem później, najsilniejszy rodzaj więzi tworzą grupy plemienne. I one mogłyby być podmiotem dystrybucji pomocy humanitarnej. Niestety, pomysł nie został odpowiednio wykorzystany, w efekcie ani w Iraku, ani w Jemenie pomoc nie była realizowana tak, jak powinna.

Tymczasem w Iraku działy się rzeczy straszne. Pod koniec marca 2004 r. rebelianci zabili w Faludży czterech pracowników firmy ochroniarskiej Blackwater. Ich spalone ciała powiesili na moście, a ujęcia z tego zdarzenia obiegły świat. Stały się też pretekstem do amerykańskiej operacji wojskowej, znanej dziś jako pierwsza bitwa o Faludżę.

– Ludzie bali się wyjść poza mury posesji, a wielu rannych, pozbawionych pomocy medycznej, umierało w domach. W mieście nie było wody, prądu – totalna katastrofa. W Faludży znajdował się jeden z największych magazynów żywności ONZ. Walki uniemożliwiły korzystanie z niego, co miało negatywne skutki także dla mieszkańców innych terenów.

Amerykanie musieli odstąpić – opór bojowników był zbyt silny. Wrócili w listopadzie 2004 r., kiedy miała miejsce druga bitwa o Faludżę.

– Miasto ostatecznie udało się spacyfikować, ale skutki były straszne. W czasie walk niszczono z powietrza domy, gdzie chowali się rebelianci, nie przejmując się tym, że w wielu budynkach byli również cywile. Zginęło ich ponad 6 tys. Obie bitwy zmusiły praktycznie całą ludność miasta do ucieczki. Niemal 300 tys. osób rozproszyło się gdzieś pomiędzy Faludżą a Bagdadem. Co niepokojące, podczas bitew złamano wielokrotnie zasady prawa humanitarnego, wedle którego formacje zbrojne nie mogą zajmować takich obiektów jak szpitale czy miejsca kultu. W Faludży Amerykanie nie mieli przed tym obiekcji, nie dziwi więc, że podczas pacyfikacji kolejnego miasta – Nadżafu – Armia Mahdiego wykorzystała szpital jako pozycję dla snajperów.

Obserwowałeś to z oddali, ale szaleństwo irackiej wojny dotarło i do Ammanu.

– Jeszcze w kwietniu 2004 r. miejscowym siłom bezpieczeństwa udało się zapobiec zamachowi przy użyciu cystern wypełnionych chlorem. Jedna miała wybuchnąć w okolicy ambasady amerykańskiej, druga w centrum miasta, przy siedzibie policji. Liczba ofiar byłaby wówczas koszmarna. Już po moim wyjeździe do Sudanu, w listopadzie nastąpiła seria ataków bombowych na hotele. Jeden z samobójców wysadził się na weselu, w miejscu, w którym odbyliśmy wiele spotkań, drugi odpalił ładunek przy recepcji, w lokalu, w którym też wielokrotnie bywałem.

Ammańska placówka ONZ mieściła się już wtedy w nowej siedzibie.

– Zbudowanej wedle zaleceń wprowadzonych po zamachu w Bagdadzie. Podstawową rzeczą w przypadku zamachu bombowego jest osłabienie fali uderzeniowej – stąd betonowy mur oraz 25-metrowy dystans między nim a ścianą budynku. Do tego okna, których ramy mocowano na specjalnych obejmach, zabezpieczone folią zapobiegającą rozpryśnięciu się szyb.

Biorąc pod uwagę urazy twoje i kolegów, taka folia ograniczyłaby liczbę rannych w Bagdadzie.

– I wyobraź sobie, że bagdadzki dział bezpieczeństwa przygotował odpowiednią rekomendację. Lecz dokument utknął na długie tygodnie w tamtejszym pionie administracyjnym. Ostatecznie filtr nie został zamontowany, przez co wielu ludzi potraciło oczy, miało poharatane twarze i szkody na całe życie. A osoba odpowiedzialna za opóźnienie nie poniosła żadnych konsekwencji. Ba, później dostała nawet awans.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ARCHIWUM WOJCIECHA WILKA (2)

eprasa.pl 4b004544af

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Dziedzictwo Komuny

Paryż, 26 maja 1871 r., 150 lat temu. Jeden z wieczorów „krwawego tygodnia" – zażartych walk paryskiej Komuny z nacierającymi wojskami francuskiego rządu. W mieście obowiązuje zaciemnienie, tymczasem w oknach mieszkania przy Avenue du Bel-Air pali się światło. Oficer rządowy wdziera się do kamienicy i stwierdza, że lokatorzy, Michał Szweycer i Adolf Rozwadowski, są Polakami. „Polacy, więc służycie Komunie!", wykrzykuje. Starsi panowie zaprzeczają – nic ich z Komuną nie łączy, są wyznawcami sekty Andrzeja Towiańskiego. Ale Francuz nie słyszał o Towiańskim: Polacy zostają wyprowadzeni i natychmiast rozstrzelani.

Czy jeszcze pamiętamy, że był taki czas, w którym słowo „Polak" znaczyło „komunista"? Czy pamiętamy o udziale w Komunie Paryskiej 400-osobowej rzeszy Polaków? Dla tych ludzi Komuna była kontynuacją ich wcześniejszej, powstańczej walki. Stanowiła zbrojny protest przeciw upokorzeniu Francji w wojnie francusko-pruskiej, była buntem przeciw pokojowi ze zjednoczonymi już Niemcami, pokojowi, który grzebał ostatnie polskie nadzieje. Teraz jedyną szansą było już tylko rozpalenie rewolucji europejskiej, wywrócenie porządku ustalonego niegdyś przez kongres wiedeński. Oczywiście były to mrzonki. Lecz czymże, jak nie mrzonkami, były polskie powstania, zawsze wzniecane bez należytej politycznej kalkulacji? A przy tym – jak pisał Adam Mickiewicz w „Księgach pielgrzymstwa polskiego" – „gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności i walka o nię, tam jest walka o Ojczyznę i za tę walkę bić się wszyscy powinni". Stary Skawiński, bohater Sienkiewiczowskiego „Latarnika", poszerzy wkrótce to wezwanie o kraje Nowego Świata. Polacy w Komunie także tym razem walczyli o „wolność waszą i naszą".

Szweycer znał Mickiewicza, bywał w jego domu; trudniąc się fotografią, wykonał jego słynne zdjęcie. Ani on, ani Rozwadowski rzeczywiście nie byli komunardami. Ale obecność w Komunie ich rodaków była na tyle znaczna, że czterech z nich mianowano generałami. Stało się tak zwłaszcza w przypadku Jarosława Dąbrowskiego, niegdyś w Warszawie członka Komitetu Centralnego Narodowego, potem niedoszłego zesłańca, teraz zaprzysięgłego radykała, domagającego się marszu na Wersal, obalenia rezydującego tam rządu, rozwiązania Zgromadzenia Narodowego. Władze Komuny zrobiły Dąbrowskiego naczelnym wodzem – jedyny to przypadek, by najwyższą władzę wojskową powierzyli paryżanie cudzoziemcowi. A wśród Polaków mianowanych generałami byli także: 70-letni Roman Czarnomski, weteran powstania listopadowego, August Okołowicz, uczestnik wojny krymskiej, i Walery Wróblewski, jeden z dowódców powstania styczniowego. Na barykadach Komuny walczyły czasem całe polskie rodziny: obok Okołowicza jego bracia Anatol, Edward, Ferdynand i Karol, obok Dąbrowskiego jego brat, Teofil, również powstaniec, teraz mianowany pułkownikiem. Adiutantem Dąbrowskiego też był Polak, Włodzimierz Rożałowski.

„Krwawy tydzień" trwał od 21 maja. Dwa dni później, na barykadzie koło Montmartre'u, Dąbrowski został ciężko ranny i po paru godzinach zmarł w szpitalu. Szweycer i Rozwadowski jeszcze wtedy żyli – zginą po kolejnych dwóch dniach. Ale ich zwłoki będą leżeć na ulicy przez 48 godzin i dopiero po ucichnięciu strzałów Edmund Różycki, kolejny powstaniec styczniowy, otrzyma zgodę na zabranie ich i pochowanie na cmentarzu w podparyskim Bercy. Potem prochy zostaną przeniesione do Paryża, na cmentarz Père-Lachaise, do grobu zbiorowego. Osiadły we Florencji Teofil Lenartowicz poświęcił rozstrzelanym przejmujący poemat „Dwaj towiańszczycy". Zapobiegliwie pozostawił go w rękopisie.

Nigdy nie lubiłem rewolucji. Terror wprowadzony przez komunardów – niszczenie i podpalanie budynków i pomników, rozstrzeliwanie zakładników – budzi moją odrazę. Zwłaszcza że wśród straconych zakładników był arcybiskup Paryża, Georges Darboy, akurat hierarcha o poglądach liberalnych. Ale odraza nie powinna być wybiórcza – terror (choć na mniejszą skalę) znały wszystkie polskie powstania, dopiero co na ulicach Warszawy szaleli „sztyletnicy". Terror Komuny szybko zaś zyskał odpowiedź w postaci jeszcze sroższego terroru rządowego. W samym „krwawym tygodniu" zabito ok. 20 tys. komunardów i paryżan; wśród ofiar był wspomniany 25-letni Karol Okołowicz, łącznik Dąbrowskiego, rozstrzelany w forcie Vincennes. Potem wydano na komunardów 1266 wyroków śmierci, ponad 7 tys. zesłano do Nowej Kaledonii, wielu (nawet sędziwego Czarnomskiego) skazano na galery.

> Powiedz mi, co sądzisz o Komunie, a ja ci powiem, kim jesteś.

Dla Francuzów była Komuna ostatnim odblaskiem wydarzeń rewolucyjnych zapoczątkowanych niegdyś zburzeniem Bastylii. Dla Polaków była ostatnim aktem powstań: w tym przypadku skierowanym przeciw nowemu prorosyjskiemu rządowi Francji oraz przeciw nowo powstałemu Cesarstwu Niemieckiemu. Jeżeli czcimy polskich powstańców, to z grona tego nie powinniśmy wyłączać polskich komunardów – i to tym bardziej jeszcze, że byli to często ci sami ludzie. Jeżeli jednak nawet włączymy Komunę w ciąg rewolt społecznych, nawet tych o obliczu antypowstańczym, jak ćwierć wieku wcześniejsza rabacja galicyjska, to i tak nie przestanie być ona naszym wspólnym, polskim dziedzictwem. Bo dziedzictwa się nie wybiera, z garbem dziedzictwa się rodzimy, dźwigamy je na barkach, nosimy w genach. Powiedz mi, co sądzisz o Komunie, a ja ci powiem, kim jesteś. Przestaniemy być narodem, jeżeli pozwolimy odebrać sobie dziedzictwo.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b004544af

Prof. Walicki o generale Jaruzelskim

Odpowiedzialność Generała i małość polityków prawicy

W „Dziennikach" prof. Andrzeja Walickiego znalazło się niemało zapisków odnoszących się do gen. Wojciecha Jaruzelskiego, do podjętej przez niego decyzji o stanie wojennym, do okresu jego rządów i do życia po rezygnacji z prezydentury. Poniższy tekst jest fragmentem zapisków, które znalazły się w rozdziale „Generał" w wydanej przez PRZEGLĄD książce „PRL i skok do neoliberalizmu. Jaruzelski. Solidarność. Zdrada elit" pod redakcją Joanny Schiller-Walickiej i Pawła Dybicza.

10 XI 2006
Po lekturze książki Generała

Przeczytałem wstrząsającą broszurę gen. Jaruzelskiego („Stan wojenny w Polsce. Starsi o 25 lat"), wydaną w przewidywaniu ultrahecy. M.in. o całkowitym ignorowaniu jego poprzednich publikacji, zgromadzonych w nich faktów. O ewolucji poglądów Bogdana Borusewicza, który mówił niegdyś o „amoku" Jarosława Kaczyńskiego, który w 1994 r. nazywał „Solidarność" ruchem „monstrualnym", nienadającym się do jakiejkolwiek demokracji.

A teraz w książce-wywiadzie „O dwóch takich…" mówi, że „jeśli stan wojenny był do uniknięcia, to Jaruzelskiemu należy się kula w łeb". Cytowałem analogiczną wypowiedź z 1992 r., gdy istniała jeszcze w Polsce kara śmierci.

Dla mnie osobiście sprawa Jaruzelskiego ma wymiar moralny, który uniemożliwia mi pogodzenie się z tzw. obozem postsolidarnościowym.

13 XII 2006
Degradacja Generała

[…] Według „Gazety Wyborczej" sondaże wskazują, że do dziś 46% respondentów uważa stan wojenny za konieczny – ale poglądy te nie istnieją w środkach masowego przekazu!

TVP 1: Mirosław Chojecki nawołuje do uznania SB i „twórców stanu wojennego" za przestępców! Wałęsa za to mówi, że walczył z systemem, a nie z Generałem, i nawołuje do ostrożności sędziów. Potworny happening w centrum Warszawy.

A teraz gada uśmiechnięty (!) Andrzej Paczkowski. Zmarnowana dekada, przekreślenie aspiracji milionów… Zbigniew Brzeziński, że Jaruzelski „zmarnował swą życiową szansę". Lech Wałęsa rozsądnie odpowiada, że rozmawiał z „wielkimi tego świata" i nikt nie dawał nam szansy, to dlaczego w taką szansę wierzyć miał Jaruzelski?

Notabene dlaczego dekada, skoro już w roku 1987 była w praktyce prawie zupełna wolność? A do 1989, od roku 1981, też tylko niecałe 8 lat.

Pokazywano też Marka Borowskiego, na szczęście mówił tylko, że radykalne reformy w wykonaniu Jaruzelskiego były niemożliwe. OK!

14 XII. Na czołówce „Dziennika", że prezydent Lech Kaczyński żąda degradacji Jaruzelskiego! Z odebraniem generalskiej emerytury.

Obrzydliwość, hańba!

13 XII 2008
Dwa wywiady – Kania i Modzelewski

Nadeszła „Gazeta Świąteczna", 13-14 XII, z dwoma bardzo ciekawymi wywiadami z okazji rocznicy stanu wojennego: wywiad Adama Michnika i Wojciecha Maziarskiego ze Stanisławem Kanią oraz wywiad Artura Domosławskiego z Karolem Modzelewskim („Nie mieliśmy szans"). Pierwszy bardzo dobry, wewnętrznie spójny, obfitujący w konkretne dane, drugi natomiast nieco rozczarowujący – aczkolwiek też ciekawy, nawiązujący bezpośrednio do konferencji w Jachrance. […]

Modzelewski nie podzielał zdumiewającego naiwnego optymizmu stoczniowców („A co ma Armia Radziecka do związków zawodowych?"). Już to retoryczne pytanie dowodzi notabene, że w PRL nie było totalitaryzmu. Od początku wiedział, że to, co się dzieje, to zamach na podstawy systemu. Zdumiewał go wręcz „brak reakcji siłowej ze strony władz". Wiedział dobrze, że „uniezależnienie się »Solidarności« od władzy, przy równoczesnym braku mechanizmów demokratycznych, prowadziło do rozkładu organizatorskich funkcji państwa. A to z kolei wiodło do katastrofy gospodarki – sterowanej przez państwo, a nie przez prawa rynku".

Istotnie – jeśli gospodarką kieruje „widzialna ręka administracji", to załamanie tej ręki musi być totalną gospodarczą katastrofą!

Kania utracił zaufanie wojska, bezpieki i partii (ściślej: aktywu PZPR). Aparat chciał pacyfikacji „Solidarności". A więc Jaruzelski miał do wyboru już tylko wprowadzić stan wojenny albo odejść i pozostawić to zadanie swemu następcy, zapewne komuś z „betonu".

Zgoda! Tylko skąd wniosek, że dlatego nie było w Polsce miejsca na „manewr w stylu Dubczeka", bo „nie było partii, która wraz ze społeczeństwem stanęłaby za swoim przywódcą przeciw ZSRR"? Jest to półprawda, a więc błąd! Bowiem:

(1) gdyby tak było, to wszystko sprowadzałoby się do „czynnika subiektywnego"! Woda na młyn oszołomów dowodzących, że zabrakło tylko dobrej woli!

(2) gdyby nawet decydował „czynnik subiektywny", to co z „S"? Czyżby była ona chętna do przysłuchiwania się partyjnym „reformatorom"? Czyżby gotowa była entuzjastycznie poprzeć Jaruzelskiego – tak jak Gomułkę w 1956 r. lub jak Czesi Dubczeka?

(3) dlaczego niby ludzie odpowiedzialni za państwo i gospodarkę mieli przykładać rękę do katastrofy państwa i gospodarki – skoro sam Modzelewski przyznaje, że w warunkach ówczesnych działalność „Solidarności" prowadziła do tego właśnie? Kompromis z „S" czy też „przechytrzenie" „Solidarności" możliwe były tylko dzięki zasadniczej zmianie systemu oraz sytuacji międzynarodowej, czyli w warunkach niemieszczących się w ramach ówczesnej realności.

eprasa.pl 4b004544af

Modzelewski zgadza się z tą diagnozą, rozumie chyba, że nie było lepszej alternatywy! Dlaczego więc stwarza wrażenie, że zadecydował brak dobrej woli, czy brak patriotyzmu wśród kadr wojskowych i partyjnych? Stwierdza, że „większość Polaków uważa, że Jaruzelski dobrze zrobił". Nie jest jasne, dlaczego ta większość nie ma racji.

Własne motywy z 1981 r. wyjaśnia tak: skoro wymusiliśmy legalizację, to trzeba dbać o utrzymanie siły ruchu, utrzymywać go w stanie mobilizacji przez stałe „podwyższanie poprzeczek". Ale przecież sam pisze, że dla PZPR umowy gdańskie były „pokojem brzeskim", czyli ustępstwem maksymalnym, że ruch prowadził swą działalnością do katastrofy ówczesnego systemu jako całości, w tym do totalnej gospodarczej klęski. A skoro tak, to może miał nadzieję na „finlandyzację", czyli całkowitą zmianę systemu przy zachowaniu jedynie ograniczeń suwerenności? Ależ nie, pisze wręcz, że to było niemożliwe. A więc dlaczego spodziewał się, że sytuacja zmieni się, jeżeli tylko „skruszeje beton"?

A może widzi to tak dziś, a wtedy miał złudzenia? Owszem, tak nawet pisze. Ale skoro tak, to czemu jest tak surowy w ocenie ówczesnego kierownictwa i jego bazy? Może było ono po prostu bardziej realistyczne? Może miał rację, stawiając opór „podwyższaniu poprzeczek" przez „S"? Może stan wojenny był jednak przysłowiowym „mniejszym złem"?

Sam przecież pisze, że realną alternatywą było dojście do władzy betonu i wprowadzenie stanu wojennego przez beton – czy nie byłby to gorszy stan wojenny? Czy nie było ludzi, którzy gotowi byliby zastosować sądy polowe zamiast internowań? A jeśli jakimś cudem ówczesne kierownictwo zupełnie zapomniałoby o swojej odpowiedzialności za ówczesne państwo i zaczęło aktywnie popierać „S" w dziele demontażu systemu – co wtedy? Czy przypadkiem nie nastąpiłaby wówczas eskalacja konfliktu i stuprocentowa ingerencja zewnętrzna?

Ergo: nie wystarczy stwierdzić, że „nie mieliśmy szans", bo partia i wojsko były przeciw nam! Jeśli działalność „S" bez radykalnej zmiany systemu prowadziła do katastrofy, a radykalna zmiana systemu była w warunkach rzeczywistości pojałtańskiej rzeczą niemożliwą, to trzeba stwierdzić, że działalność „S" nie była politycznie odpowiedzialna i że Jaruzelski ma prawo powoływać się na Weberowską „etykę odpowiedzialności".

Bardzo szanuję Modzelewskiego i chciałbym się z nim zgadzać. Ale on ma dwie dusze – duszę historyka i duszę człowieka wiernego swoim głębokim zaangażowaniom po stronie „S". Trudno mieć o to pretensje. A dlatego też jego głos nie może być w tych sprawach ostatnim słowem.

25 V 2013
Godz. 22.00
Śmierć Generała

Wiadomość przed chwilą: zmarł w szpitalu na Szaserów gen. Jaruzelski!

Zapisuję, co myślę – zobaczymy, czy się sprawdzi. Komentarz do ostatniej wiadomości. Prof. W[erblan?], że – wg kancelarii Prezydenta – decyzja co do pochowania Gen. uzależniona od woli Jego rodziny.

Sądzę, że wiadome kręgi wywierają presję na Monikę Jaruzelską lub (jeśli) wdowę po J., aby w celu „pojednania narodowego", zawsze najważniejszego dla Zmarłego, zrezygnowano z należnego Mu pochówku w celu uniknięcia konfliktów itd. Że będzie to w dodatku przedstawiane jako szlachetny kompromis, godny chrześcijańskiego narodu i potwierdzający (w interpretacji rodziny) pełną godności i pokory postawę Zmarłego.

A więc zwycięstwo oszołomstwa jako krok ku zgodzie narodowej.

27 V 2013

Ustalono – wbrew protestowi dyrektora IPN, że to „hańba" – że Jaruzelskiego pochowa się na Powązkach, wśród żołnierzy I Armii, na ich prośbę skierowaną do… Prezydentowej! A nekrolog prezydenta Bronisława Komorowskiego brzmi: „Generał Wojciech Jaruzelski, decyzją Parlamentu Prezydent Polski w latach 1989-1990". „Parlamentu", a nie „narodu" i Polski, a nie „III RP". Duża małość!

Za to bardzo przyzwoity nekrolog prezydenta Krakowa, Jacka Majchrowskiego. [...]

13 XII 2016
Degradacja Jaruzelskiego
Po dzienniku TV:

Potworna decyzja szaleńców o pośmiertnej degradacji Jaruzelskiego i Kiszczaka! Uzasadnienia z obłędną nienawiścią, z weteranami radykalnego skrzydła „S" (Andrzej Gwiazda) w tle[1]. Andrzej Werblan mówi, że ostatnia taka rzecz z pośmiertnym sądem i skazaniem na śmierć miała miejsce w 1954 r. w Chinach! A przedtem oczywiście wyjęcie z grobu i powieszenie Cromwella[2] i inne takie ewenementy. […]

Andrzej
WALICKI
I TOM
PRL i skok do neoliberalizmu
Jaruzelski | Solidarność | Zdrada elit
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
Wpłaty 75 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł
lub dostawa kurierem InPost +14.90 zł.

[1] Z projektu ustawy wnioskowanej przez ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza wykreślono nazwiska obu generałów.

[2] Oliver Cromwell – główna postać angielskiej wojny domowej, lord protektor Anglii, Szkocji i Irlandii w latach 1653--1658. Zmarł 3 września 1658 r. Po restauracji Stuartów jego ciało zostało 30 stycznia 1661 r. usunięte z grobowca, publicznie powieszone, a następnie pochowane w nieznanym miejscu w Londynie. Cromwell znalazł się na 10. pozycji na liście 100 najwybitniejszych Brytyjczyków wszech czasów.

eprasa.pl 4b004544af

Konflikt pamięci

Historia stosunków polsko-ukraińskich z połowy XX w. wywołuje emocje porównywalne z dziejami stosunków polsko-żydowskich

Rozmawia Bartosz Konieczka

Niedawno zrobiło się o panu głośno w związku ze zwolnieniem z IPN. Czym zajmował się pan w instytucie i poza nim?

– Przez ostatnich kilka lat zajmowałem się upamiętnianiem, czyli opiniowaniem koncepcji miejsc pamięci, oraz grobownictwem wojennym, w tym remontami grobów wojennych oraz ekshumacjami i pochówkami ofiar totalitaryzmów. Poza instytutem pisuję dość regularnie dla kilku czasopism, np. dla „Kultury Enter". Zdarza mi się także publikować w „Nowej Europie Wschodniej" czy „Tygodniku Powszechnym" oraz w periodykach ukraińskich: „Naszym Słowie" i „Nad Buhom i Narwoju". Oprócz tego od 2015 r. wspólnie z innymi osobami różnych wyznań i narodowości prowadzimy prace porządkowe i renowacyjne na zabytkowym cmentarzu prawosławnym w mojej rodzinnej wsi Werbkowice.

Dlaczego pana aktywność zawodowa i społeczna wzbudzała kontrowersje?

– Historia stosunków polsko-ukraińskich z połowy XX w. wywołuje emocje porównywalne z dziejami stosunków polsko-żydowskich. Wielowątkowa opowieść o charakterze naukowym, zobiektywizowanym, może wchodzić w konflikt z jednostkowymi i zbiorowymi pamięciami o tych wydarzeniach. Oprócz tego może się kłócić z polityką historyczną państwa, opartą na heroicznej wizji narodu polskiego, przedstawianego pod względem moralnym jako zbiorowość bez skazy. Mówienie o zbrodni polskiego podziemia, podziemnego Wojska Polskiego, dokonanej na cywilach, własnych obywatelach, wchodzi w konflikt z etosem rycerza, żołnierza, obrońcy. Niektóre osoby lub środowiska posądzają takiego badacza o działanie na niekorzyść polskiej racji stanu lub walkę z tzw. prawdą historyczną.

Bada pan sprawę pacyfikacji Sahrynia, wsi w powiecie hrubieszowskim zamieszkanej przez Ukraińców. Ataku dokonały 10 marca 1944 r. oddziały Armii Krajowej dowodzone przez Zenona Jachymka „Wiktora". Czym tłumaczyć tę zbrodnię na ludności cywilnej?

– Jest to zagadnienie bardzo złożone. Wydarzenie rozegrało się pod okupacją niemiecką, w dystrykcie lubelskim Generalnego Gubernatorstwa, kilka miesięcy po wysiedleniach ludności polskiej i ukraińskiej dokonywanych przez Niemców na Zamojszczyźnie od jesieni 1942 r. W obliczu nadchodzącej Armii Czerwonej, która wiosną 1944 r. znajdowała się już kilkadziesiąt kilometrów od Sahrynia. Parę miesięcy po czystce dokonanej przez banderowców na sąsiednim Wołyniu i parę tygodni przed apogeum podobnej czystki w Galicji Wschodniej, z którymi wołyńska czy lwowska AK nie do końca sobie poradziły lub poradzić nie chciały. Na wschodniej Lubelszczyźnie, czyli terenie penetrowanym już przez działaczy i partyzantkę komunistyczną, którego przynależność do przyszłej Polski wciąż stała pod znakiem zapytania, zwłaszcza po tym, jak w styczniu 1944 r. Stalin stwierdził, że przy Polsce pozostaną te rejony, w których przeważają Polacy, a te w większości zamieszkane przez Ukraińców i Białorusinów włączy się do USRR i BSRR. I wreszcie – na obszarze, na którym mimo brutalnej niemieckiej polityki ludnościowej istniały liczne skupiska Ukraińców. Ludności, która przed 1939 r. była dla polskich władz problemem. Traktowano Ukraińców jak obywateli drugiej kategorii, których należało ujarzmić kulturowo i zasymilować narodowo. Pewne przywileje przyznane im przez Niemców odbierano jako uderzenie w Polaków, jako kolaborację z okupantem.

> To, do czego doszło w Sahryniu, było na rękę i Niemcom, i banderowcom.

Kto zyskał politycznie na śmierci Ukraińców z Sahrynia oraz innych spacyfikowanych przez AK i Bataliony Chłopskie miejscowości, objętych akcją znaną w literaturze przedmiotu jako rewolucja hrubieszowska?

– To, do czego doszło w Sahryniu, było niestety zgodne z przewidywaniami i celami Niemców, którym zależało na tym, by polityka ludnościowa na Zamojszczyźnie była dotkliwa przede wszystkim dla Ukraińców, a nie np. dla osadników niemieckich. By zapanowały nienawiść i niepewność. Było to także na rękę banderowcom, którzy usprawiedliwili tym nasilenie ludobójstwa w Galicji Wschodniej. Te wydarzenia były również wynikiem zmiany strategii Komendy Głównej AK wobec osób uznawanych za wrogie wobec Polski, co już wiosną 1943 r. zaowocowało

FOT. AGNIESZKA BŁAZIAK

eprasa.pl 4b004544af

DR MARIUSZ SAWA
– badacz stosunków polsko-ukraińskich

pierwszymi antyukraińskimi akcjami z zastosowaniem zasady odpowiedzialności zbiorowej w okolicy Sahrynia – w Pasiece czy Mołożowie. Natomiast miejscowi komuniści z PPR ubolewali, że AK, mordując wszystkich z literą U w kenkarcie, likwidowała także osoby wspierające partyzantkę komunistyczną, a nie tylko wiejskie struktury OUN.

W tej oto rzeczywistości 9 i 10 marca 1944 r. doszło do ataku hrubieszowskiej oraz tomaszowskiej AK i BCh na Sahryń i kilkanaście innych okolicznych wsi zamieszkanych przez Ukraińców. Ginął każdy człowiek mający w kenkarcie zapisaną narodowość ukraińską. Bez względu na płeć i wiek. Dwie trzecie zabitych stanowiły kobiety i dzieci. Ludzie zadusili się dymem lub spłonęli w wybudowanych przez siebie ziemiankach, zostali w nich rozerwani granatami lub rozstrzelano ich we wsi, na polach i w lesie.

Dlaczego obok Sahrynia spacyfikowano te, a nie inne wsie zamieszkiwane przez Ukraińców?

– Na podstawie dostępnych źródeł stawiam tezę, że AK i BCh uderzyły we wsie z najliczniejszą cywilną ludnością ukraińską, w których obrona była najsłabsza, a nie – jak mówi opowieść postkombatancka – w „ufortyfikowane bazy nacjonalistów ukraińskich". Nie zaatakowano wsi położonych w pobliżu Hrubieszowa, w którym przebywali Niemcy, np. Brodzicy, będącej silnym ośrodkiem ukraińskiego życia politycznego i militarnego – kilka dni później banderowcy stworzyli tam pierwszą lokalną kompanię UPA. Odstąpiono od spalenia Werbkowic, bo atak odparli Niemcy. W akcję zaangażowano ok. 2 tys. partyzantów, z których zginęło lub zostało rannych zaledwie kilku. Natomiast straty po stronie ukraińskiej z 10 marca 1944 r. wynosiły, wedle obliczeń prof. Igora Hałagidy, co najmniej 1264 osoby. Być może, jak twierdzi dr Mariusz Zajączkowski, chciano uzyskać efekt zastraszenia i sparaliżować ukraińskie podziemie nacjonalistyczne.

Jak bardzo te wydarzenia miały związek z działalnością ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, noszącą w opinii większości polskich badaczy znamiona ludobójstwa?

– Jak ustalił dr Damian Karol Markowski, banderowcy wykorzystali polski atak propagandowo do usprawiedliwienia nasilenia tzw. antypolskiej akcji w Galicji Wschodniej. I tu dochodzimy do powiązania zbrodni: Wołyń-Sahryń-Galicja Wschodnia. Bez wątpienia Polacy, zarówno cywile, jak i konspiratorzy, wiedzieli o wydarzeniach na Wołyniu z 1943 r. Uchodźcy stamtąd dotarli na teren powiatu hrubieszowskiego,

Dr Sawa stracił pracę, ale zachował twarz

PROF. RAFAŁ WNUK,
badacz polskiego podziemia oraz stosunków polsko-ukraińskich, Katedra Historii i Historiografii Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej KUL

Dorobek naukowy i popularnonaukowy dr. Mariusza Sawy bez wątpienia odbiega na plus od średniej panującej w IPN. Z pewnością więc nie względy merytoryczne są przyczyną wyrzucenia go z pracy. By zrozumieć, co się dzieje, potrzebny jest szerszy kontekst. Jakiś czas temu do odejścia z IPN zmuszony został dr Adam Puławski, gdyż napisał książkę o stosunku polskich władz na uchodźstwie do zagłady Żydów. Wnioski z tej książki nie podobały się jakimś dyrektorom czy prezesowi IPN. Na stanowisko dyrektora oddziału IPN we Wrocławiu powołano dr. Tomasza Greniucha, człowieka bez większego dorobku naukowego, za to z ONR-owską przeszłością, publicznie wykonującego salut rzymski, zwolennika rosyjskiej agresji na Ukrainę. W ostatnich dniach kandydatem na prezesa IPN decyzją upartyjnionego kolegium tej instytucji został dr Karol Nawrocki, kolejna osoba zupełnie nieznana z naukowych osiągnięć, za to chlubiąca się tym, że „zdemolowała" wystawę główną Muzeum II Wojny Światowej. Może też się poszczycić usunięciem z pracy grupy świetnych, niezależnie myślących historyków, skrajnym upolitycznieniem instytucji i znakomitymi notowaniami w PiS. To tylko trzy najbardziej znane przykłady spośród wielu innych. Pracujący w takiej atmosferze dr Sawa – badacz zajmujący się relacjami polsko-ukraińskimi w sposób rzetelny, a zarazem niezgodny z linią partii – musiał liczyć się z konsekwencjami. PiS uważa, że ma wyłączność na mówienie o polskich dziejach, i stara się uczynić z IPN „miecz i tarczę" partii w walce o „jedynie słuszną przeszłość". Dr Sawa nie chciał być ani tarczą, ani mieczem. Dla historyków dziejów najnowszych nadeszły takie czasy, że muszą płacić za wierność samym sobie. Dr Sawa stracił pracę, ale zachował twarz.

eprasa.pl 4b004544af

zwłaszcza do jego północnych gmin, już latem i jesienią 1943 r., przynosząc przerażające wieści o banderowskim barbarzyństwie. Dr Markowski przygotowuje książkę, z której wynika, że od połowy do końca 1943 r. banderowcy uderzali w Galicji Wschodniej przeważnie w wybrane grupy zawodowe, czyli leśników lub duchowieństwo, i w przywódców. Zginęło wówczas ponad tysiąc Polaków, a do marca ok. 4 tys. Dlatego z uwagi na skalę galicyjskiej zbrodni do tego czasu, jak i na drogi ucieczki mieszkańców, nieprzebiegające raczej przez powiat hrubieszowski, wydaje się, że wpływ tzw. galicyjskiej antypolskiej akcji był znacznie mniejszy. Pierwsze działania UPA na południowo-wschodniej Lubelszczyźnie były widoczne już z początkiem 1944 r., co mogło być istotne przy podejmowaniu przez dowództwo AK decyzji o działaniach antyukraińskich. Jeżeli atak na Sahryń był odwetem za jakieś działania Ukraińców, to z perspektywy dowództwa obwodu oraz zarządzonej przez nie mobilizacji szeregowych żołnierzy był odpłatą za kolaborację sahryńskich Ukraińców z Niemcami w ramach Ukraińskiej Policji Pomocniczej i za popełniane przez nią zbrodnie na Polakach. Jaka była faktycznie skala tego zjawiska i czy miało ono wpływ na decyzję o pacyfikacji, staram się właśnie ustalić.

W akcję w Sahryniu zaangażowano ok. 2 tys. partyzantów.

Latem 2018 r. przewodniczący Towarzystwa Ukraińskiego w Lublinie dr Grzegorz Kuprianowicz został oskarżony przez Przemysława Czarnka, obecnego ministra, a wtedy wojewodę lubelskiego, o „znieważenie narodu polskiego". O co chodziło w tej sprawie?

– Ówczesnego wojewodę zbulwersowało twierdzenie, że obywatele polscy narodowości polskiej doprowadzili do śmierci innych obywateli polskich i zrobili to dlatego, że ci drudzy byli prawosławnymi Ukraińcami. Dodatkowo wzburzyło go wypowiedzenie tych słów 11 lipca, gdy Polacy czcili pamięć ofiar tzw. krwawej niedzieli, podczas której na Wołyniu w 1943 r. banderowcy spalili wiele polskich wsi i wymordowali ich mieszkańców. Jednak ostatecznie jedna prokuratura odmówiła wszczęcia postępowania, druga zaś umorzyła postępowanie w sprawie Grzegorza Kuprianowicza. Ukraiński historyk przestępstwa więc nie popełnił. O odwołanie go z Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przy lubelskim IPN wnioskował do prezesa instytutu Jarosława Szarka dyrektor oddziału Marcin Krzysztofik. Usprawiedliwianie akcji w Sahryniu wytknął mu prof. Mariusz Mazur z UMCS, który w proteście zrezygnował z zasiadania w tymże komitecie. Ten sam człowiek, który wnioskował o odwołanie Kuprianowicza, był sprawcą zwolnienia mnie z pracy. Ściśle z nim współpracował w tej kwestii mój bezpośredni przełożony dr hab. Jacek Romanek, naczelnik Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa, który w jednej z publikacji poświęconych ruchowi ludowemu na Lubelszczyźnie całą UPA nazywa bandą, co stoi w sprzeczności z ustaleniami takich historyków jak prof. Jan Pisuliński. Wiceszef mojego biura w centrali, którego cenię jako człowieka i osobę zasłużoną dla upamiętniania Polaków pomordowanych na Wołyniu, dr Leon Popek, również w jednej z publikacji wydanej w IPN w ten sam sposób pisze o ukraińskim podziemiu. Klimat dla inaczej myślących jest zatem w instytucie niesprzyjający.

Sprawcą zwolnienia mnie z pracy był dyrektor oddziału IPN w Lublinie Marcin Krzysztofik.

Po opuszczeniu IPN zamierza pan nadal zajmować się historią?

– Jestem z wykształcenia historykiem i historii nie porzucę. W ramach stypendium naukowego Polsko-Ukraińsko-Kanadyjskiej Fundacji „Kalyna" muszę do końca roku ukończyć książkę poświęconą zbrodni w Sahryniu. Będzie nosiła tytuł „Pociski – jak paciorki różańca". Chciałbym, aby po recenzjach ukazała się w 2022 r. W połowie maja ukaże się w Wydawnictwie Libra tłumaczenie kroniki sotni UPA „Wilki", którego jestem autorem i redaktorem naukowym.

Jak pan widzi perspektywy upamiętnienia ofiar konfliktu ukraińsko-polskiego z czasów wojny i pierwszych lat powojennych, w ogóle rozwiązania polsko-ukraińskiego konfliktu pamięci?

– Sprawa upamiętnienia zależy od przedstawicieli najwyższych władz oraz kierownictwa instytucji takich jak IPN. Zobaczymy, jak z tym problemem poradzi sobie przyszły prezes, zapowiadający realizowanie profesjonalnie brzmiącej „dyplomacji historycznej". Ma szerokie pole do popisu, on oraz inni specjaliści, przykładowo zasiadający w Kolegium IPN prof. Józef Marecki. Jeśli polscy i ukraińscy urzędnicy wysokiego szczebla nie dojdą do porozumienia, to upamiętnienie czy najpierw odszukanie miejsc pochówku ofiar konfliktu polsko-ukraińskiego po obu stronach granicy nie powiedzie się. Natomiast konflikt pamięci, jak już kilka lat temu zauważył prof. Grzegorz Motyka, nie jest tylko konfliktem polsko-ukraińskim. Granica tego konfliktu nie przebiega po linii Bugu. Sam doświadczam tego, że jest to także, a w przypadku zbrodni w Sahryniu przede wszystkim, konflikt wewnątrzpolski. Polska i Ukraina obrały pewne strategie wobec pamięci i, jak wskazują prowadzone w tym zakresie badania prof. Tomasza Stryjka, nie ma obecnie nadziei na szybkie zażegnanie konfliktu w tej kwestii. Takiemu historykowi jak ja pozostaje jedynie kontynuowanie rzetelnych badań źródłowych.

Bartosz Konieczka

Fundacja „Kalyna" prosi o finansowe wsparcie stypendium Mariusza Sawy na opublikowanie książki o zbrodni w Sahryniu.
Polsko-Ukraińsko-Kanadyjska Fundacja Stypendialna „Kalyna", ul. Krasińskiego 5a/10, 43-300 Bielsko-Biała
Nr konta w BGŻ BNP PARIBAS: 14 1600 1462 1879 9843 2000 0001

eprasa.pl 4b004544af

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Mamy marzenia: batożenie, dożywocie, śmierć

Kiedy już Walter Lippmann odkrył do końca istnienie opinii publicznej (słynna książka pod tym tytułem wydana w 1922 r.), życie publicystów i polityków stało się łatwiejsze. Doskonalone wyniki badań dorzucały nowego paliwa do niekończącego się nigdy sporu o to, jacy chcemy być, co myślimy o sobie, a co – i to ważniejsze – myślimy o innych: ich życiu, wyborach, myśleniu, poglądach, ubiorze, fryzurze, domu, samochodzie, pracy, podatkach, wyborze szkoły dla pociech, Hitlerze i Stalinie, wojnie, złodziejach samochodów, odkurzaczach. Otworzyła się nowa epoka. Badania i zarazem kształtowania opinii. Dopytywania i wyciągania wniosków.

Istnienie mediów społecznościowych jest ucieczką do przodu. Żadna próba badawcza, nawet najbardziej „reprezentatywna", nie może się porównywać z niepoliczalnymi terabajtami danych, jakie zgromadził na temat miliardów mieszkańców Ziemi taki Facebook. Nikt nigdy nie wiedział tak wiele o wszystkich. Powstał nowy, globalny instrument zarządzania masami. Choć nie znamy jego struktury decyzyjnej, własnościowej, nie rozumiemy konsekwencji podpisania cyfrowego pergaminu, przy którym wysiłki faustowskiego Mefista to jakiś drobnicowy żarteluszek, nieświadomie jesteśmy wciągani w tryby udzielanych zgód za możliwość „darmowego" korzystania z cyfrowych przestrzeni.

W XXI w. co piąty Polak wspiera pomysł chłosty jako formalnej kary.

Ale nie o tym chciałem. Wciąż istnieją antyczne pracownie badań opinii publicznej, sondażownie, instytuty, które – choć głównie na służbie pieniądza, towaru i handlu – niekiedy usiłują (symulując naukową bezstronność i ideową ciekawość) opowiedzieć coś o nas samych jako o społeczności. O tym, co nas porusza, co oburza, co denerwuje albo zachwyca. Takie badania przemknęły ostatnio przez polską przestrzeń komentariatową, kiedy to dziennik „Rzeczpospolita" omówił wyniki Ogólnopolskiego Badania Wiktymizacyjnego Polaków 2020, wykonanego przez Instytut Wymiaru Sprawiedliwości (istniejący i funkcjonujący przy Ministerstwie Sprawiedliwości). W największym skrócie: w badaniu na pięciotysięcznej grupie respondentów (jak na podobne badania – przyzwoitej i pozwalającej formułować wnioski) okazało się m.in., że Polacy generalnie czują się dość bezpieczni i równocześnie w ogromnej części są zwolennikami zaostrzania kar za przestępstwa i wykroczenia. 43% Polaków zadeklarowało poparcie dla przywrócenia i wykonywania kary śmierci, do tego spora grupa wsparła pomysł (na razie tylko rzucony w pytaniach badawczych, które jednak zadała instytucja podporządkowana Ministerstwu Sprawiedliwości) wprowadzenia kar chłosty. Tak, w XXI w. co piąty Polak wspiera pomysł batożenia jako formalnej kary.

Oczywiście mógłbym napisać, że gdyby wybitni badacze opinii publicznej z ministerialnej sondażowni niewinnie podrzucili rodakom pomysł oblewania smołą i tarzania w pierzu, łamania kołem, obcinania rąk, palców, sprawdzonego (choćby w tajnym więzieniu CIA w Kiejkutach), niepozostawiającego fizycznych śladów podtapiania, wyniki akceptacji tychże praktyk też mogłyby nas zadziwić. Oglądamy więc przemocowy spektakl pod pozorem badań, który *de facto* oswaja nas z potworną, stosowaną przez stulecia, najczęściej niekontrolowaną przemocą fizyczną jako środkiem dyscyplinującym, podporządkowującym, karnym. Pręgierz jako symbol sprawiedliwości.

Kiedy czytamy dzisiaj na nowo opowiadaną ludową historię Polski, z niemal każdej karty wylewa się tam morze okrucieństwa, katowania, upokorzeń. Jest jakimś niesłychanym powrotem mentalnym ta tęsknota za stosowaniem takich kar wobec kogokolwiek. Jest jakimś fantazmatycznym resentymentem tęsknienie za stryczkiem, rozstrzelaniem, porażeniem prądem jako formą wymierzania i zaprowadzania sprawiedliwości. Równocześnie w tych badaniach czytamy, że większym zaufaniem cieszy się działanie policji niż sądów. I że policja powinna móc działać (jakby nie mogła i nie robiła tego) bezwzględniej. Ta sama policja, która nadużywa siły, stosuje techniki torturopodobne, potrafi zabić przypadkową osobę (jak Igora Stachowiaka).

Zwrot w stronę siły i przemocy zaczyna być widoczny gołym okiem. Poziom akceptacji jest niepokojąco wysoki. Są to symptomy równoczesnej słabości i bezradności państwa. Tam, gdzie powinno być potężne i skuteczne: w opiece zdrowotnej, edukacji, pomocy społecznej – jest słabe. Nadrabia nagą siłą tam, gdzie jest łatwo. Przemoc nie jest rozwiązaniem, choć bywa skuteczna. Na krótką metę. Przemoc łatwo uruchomić, trudniej okiełznać, kiedy się rozleje. Tym bardziej państwu nie wolno się nią bawić, to dużo groźniejsze niż zapałki w ręku dziecka. To nie pożar, to zbrodnia.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b004544af

Manifestacje od Stambułu po Londyn

Izraelsko-palestyński konflikt dzieli Europę

Manifestacja przed ambasadą Palestyny w Warszawie, 16 maja br.

Jakub Katulski

Kiedy 9 maja na Tel Awiw spadły pierwsze bomby, a w kierunku Gazy wystartowały pierwsze bombowce z Izraela, w Palestynie i innych krajach od co najmniej kilku dni trwały demonstracje przeciw przymusowym eksmisjom Palestyńczyków z ich domów w jerozolimskiej dzielnicy Szajch Dżarrah („Jerozolimska beczka prochu", PRZEGLĄD nr 21). Palestyńczycy i wspierający ich aktywiści byli już więc gotowi wykrzyczeć to, co myślą nie tylko o eskalacji działań, ale też szerzej – o polityce Izraela i okupacji. W kolejnych dniach wyszli na ulice wielu miast z palestyńskimi flagami w dłoniach, biało-czarnymi kefijami (w Polsce znanymi jako arafatki) na szyjach i z szerokim repertuarem okrzyków i wystąpień próbujących wytłumaczyć sytuację.

Aktywiści skrzykiwali się w internecie, a wieści o kolejnych demonstracjach przekazywane były, i wciąż są, między postami i zdjęciami pokazującymi tragiczną sytuację cywilów w Strefie Gazy. Widok zbombardowanych budynków, unoszącego się nad miastem kurzu z eksplozji, a także zdjęcia rannych i zabitych dzieci wyciągnęły z domów ludzi na całym świecie, choć w europejskich mediach zdecydowanie najwięcej uwagi poświęcono tłumom, które w ostatnich dwóch tygodniach wyszły na ulice Madrytu, Paryża, Londynu czy Berlina. Nic dziwnego, bo liczby uczestników demonstracji w sprawie, która większości z nich bezpośrednio nie dotyczy, były imponujące – na każdej manifestacji po kilka tysięcy osób.

Fake newsy z turecką interwencją

Już 10 maja, w pierwszy dzień operacji, którą izraelskie wojsko rozpoczęło przeciwko Gazie, tysiące osób protestowało w Stambule – Turcy, Syryjczycy i Palestyńczycy zgromadzili się pod izraelskim konsulatem, mimo obowiązujących restrykcji mających ograniczać rozprzestrzenianie się COVID-19. Hasło „Tureccy żołnierze do Gazy!" okazało się jednym z najpopularniejszych, a sam prezydent Recep Tayyip Erdoğan miał dwa dni później w rozmowie z Władimirem Putinem zasugerować, by „międzynarodowe siły porządkowe" udały się do Gazy zapewnić ochronę palestyńskim cywilom. To wpisało się w mocno już rozkręconą spiralę fake newsów i w mediach społecznościowych rozeszła się informacja, że „tureckie wojsko zmierza do Gazy", także po to, by policzyć się z Izraelem.

Szybko się okazało, że żaden turecki żołnierz do Gazy się nie wybiera, ale w kierunku granic 14 maja ruszyli mieszkańcy Jordanii i Libanu. Nic dziwnego, skoro oba kraje zamieszkane są licznie przez Palestyńczyków, a większość Jordańczyków, z królową Ranią na czele, szczyci się palestyńskim pochodzeniem. Jordańczycy wyruszyli więc w zorganizowanym przez grupy plemienne i ugrupowania polityczne marszu, którego trasa została tak zaplanowana, by przebiegać w pobliżu granicy Jordanii z okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegiem. Większa część demonstracji przebiegła pokojowo, ale w okolicy przejścia granicznego na moście Króla Husajna (lub moście Allenby'ego, jak nazywają go Izraelczycy) grupa ok. 500 mężczyzn ruszyła w kierunku granicy. Jordańska policja opanowała jednak sytuację po użyciu gazu łzawiącego i pocisków wystrzelonych w powietrze.

Strzały padły też na północnej granicy Izraela, kiedy protestujący Libańczycy próbowali wejść do niewielkiej Metulli. Izraelskie czołgi oddały w ich kierunku strzały

eprasa.pl 4b004544af

ostrzegawcze, raniąc przy tym dwie osoby, z których jedna zmarła w szpitalu. Izraelczycy tłumaczyli później, że protestujący uszkodzili ogrodzenie oddzielające kraje i podłożyli ogień na pobliskim polu. Zresztą ledwie poprzedniego dnia z Libanu w kierunku Izraela poleciały rakiety, co postawiło w stan gotowości Siły Obrony Izraela, a odpowiedzialne za obserwację granicy oddziały UNIFIL zwiększyły intensywność patroli.

Gorąco w Berlinie i Londynie

Na wielu protestach w Europie wcale nie było spokojniej. Podczas demonstracji w Bonn, Düsseldorfie czy Münsterze zapłonęły izraelskie flagi. W berlińskiej dzielnicy Neukölln 15 maja wznoszący palestyńskie i tureckie flagi demonstranci rzucali w policję kamieniami i butelkami, na co funkcjonariusze odpowiedzieli gazem łzawiącym. Końcowy bilans: rannych zostało 93 policjantów, a 59 protestujących aresztowano. Niektóre synagogi zostały obrzucone kamieniami, na co stanowczo zareagował prezydent Frank-Walter Steinmeier, podkreślając, że w Niemczech nie ma miejsca na antysemityzm, a wykrzykiwane na protestach antysemickie hasła będą ścigane jako przestępstwa kryminalne.

Antysemickie hasła dało się także słyszeć w znanym z wielokulturowości Londynie. Doszło tam do kuriozalnej sytuacji, kiedy położoną w centrum miasta Finchley Road, w okolicy, w której mieszka wielu Żydów, przejechał konwój samochodów oblepionych palestyńskimi flagami. Z wystawionych przez okna megafonów dobiegały wulgarne hasła, nawołujące m.in. do „gwałcenia córek Żydów". Scotland Yard szybko aresztował czterech mężczyzn pod zarzutem popełnienia „motywowanych rasowo przestępstw publicznych", a premier Boris Johnson, podobnie jak niemiecki prezydent, jednoznacznie wyraził dezaprobatę, mówiąc, że w Wielkiej Brytanii nie ma miejsca dla antysemickich wybryków.

Zapewnienia Johnsona czy Steinmeiera nie uspokajają jednak europejskich Żydów, którzy czują się atakowani. Centralna Rada Żydów w Niemczech donosi o potężnej liczbie antysemickich obelg, które wylały się w mediach społecznościowych, a holenderskie Centrum Konsultacji Żydowskich odnotowało, że podczas demonstracji krzyczano: „Żydzi, pamiętajcie Chajbar", nawiązując tym do bitwy, którą na terytorium dzisiejszej Arabii Saudyjskiej stoczyły z Żydami wojska proroka Mahometa, a po której mieszkającym tam Żydom nadano status zimmich (lenników, cieszących się specjalną ochroną, lecz wykluczonych z niektórych przywilejów i opodatkowanych). W Londynie również skandowano hasła nawołujące do zabijania Żydów.

Jennifer, mieszkająca w brytyjskiej stolicy Żydówka pochodząca z Ameryki, mówi: – W sobotę spędziłam pół godziny w metrze, słuchając około setki protestujących krzyczących: „Wolna Palestyna, śmierć Żydom!". To jedno z moich najgorszych doświadczeń antysemityzmu. Nie popieram przemocy, Palestyńczycy mają prawo do życia.

Jennifer nie pozwala na podanie jej nazwiska, bojąc się, że ktoś mógłby odszukać ją w mediach społecznościowych i napaść. Umieszcza jednak nagranie z Nowego Jorku, na którym widać, jak propalestyńska demonstracja zamienia się w atak na żydowski sklep z bajglami. W ruch idą pięści i butelki, a policjanci próbują opanować sytuację, choć nie są wyposażeni w tarcze ani hełmy. „To o krok od miejsca, gdzie mieszkają moi rodzice", dodaje w opisie Jennifer.

Z antysemityzmem muszą sobie radzić także propalestyńscy żydowscy aktywiści, którzy starają się edukować użytkowników mediów społecznościowych i pokazywać się na demonstracjach. Często spotyka się apel do demonstrantów, by zamiast słowa Żyd używali terminu syjonista, bo ta część żydowskiej społeczności, która nie popiera działań izraelskiego wojska w Gazie, czuje się w ten sposób skrzywdzona i alienowana. Takie apele jednak niewiele zmieniają, bo w mediach społecznościowych konflikt Żydzi kontra muzułmanie rozgorzał na dobre.

Warszawa, Poznań, Kraków

Propalestyńskie demonstracje w ostatnich dniach miały miejsce również w Polsce. Największe w Warszawie, kolejno pod ambasadami Palestyny i Izraela, ale nie ominęły też innych miast, takich jak Poznań czy Kraków. W stolicy doszło do przepychanek demonstrujących z policją, po tym jak, według doniesień OKO.press, policja zaczęła zacieśniać kordon i legitymować tych, którzy chcieli demonstrację opuścić.

Pojawiły się także proizraelskie kontrmanifestacje, choć już nie tak liczne, ale trzeba przyznać, że były wszędzie tam, gdzie padały propalestyńskie hasła. Kiedy pod pomnikiem Adama Mickiewicza na krakowskim Rynku Głównym przemawiał Maciej Konieczny z partii Razem w towarzystwie palestyńskiego działacza Omara Farisa, w pobliżu stała nieliczna grupa osób owiniętych flagami Izraela. Wśród nich polscy Żydzi i sympatycy, których w trakcie protestu legitymowała policja, bo nie zarejestrowali swojej demonstracji. Jedna z uczestniczek powiedziała później, że przyszli tutaj, by wyrazić wsparcie dla Izraela, ale i po to, by pokazać, że są za wolną Palestyną – Palestyną wolną od Hamasu, dlatego chcieliby stanąć wspólnie z innymi protestującymi. To chyba jednak nie czas na takie gesty solidarności, w momencie gdy na Gazę spadają bomby, a w Europie płoną flagi z Gwiazdą Dawida, co ani trochę nie studzi emocji po żadnej stronie.

I choć 21 maja w nocy rozpoczęło się zawieszenie broni między Izraelem a Hamasem i Palestyńskim Islamskim Dżihadem w Strefie Gazy, raczej nie ma nadziei na wyciszenie nastrojów i złagodzenie wrogości. Tym bardziej że na nadchodzące dni zaplanowane są wiece poparcia dla jednej czy drugiej strony konfliktu, a oliwy do ognia dolewają takie wydarzenia jak czwartkowa wizyta ministrów spraw zagranicznych Niemiec, Czech i Słowacji w Jerozolimie, podczas której podkreślano „sympatię i poparcie" dla akcji przeciw Hamasowi. Tego typu działania międzynarodowe nie przybliżają Izraelczyków i Palestyńczyków do rozmów, które mogłyby ostatecznie rozwiązać konflikt. Utwierdzają jedynie obie strony w przekonaniu o własnej racji. A co jeszcze gorsze dla tego konfliktu – w pewnych aspektach obie strony mają rację i robią wszystko, by ją zademonstrować.

■

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 4b004544af

Oddział ratunkowy szpitala w New Delhi, 1 maja 2021 r.

Mateusz Mazzini

Jak zamknąć Indie

Pandemiczna tragedia subkontynentu już dawno przestała być problemem tylko jednego państwa

Doniesienia o kolejnych falach koronawirusa z reguły zaczynają się od przedstawienia najnowszych danych na temat zachorowań i zgonów. Jeśli chodzi o Indie, ten zabieg niespecjalnie ma sens, bo, po pierwsze, wszelkie dane momentalnie się dezaktualizują. Po drugie, nie odzwierciedlają rzeczywistości w kraju, w którym testuje się co najwyżej ułamek gigantycznej populacji. Po trzecie wreszcie, Indie dawno pokonały wszystkie bariery wyobraźni w kwestii zachorowań. Skala katastrofy na subkontynencie jest dziś tak wielka, że przebiła nawet brazylijską, do tej pory uznawaną za niemal największą pandemiczną tragedię narodową.

W Europie na razie przyglądamy się jej z dystansem, również dlatego, że wydaje się, dosłownie i w przenośni, katastrofą odległą. New Delhi od np. Berlina dzieli prawie 6 tys. km – wystarczająco dużo, by, jak w przypadku każdej innej tragedii w krajach dawnego Trzeciego Świata, obserwować ją bez specjalnego strachu czy dyskomfortu. Poza dystansem fizycznym dzieli nas jeszcze dystans mentalny, który w wypadku zarazy może się okazać jeszcze bardziej niebezpieczny. Chociaż od pierwszego poluzowania obostrzeń na Starym Kontynencie minęło zaledwie kilka tygodni, a w wielu miejscach ograniczenia pozostają znaczące, mnóstwo osób wraz z pierwszym wyjściem do kawiarni, kina czy powrotem dziecka do szkoły zupełnie zapomniało o koronawirusie. Patrząc na zdjęcia z ulic Londynu, Mediolanu czy Warszawy, można odnieść wrażenie, że koniec pandemii został już oficjalnie ogłoszony. Indie przypominają nam jednak, że do tego jeszcze daleko.

Największa demokracja świata upadła na kolana, przygnieciona ciężarem wirusa. Publiczne szpitale są od dłuższego czasu niewydolne, brakuje w nich wszystkiego: łóżek, personelu, respiratorów, butli z tlenem. Niewiele lepiej sytuacja wygląda w placówkach prywatnych, często luksusowych klinikach, które próbują sobie radzić dzięki przewadze finansowej. Krótko mówiąc, skupują wszystkie możliwe środki medyczne z rynku, nieraz z czarnego, odbierając tym samym biedniejszej części społeczeństwa jakąkolwiek szansę na leczenie.

Kompletny rozpad systemu służby zdrowia stworzył wielką, niczym nieograniczoną przestrzeń dla korupcji. Coraz częściej publiczne szpitale, przyjmując na oddział chorego na covid, żądają przedpłaty, nierzadko równowartości kilkuset czy nawet kilku tysięcy dolarów. Podobnie jest z dawkami antywirusowego leku Remdesivir, który poza oficjalnym obiegiem, na ulicy, można zdobyć nie taniej niż za około pół tysiąca dolarów – donosi Deutsche Welle.

Pandemia pogłębia już i tak bardzo duże w Indiach nierówności, bo zamożni mieszkańcy albo leczą się prywatnie, albo po prostu uciekają z kraju. Władze czasami próbują te zapędy ukrócić – w wyniku policyjnego nalotu na jedno z grodzonych, luksusowych osiedli w New Delhi skonfiskowano ponad 400 pojemników z tlenem – ale w skali całego kraju trudno mówić o zapewnieniu wszystkim równego dostępu do opieki medycznej. Według informacji telewizji CNBC ci, których stać było na ucieczkę – nawet za cenę wyprzedaży całego majątku – już dawno to zrobili albo planują ewakuację na najbliższe dni. JetSetGo, indyjska firma udostępniająca prywatne odrzutowce i oferująca indywidualne przeloty

W Indiach testuje się co najwyżej ułamek gigantycznej populacji.

eprasa.pl 4b004544af

zagraniczne, w ostatnich kilku tygodniach zanotowała 900-procentowy wzrost rezerwacji. Kanika Tekriwal, współzałożycielka spółki, podkreśla jednak, że zdecydowanie zmienił się profil jej klientów. Dotychczas prywatne podróże samolotowe były domeną ultrabogatych, najczęściej korzystali z nich sportowcy, członkowie najbardziej rozpoznawalnych rodów biznesowych i gwiazdy Bollywood. Dziś odrzutowce wynajmują nawet rodziny z klasy średniej, czasami i średniej niższej. „Lata z nami każdy, kto jest w stanie zebrać jakiekolwiek pieniądze na ucieczkę z kraju", mówiła Kanika Tekriwal na antenie CNBC.

Kraju, który coraz bardziej przypomina tonący okręt. Uratować się z niego będzie miało szansę relatywnie niewielu. Bogaci być może ukryją się na Sri Lance, Malediwach czy w Dubaju – najpopularniejszych kierunkach lotniczych – albo w razie potrzeby wydadzą ostatnie oszczędności na butle z tlenem. Pozostali, ponad miliard osób, są wystawieni na działanie wirusa praktycznie bez żadnej osłony.

Narendra Modi, rządzący krajem nacjonalistyczny populista, za pierwszym razem próbował walczyć z wirusem, zamykając obywateli w domach. W marcu 2020 r. *lockdown* na subkontynencie skończył się katastrofalnie, ale nie z powodu zarazy. Ta nie rozwinęła się jeszcze wtedy tak bardzo, fatalna okazała się natomiast rządowa niekompetencja. Nakaz autoizolacji wprowadzony został praktycznie z dnia na dzień, Modi zamknął całą gospodarkę i wstrzymał wszelki ruch pomiędzy 36 stanami wchodzącymi w skład kraju. Miliony robotników tymczasowych, osób pielgrzymujących do miejsc kultu albo odwiedzających krewnych straciły nagle możliwość powrotu do siebie. Wielu nie miało stałego dachu nad głową, a *lockdown* nakazywał przecież pozostawanie w zamknięciu – przyniósł więc chaos, zamieszki na ulicach i starcia z policją. Choroby nie zatrzymał, choć trwał prawie cztery miesiące.

Tym razem Modi zarzeka się, że zamknięcie kraju jest opcją ostateczną, nawet jeśli zachęcają go do tego środowiska naukowe. Według wyliczeń Narodowego Instytutu Naukowego 15-dniowy *lockdown* ocaliłby życie 100 tys. obywateli, a od zachorowania uchroniłby może nawet 20 mln. O wprowadzenie go apelują też autorytety z zagranicy. Dr Anthony Fauci, amerykański wirusolog i jeden z najbardziej rozpoznawalnych medialnie ekspertów zajmujących się pandemią, już na początku maja alarmował, że bez całkowitego wstrzymania życia publicznego Indie nie będą w stanie przerwać łańcucha transmisji wirusa.

Realizacja tych zaleceń nie jest jednak prosta ani z politycznego, ani z pragmatycznego punktu widzenia. Modi nie chce lockdownu, ponieważ boi się, że gospodarka dostanie zawału. Zeszłoroczna zaraza i tak wypchnęła poniżej granicy ubóstwa, szacowanej na przychód nieprzekraczający 2 dol. dziennie, kolejne 75 mln mieszkańców – wynika z badań Pew Research Center. Ogromna część tamtejszego sektora usług działa nieformalnie, poza wszelkimi ramami prawnymi czy podatkowymi. Dla wszystkich zarabiających na ulicy *lockdown* oznacza utratę jakiegokolwiek źródła utrzymania. Dodatkowo, jak szacuje Bank Światowy, robotników tymczasowych przemieszczających się po kraju za pracą jest w Indiach aż 100 mln. Oni także zostaną odcięci od pieniędzy, bo nigdzie nie wyjadą, a do domu znowu nie będa mogli wrócić.

Patrząc na sytuację pragmatycznie, wygląda ona jeszcze gorzej. Autorzy z redakcji magazynu naukowego „Lancet" zwracają uwagę, że *lockdown* jest efektywnym narzędziem walki z pandemią dzięki temu, że ludzie pozostają w domach: zdalnie pracują, zdalnie się uczą. Jeśli tych podstawowych warunków nie da się zapewnić, co jest akurat przypadkiem Indii, nie ma on większego sensu.

Do tego dochodzi ogromnie ważna w Indiach płaszczyzna religijna, a dokładniej kwestia traktowania ciał ofiar pandemii. Tak samo jak tamtejsze szpitale przeciążone są krematoria, więc ludzie palą swoich zmarłych na covid na pośpiesznie skleconych stosach w parkach, zagajnikach i na ulicach. Ciała płyną również w dół Gangesu – ponad 40 odnaleziono tydzień temu na granicy stanów Uttar Pradesh i Bihar. Na taką formę ostatniego pożegnania decydują się przede wszystkim najubożsi, których nie stać nawet na drewno opałowe. A i tego w ostatnich tygodniach jest w Indiach dramatycznie mało.

Pandemia dewastuje Indie, ale mylne byłoby założenie, że to wyłącznie problem Modiego. Fala zachorowań dawno przedostała się przez granice, w Bangladeszu notuje się rekordy nowych zakażeń, a Nepal i Bhutan z powodu indyjskiego kryzysu mają ogromne problemy z zaopatrzeniem medycznym i z kontynuowaniem własnych programów szczepień przeciw koronawirusowi. WHO alarmuje, że ta katastrofa może znacząco opóźnić wyjście całego globu z pandemii, zwłaszcza że tamtejsza mutacja wirusa nie jest jeszcze przez naukowców do końca przebadana. Można więc złośliwie stwierdzić, że Narendra Modi, megaloman porównywalny tylko do Donalda Trumpa, osiągnął swój cel, przynajmniej polityczny. To na jego działania patrzy teraz cały świat. Niestety, jednocześnie wstrzymuje oddech ze strachu.

Lockdown przyniósł zamieszki i starcia z policją. Choroby nie zatrzymał, choć trwał prawie cztery miesiące.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Tomasz Wiater nie żyje.
W najnowszym numerze tygodnik „NIE" żegna swojego najwybitniejszego rysownika.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 4b004544af

Londyn w rękach lewicy

Burmistrz Sadiq Khan spełnił najważniejsze obietnice wyborcze, w nowej kadencji ma szansę zrobić jeszcze więcej

Wysportowany, uprawiający boks Sadiq Khan nieraz bronił się przed atakami na tle rasowym.

Zuzanna Muszyńska

Sadiq Khan wygrał wybory na burmistrza Londynu i będzie kontynuował zarządzanie stolicą do 2024 r. To już czwarta kadencja dla lewicy, odkąd „czerwony Ken" Livingstone objął nowo powstały urząd w 2000 r. Pozostałe dwie sprawował Boris Johnson, obecny premier Wielkiej Brytanii.

W wyborach samorządowych 6 maja br. Partia Pracy doznała serii bolesnych porażek w całym kraju. Khan zdołał uratować jej honor, utrzymując na ostatniej prostej londyński ratusz.

Chłopak z bloku

Urodził się jako piąte z ośmiorga dzieci w rodzinie pakistańskich imigrantów. Ojciec pracował jako kierowca londyńskiego autobusu, matka była szwaczką. Sadiq zarabiał od najmłodszych lat – roznosił gazety, podczas letnich wakacji dorabiał na budowie. Wychował się w mieszkaniu socjalnym w Earlsfield na południu miasta. Odkąd w wieku 11 lat zgłosił swoją kandydaturę na przewodniczącego klasy, nigdy nie przegrał wyborów. Był zajadłym uczestnikiem debat, co przesądziło o kierunku studiów – wybrał prawo na Uniwersytecie Północnego Londynu. W praktyce adwokackiej wyspecjalizował się w walce o prawa człowieka – bronił pokrzywdzonych przez policję i dyskryminowanych w miejscu pracy. W tym samym okresie sprawował urząd radnego dzielnicy Wandsworth.

Do Partii Pracy zapisał się, mając 15 lat. W 2005 r. zdobył mandat poselski z dzielnicy Tooting. Kiedy kilka tygodni później w serii zamachów bombowych zginęło 56 osób, Khan potępił ataki, podkreślając, że odpowiedzialni za nie islamscy ekstremiści urodzeni w Wielkiej Brytanii nie reprezentują w żaden sposób muzułmańskiej społeczności, do której sam należał. Równocześnie sprzeciwił się propozycji premiera Tony'ego Blaira, by wprowadzić trzymiesięczny areszt bez aktu oskarżenia dla podejrzanych o działalność terrorystyczną. Za swoje zaangażowanie otrzymał tytuł politycznego Debiutanta Roku od prawicowego tygodnika „The Spectator".

W lewicowym rządzie Gordona Browna Khan objął w 2008 r. stanowisko podsekretarza stanu ds. społeczności i mniejszości etnicznych. Rok później został ministrem transportu. To kolejny rekord – był pierwszym muzułmaninem biorącym udział w posiedzeniach rządu. Po porażce Partii Pracy w wyborach parlamentarnych 2010 r. trafił do gabinetu cieni. Zaliczany do grona najlepszych polityków lewicy, nie zdecydował się na ścieżkę polityczną. Wrócił do kariery samorządowca, by z powodzeniem wspiąć się na sam jej szczyt.

Burmistrz z meczetu, ale za tęczą

O utworzeniu nowego stanowiska włodarza całego Wielkiego Londynu zdecydowano w referendum z 1998 r. W wyborach na burmistrza stolicy przyznawany jest odtąd największy mandat demokratyczny w Zjednoczonym Królestwie. Sadiq Khan zdobył w 2016 r. 1,31 mln głosów, bijąc kolejny rekord (jego poprzednik, Boris Johnson, otrzymał w 2012 r. głosy 1,17 mln londyńczyków). Głównym przeciwnikiem Khana był kandydat Partii Konserwatywnej Zac Goldsmith, szykowny syn milionera, wykształcony w Eton i Cambridge. Khan dostał szerokie poparcie swojej partii, w czym pomogło mu robotnicze pochodzenie. Musiał za to zmierzyć się z uprzedzeniami wyborców, z których co trzeci deklarował niechęć wobec burmistrza wyznania muzułmańskiego.

„Pakistańczycy są optymistami, wyemigrowali do Londynu, wierząc w lepszą przyszłość. Teraz ta przyszłość staje się teraźniejszością" – tak kibicował Khanowi znany brytyjsko-pakistański pisarz i scenarzysta Hanif Kureishi. Kureishi, który wielokrotnie występował przeciw uprzedzeniom rasowym narastającym w Wielkiej Brytanii od początku

eprasa.pl 4b004544af

nowego milenium, widział w Sadiqu symbol wielokulturowej przyszłości miasta i kraju. O tym jednak, że droga ku tej przyszłości jest usłana tłuczonym szkłem, Khan wiedział od najmłodszych lat. Wysportowany, uprawiający boks, nieraz bronił się przed atakami na tle rasowym.

Niezrażony słabymi wynikami Partii Pracy Khan chce budować mosty pomiędzy społecznościami, ratuszem i rządem, Londynem i resztą kraju.

W dorosłym życiu odbierał ciosy zewsząd – grożono mu śmiercią za poparcie ustawy o małżeństwach homoseksualnych (imam meczetu w Bradford wydał na niego fatwę), grozili biali suprematyści z Britain First. Amerykańskie media prawicowe zareagowały przerażeniem na wybór pierwszego muzułmańskiego burmistrza zachodniej metropolii.

Uroczyste zaprzysiężenie Khana odbyło się w katedrze w Southwark podczas wielowyznaniowej ceremonii. Kolejna, w której wziął udział jako świeżo upieczony burmistrz, upamiętniała Holokaust. Podczas ramadanu w 2016 r. Khan zaproponował organizowanie iftarów, wieczornych posiłków, poza meczetami – w kościołach katolickich i synagogach. Po strzelaninie w klubie nocnym w Orlando wziął udział w czuwaniu w londyńskim Soho oraz w paradzie London Pride.

Londyn obrywa podwójnie

Siedem tygodni po objęciu przez Khana urzędu miasto obudziło się, by zapłakać nad wynikiem referendum brexitowego. Londyn był jedynym miejscem w kraju, które zagłosowało za pozostaniem w Unii – 59,9% londyńczyków opowiedziało się przeciwko wyjściu (w niektórych dzielnicach aż 70%). Natychmiastową reakcję burmistrza wielu pamięta do dziś jako miód na zbolałe serca. „Będziemy kontynuować przyjmowanie ludzi z całego świata – mówił Khan – niezależnie od koloru skóry, koloru ich paszportu czy barw flagi narodowej". W 2017 r. Sadiq Khan wykorzystał debatę nad przyszłością Irlandii Północnej, by zaproponować specjalny pobrexitowy status dla Londynu. Wywołało to złośliwe komentarze wobec braku wyobraźni burmistrza – gdyby Londyn pozostał we wspólnym rynku, miasto znalazłoby się w obrębie twardej granicy przebiegającej tam, gdzie obwodnica M25.

Po serii homofobicznych ataków też związanych z wynikiem referendum Khan zarządził policyjną akcję „We Stand Together". W październiku 2018 r. pomaszerował na czele kilkusettysięcznego pochodu pod hasłem „People's Vote", którego organizatorzy żądali przeprowadzenia drugiego referendum. W marcu 2019 r. przemawiał obok premier Szkocji Nicoli Sturgeon na antybrexitowym wiecu „Put It to the People". Bardzo możliwe, że właśnie zdecydowaną postawą wobec brexitu porwał na dłużej serca londyńczyków. Za jego rządów Londyn ugruntował swoją pozycję otwartego na świat, różnorodnego miasta młodych. Prawdopodobnie więc Khan i tak wygrałby drugą kadencję głosami przeciwników brexitu, niezależnie od tego, czego zaniechał lub nie zdołał zrobić podczas pierwszej.

A zrobił wiele. Spełnił najważniejsze obietnice wyborcze – zamroził na cztery lata ceny biletów w komunikacji publicznej, wprowadził taryfę *hopper fare*, uprawniającą do nielimitowanych podróży w ciągu godziny, uruchomił nocne linie metra. Z tych udogodnień skorzystali przede wszystkim najmniej zarabiający. Obiecał budowę tanich mieszkań i osiągnął nieporównywalnie więcej niż jego poprzednik – Boris Johnson w ostatnim roku urzędowania rozpoczął budowę trzech obiektów mieszkalnych AH (*affordable housing*), Sadiq Khan w 2020 r. aż 7 tys.

Kosma Nykiel, urbanista pracujący w London Borough of Hounslow, chwali strategię rozwoju miasta firmowaną przez Khana. – Podczas pierwszej kadencji wprowadził strefę niskiej emisji i taryfę przesiadkową na autobusy, zamroził ceny biletów komunikacji miejskiej oraz politycznie przycisnął deweloperów, żeby budowali tanie mieszkania. Wcześniej, za Johnsona, zdarzało się, że deweloperom uchodziło na sucho windowanie cen, teraz często na wstępie dyskusji o nowej inwestycji mówi się: nawet nie próbujcie schodzić poniżej lokalnego celu. Nasz cel w Hounslow – 40% tanich lokali – musi być zrealizowany, inaczej inwestycja nie przejdzie przez głosowanie w radzie, bo temat politycznie stał się pierwszoplanowy. Cała analiza wykonalności finansowej jest weryfikowana przez niezależną firmę, więc deweloperzy nie mogą sztucznie zawyżać kosztów, by unikać obowiązku budowy tanich mieszkań. Khan nie dowiózł kilku sztandarowych projektów, chociażby mostu między Canary Wharf i Rotherhithe czy dopuszczenia na Oxford Street tylko ruchu pieszego, zawiódł też z poprawą bezpieczeństwa – problem nożownictwa w stolicy nie został rozwiązany. Mimo wielu dobrych decyzji brakuje mu również pewnej charyzmy, którą charakteryzowali się poprzednicy. Jego kadencję oceniam na cztery z minusem – podsumowuje Kosma Nykiel.

Według polskiego urbanisty ratusz poległ przy realizacji programu LTNs (Low Traffic Neighbourhoods). Szczytny co do zasady program ograniczania tranzytu samochodowego przez osiedlowe uliczki nie przeszedł należytych konsultacji społecznych, a radykalne zmiany dokonane w krótkim czasie wzbudziły skrajne emocje u mieszkańców. Wśród Polonii, podobnie jak w całym Londynie, słychać wiele narzekań na złą organizację ruchu i korki. A jednak fatalna realizacja tego projektu nie zdołała pogrzebać szans Khana na drugą kadencję. Miasto zielenieje, zielenieją jego mieszkańcy. Siân Berry z Partii Zielonych zdobyła w wyścigu do ratusza dobre trzecie miejsce, wygrywając z kandydatką Liberalnych Demokratów.

Mimo wielu dobrych decyzji burmistrzowi brakuje charyzmy, którą mieli jego poprzednicy.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 4b004544af

Praca, praca, praca

Po podwójnej katastrofie – pandemicznej i brexitowej – Khan stawia przede wszystkim na biznes. Mierzyć się będzie z fatalnym bilansem ostatniego roku: 18 tys. londyńczyków straciło życie w walce z covidem; 300 tys. osób straciło pracę, tyle samo mieszkańców opuściło miasto. Burmistrz ma nadzieję, że wrócą – i ci, którzy wyjechali w rodzinne strony pracować zdalnie, i Europejczycy, którzy przestraszyli się brexitu.

Milion londyńczyków przebywa na opłacanych przez rząd urlopach, które skończą się we wrześniu. Czy powtórzy się sytuacja z lat 80. – masowe bezrobocie i *exodus* ze stolicy? „Patrzę z zazdrością na kolegów i przyjaciół ze świata: Nowy Jork wydaje 50% podatków wpływających do kasy miasta, Tokio 70%, a Londyn zaledwie 7%", narzeka burmistrz. Uważa, że torysi nie dotrzymali obietnic brexitowych i wyborczych – mieli oddać władzę ludziom, na razie trzymają ją twardą ręką. Udało się uzyskać rządowe programy wsparcia dla małych i średnich przedsiębiorców. Odwdzięczyli się, mianując Sadiqa Khana najbardziej probiznesowym burmistrzem wszech czasów. On chciałby teraz więcej od rządu – dużych publicznych inwestycji, dopłat do firmy TfL, która podczas pandemii straciła 90% dochodów ze sprzedaży biletów. Mieszkańcy też poniosą koszty – podskoczą ceny przejazdów komunikacją miejską, podatki lokalne już wzrosły o 9,5% (pójdą na darmowe bilety dla emerytów i młodzieży szkolnej oraz dofinansowanie policji). Khan musi się zmierzyć ze wzrostem przestępczości. Podczas kampanii bronił się, oskarżając torysów o cięcia wydatków na komisariaty i patrole. Powoływał się na statystyki, według których liczba przestępstw z użyciem noża wzrosła w całej Anglii i Walii, nie tylko w Londynie. Shaun Bailey, wielki przegrany w wyścigu o fotel burmistrza, o mały włos nie wykonał planu torysów, by pokonać Khana tematyką przestępczości.

Burmistrz musi się zmierzyć ze wzrostem przestępczości.

W wywiadzie dla „New Statesmana" Khan przyznaje, że jego zdrowie psychiczne ucierpiało w ostatnim roku. Ale kryzys pokazał również mocne strony miasta i jego ludzi – siłę przetrwania, spokój, ducha solidarności. Khan spodziewał się, że wielki sukces programu szczepień przełoży się na sukces torysów. Niezrażony słabymi wynikami Partii Pracy chce budować mosty – pomiędzy społecznościami, ratuszem i rządem, Londynem i resztą kraju. A przede wszystkim ratować rynek pracy. Chociaż kurz po brexicie jeszcze nie opadł, miastu zagraża kolejna fala pandemii, nie ma na co czekać.

Ludzie wybrali, Londyn pozostanie w rękach lewicy. Sadiq to według teologii muzułmańskiej człowiek prawy, sprawiedliwy, pobożny, odpowiednik żydowskiego cadyka. Khan ma trzy lata, żeby zrobić z tych cnót użytek.

Zuzanna Muszyńska

eprasa.pl 4b004544af

Oko w oko Tomasz Jastrun

Polski nieład

PiS z rozmachem ogłasza Polski Ład, a opozycja wije się i kłóci; te podziały i odejścia w Platformie – co za żałość! O Polskim Ładzie celnie pisze Łukasz Warzecha, pozwolę sobie na długi cytat. „Jeśli planuje się zmniejszenie dochodów budżetu, a zarazem kolejne potężne rozdawanie pieniędzy, to ktoś za to przecież w końcu będzie musiał zapłacić. Ale tego typu konstrukcje są zbudowane jak piramida finansowa: politycy zawsze tak kombinują, aby moment zawalenia się systemu był na tyle odległy, żeby ich to już nie dotknęło. (…) Prawda jest brutalna: to wielki plan łapówkowy dla grupy wyborców, których PiS uznał za swój potencjalny cel, oraz dla żelaznego elektoratu. Plan, który mają sfinansować ludzie lepiej zarabiający, przedsiębiorczy, niezależni – wszyscy ci, którzy raczej na PiS nie głosowali i na pewno już nie zagłosują. Ich sytuacja jest w dużej mierze beznadziejna – jest ich zwyczajnie zbyt mało w stosunku do masy, która będzie celem łapówki, żeby władza musiała się nimi przejmować. (…) Dla ambitnych, niezależnych, zarabiających dzięki dobremu wykształceniu, wybijających się ponad przeciętność w tym planie miejsca nie ma. Oni władzy nic nie obchodzą. Mają pokornie płacić na jej kaprysy i cieszyć się, że w ogóle pozwala im się jakieś pieniądze zachować". A ja myślę, że w tym „ładzie" jak filip z konopi wyskakuje nagle obietnica odbudowy Pałacu Saskiego. A to akurat bardzo mi się podoba, byłem też gorącym zwolennikiem odbudowy Zamku Królewskiego.

•

Tenis po roku. Ależ ja zarosłem sobą, jakby skrępowano mnie powrozem. Wsłuchuję się w biodro, boli na szczęście umiarkowanie. Generalnie to czuję się tak, jakbym miał już lat 70. Więc tyle, ile mam. Ale do tej pory czułem się zawsze młodszy, niż mówiła metryka. Teraz dogoniłem swój wiek. Powiedzmy, że to rozruch starej, podrdzewiałej maszyny, będzie potem lepiej, jeśli tylko się nie rozleci. Tenis przez pół wieku był wiernym towarzyszem mojego życia. Podobnie jak mój partner, wybitny malarz. Obaj postarzeliśmy się na korcie, widzimy siebie nawzajem jak w lustrze – to ja też poruszam się tak wolno jak on? A po grze te same rozmowy, co w latach 80., że sytuacja polityczna parszywa, że znikąd nadziei.

•

Ostatnio mało piszę o swoich dzieciach. Antoś ma ponad 14 lat, głos mu zgrubiał. Przerósł mnie o pół głowy i ciągle rośnie. Franio, 10-latek, też śliczny, zanurzony w marzeniach, by mieć psa, koniecznie rasy husky. Ciągle o tym psie mówi, wciela się niemal w niego. A to trudne psy, niezależne, wymagają wiele ruchu. Ten husky pewnie by nas wykończył – i bez niego ledwie dajemy sobie radę z domem i z życiem codziennym. Gdy byłem mały, też marzyłem o psie. Czy te dwa psy popłyną na jednej łódce rzeką niespełnienia?

•

Jesteśmy w matni, ale inni mają gorzej. Nie wypada jednak pocieszać się cudzymi nieszczęściami. Konflikt izraelsko-palestyński zdaje się nie do rozwiązania. Moja przyjaciółka z Jerozolimy pisze: „Bibi (Netanjahu) jest gorszy od Kaczyńskiego, a nie mniej cwany. Zrobi wszystko, aby nie wylądować w więzieniu. (Trwa jego proces, a sądy izraelskie, inaczej niż u nas, są niezależne od polityków). Motłoch go uwielbia. Teraz pokazuje swoją mordę w TV, bo to on walczy z rakietami Hamasu. Jerozolima jest bezpiecznym miastem, bo przecież Arabowie nie będą strzelać w stronę własnych świętych miejsc. I tak ciągniemy zrezygnowani i przylepieni do ekranu telewizora". Dzwonię do Karoliny, ona też z Jerozolimy, opowiada, jak bardzo to wszystko skomplikowane i wielowarstwowe i jak w sumie beznadziejne. A w internecie pod każdym artykułem o tym konflikcie setki krwiożerczych, antysemickich wpisów. A to tylko pogłos tego, co było kiedyś, choćby przed wojną i niestety w czasie okupacji, co wyparliśmy i wypieramy.

Ludzi po latach pamiętamy zwykle przez jakieś scenki. Czasami tylko tyle zostaje po człowieku, kilka słów.

•

Była apodyktyczna, taka towarzyszka komisarz, uczyła nas rosyjskiego. Ale nauczyła mnie tego śpiewnego i pokrewnego nam języka, chociaż jestem wielkim antytalentem do języków. Rosyjski jest niezwykle inspirujący dla polskiego, jakby go łechtał delikatnie spod spodu. To szczególnie inspirujące dla pisarza. I teraz czytam w „Gazecie" nekrolog pani Zofii Kurylin. A więc jeszcze żyła, gdy ja niebacznie już dawno zaliczyłem ją do mieszkańców krainy zmarłych nauczycieli. Czytam, że miała 92 lata, czyli była tylko o 20 lat starsza ode mnie, a w liceum zdawała mi się niemal sędziwa. Ludzi po latach pamiętamy zwykle przez jakieś scenki, jakby nakręcone na taśmę pamięci, widzę ją: o szerokich biodrach, nieco piegowatą, gdy mówi zjadliwie do ucznia: *Smatrit w knigu, widzit figu*. Czasami tylko tyle zostaje po człowieku, kilka słów. I to też na chwilę. A teraz to już na pewno cały pokój nauczycielski z mojej szkoły nr 34, wtedy im. Świerczewskiego, przeniesiony do niebytu.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b004544af

U progu wojny o wodę

Spór Egiptu, Sudanu i Etiopii o budowę tamy na Nilu grozi wybuchem konfliktu militarnego

Agnieszka Piotrowska

Rośnie niepokój Egipcjan w związku z ukończeniem przez Etiopię budowy największej hydroelektrowni w Afryce – Tamy Wielkiego Odrodzenia (GERD). Niepowodzeniem zakończyły się trzydniowe negocjacje pomiędzy Egiptem, Sudanem i Etiopią prowadzone w kwietniu w Kinszasie. Egipt domaga się udziału w zarządzaniu projektem, czemu Etiopia stanowczo się sprzeciwia, odmawiając przy tym międzynarodowej mediacji. Jeśli się nie ugnie, konflikt najpewniej przybierze charakter militarny. – Wszystkie opcje są możliwe – zagroził prezydent Egiptu.

Tama została wybudowana na Nilu Błękitnym – jednej z odnóg Nilu – który bierze początek na północnych wyżynach Etiopii, po czym w okolicach Chartumu łączy się z Nilem Białym i płynie jednym korytem wzdłuż całego Egiptu, uchodząc deltą do Morza Śródziemnego.

We władaniu Chnuma i Satet

W starożytności źródła Nilu sytuowano w rejonie dzisiejszego Asuanu. Wierzono, że wypływa on z podziemnych jaskiń przy pierwszej katarakcie, które zamieszkuje Hapi – bóstwo dorocznych wylewów Nilu. Na wyspie Elefantyna, gdzie rozwinął się kult Hapiego, znajdowała się także świątynia lokalnego boga Chnuma – strażnika źródeł Nilu, i jego żony Satet – dawczyni chłodnej wody. Za pomocą nilometra kapłani śledzili obfitość wylewów, od których zależały plony w całym kraju. Na tej podstawie ustalano również wysokość podatków.

Znaczenie Nilu dla cywilizacji egipskiej podkreślał już Herodot. W ciągu wieków najdłuższa rzeka Afryki była nie tylko celem wypraw badawczych (w tym Polaka Leona Cienkowskiego) czy inspiracją dla artystów. Jej życiodajna rola sprawiła, że do dziś obłożona jest w Egipcie swoistym tabu.

Pierwsze porozumienie dotyczące podziału zasobów Nilu między Egipt, Sudan i Etiopię podpisano w 1902 r. Na jego mocy Sudan zrzekł się fragmentu swojego terytorium na rzecz Etiopii, która w zamian gwarantowała, że wszelkie decyzje dotyczące biegu rzeki będzie konsultowała z obiema stronami. W 1929 r. Wielka Brytania podpisała z Egiptem porozumienie przyznające mu prawo weta w przypadku projektów dotyczących górnego biegu rzeki. Kolejne porozumienie Egipt zawarł z Sudanem w 1959 r. i na jego podstawie uzyskał prawo do 55,5 mld m sześc. wody rocznie, a Sudan do 18,5 mld m sześc.

> Jeśli dojdzie do katastrofy, grozi to całkowitym zalaniem Egiptu i Sudanu.

Dziś Etiopia dystansuje się od tych porozumień, twierdząc, że są one efektem kolonialnej polityki w regionie. Rzeczywiście podpisane zostały w okresie, gdy zarówno Egipt, jak i Sudan znajdowały się pod faktyczną okupacją Wielkiej Brytanii. Etiopia zawierała jednak umowę jako państwo suwerenne i zachowała formalną niepodległość nawet po podpisaniu trójstronnego traktatu w Londynie w 1906 r., ustanawiającego brytyjską, francuską i włoską strefę wpływów na terytorium tego kraju. Dlatego z perspektywy Egiptu i Sudanu decyzja Etiopii o nieprzestrzeganiu międzynarodowych umów i wybudowaniu tamy bez konsultacji z sąsiadami wydaje się niezrozumiała – zwłaszcza że sama Etiopia nie ma problemów z wodą, podczas gdy tereny pustynne w Egipcie i Sudanie zajmują odpowiednio 96% i 50% powierzchni.

Jednostronny proces planowania GERD uniemożliwił tym krajom porozumienie się z Etiopią i zastosowanie procedury oceny oddziaływania na środowisko i społeczeństwo (ESIA). Podkreślano również jego niezgodność choćby z postanowieniami konwencji Narodów Zjednoczonych o prawie pozażeglownego użytkowania międzynarodowych cieków wodnych z 1997 r. i prawem zwyczajowym.

Tama Wielkiego Odrodzenia

Tama, której projekt opracowywano już od niemal dekady, została częściowo ukończona w roku ubiegłym. Co ciekawe, znajduje się ona na terytorium przyznanym Etiopii na mocy tego samego porozumienia (z 1902 r.), które teraz Addis Abeba kwestionuje – przy granicy z Sudanem, w związku z czym konsekwencje jej użytkowania nie będą odczuwane przez Etiopczyków. Gdy jesienią, po pierwszym niewielkim napełnieniu, zbiornik opróżniono, spowodowało to poważne powodzie w Sudanie. Dlatego Egipt i Sudan tworzą w tym konflikcie wspólny front. Po obaleniu w 2019 r. prezydenta Umara al-Baszira nowe władze sudańskie w pełni współpracują z Kairem.

Zbiornik GERD ma powierzchnię 1680 km kw. i w tej chwili zawiera ok. 5 mld m sześc. wody. Władze etiopskie deklarują, że po drugim zapełnieniu jego objętość wyniesie 18,4 mld m sześc. i że pomieści on 88% rocznego przepływu Nilu. Specjaliści ostrzegają, że stworzy to niebezpieczeństwo pozbawienia wody 25% Egipcjan pracujących w sektorze rolniczym, pośrednio narażając na głód ponad 140 mln ludzi (100 mln Egipcjan i ponad 40 mln Sudańczyków), a jeśli dojdzie do katastrofy, grozi całkowitym zalaniem obu krajów. Także w wypadku ewentualnego konfliktu to potężna broń w rękach każdego państwa aspirującego do roli hegemona.

eprasa.pl 4b004544af

Władze etiopskie deklarują, że po drugim zapełnieniu zbiornika pomieści on 88% rocznego przepływu Nilu.

Na egipskiej arenie politycznej po stronie etiopskiej opowiadają się aktywiści islamistyczni, manipulując przy tym faktami. Do rozpowszechniania tych przekazów wykorzystywane są kanały Braci Muzułmanów nadające z Turcji.

Sytuacja staje się coraz bardziej napięta. Etiopia zaczęła już częściowo opróżniać zbiornik, by podwyższyć tamę i w rezultacie pomieścić w nim więcej wody. Ponowne jego zapełnienie planowane jest na lipiec. Jeśli Egipt zdecyduje się na interwencję militarną, musi to zrobić przed tym terminem – zniszczenie pełnego rezerwuaru spowoduje ogromne szkody na terenach w dolnym biegu rzeki.

Jednocześnie – jak poinformował rzecznik egipskiego Ministerstwa Zasobów Wodnych i Irygacji – Egipt rozwija alternatywne scenariusze złagodzenia skutków drugiego wypełnienia GERD, obejmujące modernizację kanałów irygacyjnych, budowę pompowni, otwarcie oczyszczalni ścieków i rozwijanie nowoczesnych metod nawadniania.

Etiopia argumentuje, że hydroelektrownia ma pokryć jej zapotrzebowanie na prąd, gdyż na jego niedobór cierpi ponad 50% mieszkańców kraju, podczas gdy Egipt nie ma tego problemu. Prawda jednak wygląda nieco inaczej. Etiopia eksportuje energię elektryczną do Kenii i Sudanu Południowego, a ograniczony dostęp jej mieszkańców wynika z braku infrastruktury sieciowej i dystrybucji energii. Addis Abeba zdaje się głucha na argumenty o fundamentalnym znaczeniu Nilu dla życia w Egipcie, gdzie jest on prawie jedynym źródłem wody pitnej. Jednocześnie obwinia Egipt o to, że sam korzysta z rzeki, rozbudowując projekt zazielenienia Sahary. Łatwo jednak sprawdzić, że roczne zużycie wody na mieszkańca w Egipcie wynosi 570 m sześc., podczas gdy w Etiopii – 1128 m sześc. Pod względem średniej rocznej sumy opadów atmosferycznych Egipt zajmuje ostatnie, 186. miejsce, Etiopia – 99. (IndexMundi). Przy tym Egipt korzysta z dolnego biegu rzeki, nie wyrządzając szkód innym krajom.

Zachowanie Etiopii można uznać za dość zaskakujące również ze względu na jej pozycję militarną. Jeśli chodzi o liczebność wojska i wyposażenie, wypada znacznie słabiej niż Egipt, co każe przypuszczać, że otrzymała w tej sprawie jakieś gwarancje. Nie można wykluczyć np. nałożenia sankcji na Egipt, jeśli ten przystąpi do ataku, gdy znajdzie się w sytuacji bez wyjścia.

Wspólnota międzynarodowa milczy. Jedynie Stany Zjednoczone w okresie prezydentury Donalda Trumpa bezwzględnie wsparły stanowisko Egiptu. Nie wiadomo, czy Joe Biden będzie chciał się angażować w ten spór. Wiceprezydent Kamala Harris zdążyła już zresztą ostrzec, że kolejne wojny będą się toczyć nie o ropę, lecz o wodę. Mówi się też, że Chiny mają pozostać w tym przypadku neutralne, gdyż realizują swój własny projekt budowy największej zapory na świecie, nie zważając na zagrożenie dla Indii.

Agnieszka Piotrowska jest tłumaczką, założycielką Biblioteki Polsko-Arabskiej. Mieszka w Egipcie

Tureckie tamy na Tygrysie i Eufracie

Monopolizacja źródeł rzeki na taką skalę wydaje się bezprecedensowa, choć w różnych częściach świata wznoszono już duże zapory powodujące obniżenie poziomu wody w sąsiednich krajach. Bliski Wschód doświadczył podobnych problemów zwłaszcza za sprawą Turcji, która od lat buduje tamy na Eufracie i Tygrysie, niszcząc w ten sposób pastwiska i tereny uprawne w Iraku. W wyniku jej działań poszkodowana jest również Syria – także wskutek zajmowania przez Turcję z premedytacją górzystych terenów z dostępem do wody pitnej. Na początku maja syryjska agencja informacyjna SANA informowała o drastycznym obniżeniu poziomu wód Eufratu, obwiniając Turcję o blokadę spływu wody i wzywając wspólnotę międzynarodową do interwencji.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 4b004544af

SUPERŻYWNOŚĆ

Polacy szukają magicznych rozwiązań, które natychmiast poprawią samopoczucie czy pomogą schudnąć

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Sproszkowany baobab, moringa, jagody camu camu lub acai – jakie są inne, ale równie oryginalne przykłady superżywności?

– Owoc lucumy, guarana, surowe kakao czy babka płesznik. *Superfoods*, bo tak też się o nich mówi, jest faktycznie bardzo dużo. Zaliczyć można do nich także komosę ryżową, białko konopne czy macę uprawianą na wysokości 3,5 tys. m w Andach.

Jagody goji, nasiona chia, miechunka peruwiańska – można by tak długo, bo Polacy kochają nowości. A co jest teraz na topie?

– Algi morskie, wodorosty – chlorella i spirulina.

A kimczi i kombucza?

– Też, ale to nie nowość, bo moda na nie teraz wraca. Zresztą trudno się dziwić, skoro coraz więcej osób przekonuje się, że fermentowane produkty są bardzo korzystne dla jelit. A mogę z ręką na sercu powiedzieć, że jest to bardzo duży problem. W moim gabinecie co drugi pacjent ma dolegliwości żołądkowo-jelitowe – i nawet jeśli nie przychodzi z nimi bezpośrednio, to zapytany zawsze przyzna, że coś jest na rzeczy. Nic więc dziwnego, że Polacy szukają naturalnych prebiotyków i kiszą teraz także buraki czy rzodkiew. Tak na marginesie sama kombucza jest nie do końca korzystna, bo zawiera bardzo dużo cukru.

O tym wie niewielu, podobnie jak o tym, że superżywność może być nasza, polska.

HANNA STOLIŃSKA
– doktor nauk o zdrowiu, dietetyk kliniczny

– Zdecydowanie! Jeżeli chodzi o polskie *superfoods* – a są one faktycznie bardzo niedoceniane – to np. siemię lniane, dzika róża, nasiona dyni, orzechy włoskie, papryka, natka pietruszki, jarmuż, rośliny strączkowe, np. ciecierzyca, soczewica, groszek, fasola. Ale też kasza gryczana, kasza jaglana i płatki owsiane. No i nie zapominajmy o ziołach i przyprawach.

Z ziół i przypraw to jakie?

– Na pewno oregano, bazylia, tymianek, zioła prowansalskie, kurkuma, imbir, cynamon i czarnuszka, o której w starożytności mówiono, że potrafi wyleczyć wszystko oprócz śmierci. To są te najważniejsze i jednocześnie najzdrowsze.

Czyli z jednej strony nowości, z drugiej – tradycja. To jaka jest w ogóle definicja *superfoods*?

– Nie ma jednej prawnej definicji *superfoods*, a to dlatego, że bardzo mało jest badań naukowych na ten temat. Co ciekawe, sam termin *superfoods* wziął się nie od tych, którzy faktycznie badają żywność, czyli naukowców lub dietetyków, o czym piszę w książce. Po raz pierwszy pojawił się na początku XX w., około daty wybuchu I wojny światowej. Był elementem kampanii marketingowej zainicjowanej przez United Fruit Company, której celem była promocja importowanych bananów. Opublikowano wówczas broszury informacyjne, w tym o badaniach wartości odżywczych bananów, a także sposobach ich wykorzystania w codziennej diecie.

Są tanie, pożywne, lekkostrawne, dostępne wszędzie, odporne na drobnoustroje, dobre zarówno na surowo, jak i po poddaniu obróbce termicznej – zachwalano.

– Aby zachęcić do ich jedzenia, proponowano dodawanie bananów do płatków śniadaniowych, do sałatek na *lunch*, a nawet do mięsa, np. na obiad czy kolację. Jednak popularność *superfoods* wzrosła po zatwierdzeniu terminu w czasopismach medycznych. W tym po publikacjach

eprasa.pl 4b004544af

wyników badań lekarzy i naukowców, którzy dowodzili, że dieta bananowa sprawdza się w leczeniu takich chorób jak cukrzyca czy celiakia, czyli alergia na gluten. Osoby z celiakią muszą unikać takich produktów jak pszenica, żyto, jęczmień i owies, więc ich dieta robi się szczególnie uboga. Tak o tym myślano kiedyś. Teraz nie, teraz dieta bezglutenowa może być naprawdę bardzo urozmaicona.

A tu i teraz jaka w takim razie jest pani definicja *superfoods*?

– To produkty, które w małej objętości zawierają bardzo dużo składników pozytywnie wpływających na zdrowie. Witamin, składników mineralnych czy fitozwiązków, bo mówimy przede wszystkim o produktach roślinnych.

Tyle teoria, a w praktyce co konkretnie zawierają np. jagody goji i jak wpływają na organizm?

– Są bardzo dobrym źródłem fosforu, istotnego dla zdrowia kości i zębów, oraz niacyny – to witamina z grupy B, która bierze udział w przewodnictwie nerwowym czy, szerzej, budowaniu układu nerwowego. Jagody goji pokrywają przeszło 15% dziennego zapotrzebowania na tę witaminę i składnik mineralny. Zawsze patrzę na minimum 15% dziennego zapotrzebowania, bo tak mówią oświadczenia żywieniowe i zdrowotne.

A inne produkty?

– Lucuma ma dużo fosforu i cynku, moringa – białka i błonnika, czarnuszka – błonnika i kwasów omega 3 i 6. Camu camu to wapń i witamina C, kurkuma – żelazo i kurkumina przeciwzapalna. Nasiona chia to błonnik i kwasy omega 3, chlorella – przede wszystkim chlorofil, czyli witamina A i bardzo aktywny związek przeciwutleniający, przeciwnowotworowy i przeciwzapalny, który wspomaga też pracę wątroby, dlatego można powiedzieć, że ma ona także działanie oczyszczające. Maca to z kolei źródło witamin z grupy B, miechunka – bogactwo potasu i żelaza, morwa biała – to wapń i witamina A, surowe kakao – przede wszystkim błonnik, magnez, mangan, żelazo, jagody acai – potas i witamina A, jagody maqui – wapń i witaminy z grupy B, baobab – wapń i witamina C, a komosa ryżowa – błonnik i białko, tak samo zresztą jak babka płesznik.

Z polskich *superfoods* – co może nam dać np. zielony groszek?

– Choć tak niepozorny i najbardziej niedoceniany, zawiera większość witamin i składników mineralnych potrzebnych, by zdrowo funkcjonować, z wyjątkiem witaminy B_{12}. Do tego duże ilości błonnika i białka. Dla porównania kasza gryczana jest doskonałym źródłem „jedynie" błonnika, magnezu i żelaza, orzechy włoskie – kwasu omega 3, pestki dyni – żelaza, a np. papryka – żelaza i witaminy C, podobnie jak natka pietruszki.

> Superżywność to produkty, które w małej objętości zawierają bardzo dużo składników pozytywnie wpływających na zdrowie.

Jak inaczej można jeszcze uporządkować *superfoods*?

– W zależności od tego, co zawierają, przypisuje się je do kategorii: energia, regeneracja, odporność, kości…

Ile łącznie takich grup mogłoby być?

– Sześć, bo można do tego dołożyć koncentrację i ewentualnie odchudzanie, bo to też teraz popularne hasło. Inna rzecz, że nie lubię tych haseł, bo na dietę trzeba patrzeć całościowo. Przecież nawet jeżeli źle się odżywiamy, a dosypiemy sobie trochę *superfoods*, to nie poprawi naszej koncentracji. Podobnie jeśli nie będziemy regularnie jeść posiłków.

Wracając do grup – kiedy myślimy o *superfoods* na energię, to o czym przede wszystkim?

– Na pewno o kakao, białku konopnym, komosie ryżowej i kaszy gryczanej…

Cztery produkty w zupełności wystarczą. A jeśli mowa o regeneracji?

– Ponownie będzie to kakao, ale również np. miechunka i lucuma.

Odporność?

– Siemię lniane, nasiona chia. Wszystkie produkty z kwasami omega 3, czyli także orzechy włoskie i jarmuż.

Zostały nam jeszcze trzy grupy: kości?

– To na pewno baobab, camu camu, suszone morele i suszone figi, migdały i mak, który też jest bardzo dobrym źródłem wapnia.

Koncentracja?

– Powtórzę się: kakao, siemię lniane, nasiona chia, bo to kwasy omega 3. Do tego produkty, które zawierają witaminy z grupy B. Moringa, maca… Można jeszcze pogrupować przeciwutleniacze, czyli jagody maqui, acai – to te podstawowe.

To na młodość, czyli wpadła nam nowa kategoria. A odchudzanie?

– Jagody acai, chlorella, białko konopne, bo przyśpiesza też metabolizm. I lucuma. O, i jeszcze jedna, ostatnia już grupa: trawienie. Obowiązkowo z siemieniem lnianym.

Czyli łącznie mamy ich osiem. A komu szczególnie warto polecać superżywność?

– Na pewno osobom aktywnym fizycznie, na dietach eliminacyjnych, tym, którzy jedzą dużo żywności przetworzonej i nie do końca dobrze bilansują dietę. Stale pracują przy komputerze. Mają obniżony nastrój, różne schorzenia…

Na przykład jakie?

– Od kłopotów z krążeniem, przez cukrzycę i stany zapalne w organizmie, po osteoporozę.

Czyli wszystkim?

– Tak! Jestem ogromną fanką *superfoods*. Tym bardziej że dieta Polaków pozostawia wiele do życzenia.

eprasa.pl 4b004544af

A swoje robią także stres, zanieczyszczenie powietrza, dym tytoniowy, geny, mała aktywność fizyczna, a co za tym idzie nadwaga i otyłość. Wszystko to, co związane ze stylem życia, a co posypało się szczególnie teraz w pandemii. Siedzenie w domu nie wyszło nam na dobre – w badaniach prawie 40% Polaków przyznaje, że przytyło minimum 6 kg.

Skoro wszyscy potrzebują, a wybór jest bardzo duży, to co i kiedy jeść?

– Najlepiej każdego dnia inną superżywność. Chodzi o to, by zobaczyć, jak na nas działa. Jak się po niej czujemy. Jak nam smakuje. Do czego lubimy ją dodawać. Jest w tym duża dowolność. Nie ma przy tym znaczenia, czy sięgniemy po to rano, czy wieczorem.

A ile?

– Nie więcej niż jedną łyżeczkę dziennie. Bo choć mało jest badań pokazujących wpływ konkretnych *superfoods* na dzieci, kobiety w ciąży i karmiące, to zaleca się – szczególnie w ich przypadku – bardzo ostrożne dawkowanie. Musimy zachować zdrowy rozsądek.

Co się stanie, jeśli przedawkujemy superżywność?

– Trzeba się liczyć z problemami żołądkowo-jelitowymi wynikającymi głównie z nadmiaru błonnika. Nie ma – co do zasady – innych skutków ubocznych.

Za dużo surowego kakao może nadmiernie pobudzać, co też jest obciążeniem dla organizmu, można przeczytać w sieci.

– Potwierdzam, ale też trudno zjeść nie wiadomo ile naturalnego kakao. Nie mówimy o tym najczęściej spotykanym w sklepach.

Czyli superżywność wcale nie jest zawsze taka super!

– Jest, o ile będzie spożywana w umiarze. Tak jak wszystko.

A to cała nasza dieta nie powinna być super?

– Też miałam kiedyś takie podejście: co z tego, że sypniemy *superfoods*, jeśli zjemy schabowego? Ale nie da się zrobić tak, by nasza dieta była idealna. Teraz wręcz nie chcę, żeby moi pacjenci mieli perfekcyjną dietę – wystarczy zasada 80 do 20. 80% dobrze, 20% sobie odpuszczamy, bo to po prostu jest niemożliwe i stresujące. Zresztą nie daje pozytywnego efektu – nadmierna perfekcja, ortoreksyjna superdieta to droga donikąd.

Jednym słowem, chodzi o ogólne zdrowe nawyki.

– Czasem o odpuszczenie. Dosypywanie *superfoods* – jako dodatku, który wzbogaca dietę, bo przecież rzadko bywa ona idealna – tak!

Skąd brać superżywność? Gdzie najlepiej jej szukać?

– Jest szeroko dostępna w sklepach, nie trzeba mieć specjalnych dojść. Nawet baobab łatwo teraz dostać, bo jest sprzedawany np. w drogeriach.

Jak czytać takie etykiety?

– Bardziej bym patrzyła na źródła, czy jest to ekologiczne, czy nie.

Polskie superfoods to np. dzika róża, nasiona dyni, papryka, natka pietruszki, soczewica, groszek, fasola, kasze gryczana i jaglana.

A jeśli chodzi o inne rekomendacje, to ich nie mam. To zazwyczaj produkty jednoskładnikowe. Próżno też na nich szukać oznaczenia *superfoods* – brak prawnej definicji i oświadczenia medycznego popartego wiarygodnymi badaniami naukowymi zrobił swoje. Dość powiedzieć, że w 2007 r. Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności zakazał wprowadzania do obrotu produktów oznaczonych jako *superfoods*.

To nie można było od tego czasu przeprowadzić wiarygodnych badań?

– Na konkretnych produktach czasem tak, ale cały czas jest tych analiz bardzo mało. Najwięcej robi się ich w kierunku przeciwutleniaczy. A to dlatego, że stosunkowo łatwo zbadać potencjał antyoksydacyjny danego produktu. Jest tzw. system ORAC, który określa zdolność pochłaniania wolnych rodników tlenowych. Inna rzecz, że dużo się mówi o profilaktyce przeciwzapalnej – walka ze stanem zapalnym, który jest źródłem wielu chorób – i dlatego w tym kierunku bada się teraz produkty spożywcze. Ale to zawsze analizy bardzo czaso- i pracochłonne, do tego kosztowne. Poza tym są różne źródła, różne produkty, a w końcu i różne stężenia danych składników. Liczę jednak, że to się zmieni – badań będzie przybywać, bo przecież żywność ma nas uratować.

Co nie zmienia faktu, że na razie *superfoods* to moda – kolejna i jedna z wielu.

– Tak, ale mam nadzieję, że zostanie z nami na dłużej.

Co ma o tym zdecydować?

– Czynniki są trzy. Po pierwsze, piramida zdrowego odżywiania jest nudna. Po drugie, coraz większa jest otwartość Polaków, i to nie tylko na zdrowe żywienie. Po trzecie, coraz więcej z nas widzi, jak bardzo jedzenie wpływa na organizm. Jak można się posypać, jedząc niezdrowo, a jak można się czuć, dbając o dobrą dietę i stosując różnego rodzaju produkty. Tylko żeby było jasne: zalecenia żywieniowe są najważniejsze, a *superfoods* najlepiej traktować jako urozmaicenie diety, która jest podstawą do zachowania zdrowia.

Po czwarte, Polacy traktują *superfoods* jak magiczne zaklęcie. Dosypię, wypiję i będę piękny, młody i zdrowy.

– Nawet jeśli szukają magicznych rozwiązań, które na trzy-cztery poprawią samopoczucie czy pomogą schudnąć, to nadal jestem za. Nie ma znaczenia, jakie jest myślenie. Ważne, by stosować superżywność.

Zaraz, zaraz, to superżywność może im to zapewnić?

– Jeżeli będą to robili regularnie – jak najbardziej. Szczególnie że *superfoods* z powodzeniem mogą być zamiennikiem suplementów diety i witamin syntetycznych. Z pożywienia zawsze wszystko lepiej się wchłania. Poza tym żywność to nie tylko jeden składnik, to milion składników, które działają w synergii, uzupełniają się i zwiększają wchłanianie w organizmie.

A jeśli do tego dodamy aktywność fizyczną, sen, medytację, zimne kąpiele… czyli dbanie o podstawy, to niczego więcej nam nie potrzeba.

Dorota Bartosewicz

FOT. HOW2, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4b004544af

NA POWAŻNIE

RENESANSOWE PSALMY

Największy poeta polskiego renesansu Jan Kochanowski przetłumaczył z hebrajskiego Księgę Psalmów, a pięć lat młodszy Mikołaj Gomółka napisał muzykę. Słowa polskie, takie też skojarzenia, a rytmy i melodie niektórych pieśni wręcz do tańca mogą skłaniać. To arcydzieło muzyczno-literackie wzięła na warsztat Polska Opera Królewska i w Teatrze Stanisławowskim w Łazienkach Królewskich odbył się wspaniały koncert. Psałterz Dawidowy we fragmentach wykonano w opracowaniu na chór, ale czasem śpiewali soliści, a niekiedy muzykę podpowiadała tylko orkiestra. Rzadko możemy mieć kontakt z polskimi perłami kultury XVI w., tym większa zasługa Opery Królewskiej.

Bronisław Tumiłowicz

Mikołaj Gomółka, „Melodie na Psałterz Polski", Polska Opera Królewska, dyrygent Tadeusz Karolak, opracowanie muzyczne Jacek Urbaniak, 14 maja 2021

SERIAL

POGOŃ ZA MIŁOŚCIĄ

reż. Emily Mortimer, prod. Wielka Brytania, BBC First, 28 maja

Filmowcy coraz chętniej opowiadają nam o przeszłości z perspektywy kobiet. W ekranizacji powieści Nancy Mitford z 1945 r. przenosimy się do Anglii z okresu 20-lecia międzywojennego, kiedy dziewczyna miała na życie dwa scenariusze: albo podporządkować się obowiązującym normom i ułożyć sobie stateczny byt u boku męża, albo kontestować reguły i walczyć o emancypację. W buntowniczkę wciela się Lily James, gwiazda „Mamma Mia" i „Kopciuszka", pokorna jest jej najlepsza przyjaciółka, którą zagrała Emily Beecham, w Cannes laureatka nagrody dla najlepszej aktorki za występ w „Kwiecie szczęścia" – obie są magnetyczne. To serial o pękającym społeczeństwie i podziałach wynikających z zagubienia w zastanym porządku. Ale zamiast antagonizować bohaterki, reżyserka zmusza je do przejrzenia się w sobie, zrozumienia wzajemnych postaw i decyzji. Jak na serial BBC przystało, produkcja wyróżnia się wiernymi epoce, fantastycznymi strojami i scenografią – oraz zapożyczoną z przyszłości rockową muzyką, która daje moc i podkręca tempo.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

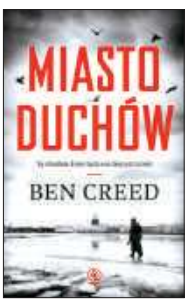

Ben Creed
Miasto duchów

tłum. Radosław Kot
Rebis, Poznań 2021

Od razu zabrzmiał mi w głowie fragment „Skrzypka Hercowicza": „Za oknem ciemność i śnieg. / Dałbyś pan spokój, Sercowicz! / Takie jest życie, nie?". Jednak bohater nie jest z tych, co daliby spokój. Szczególnie że im dalej porucznik milicji, niegdysiejszy student konserwatorium i właśnie utalentowany skrzypek, posuwa się w śledztwie, tym bardziej sprawa staje się osobista. To, co wyglądało na dzieło szaleńca, zamienia się w wyrafinowaną grę. Ma wyjątkowy klimat ta powieść debiutujących pod wspólnym pseudonimem Chrisa Rickaby'ego i Barneya Thompsona (drugi sam studiował w Konserwatorium Petersburskim). Tłem akcji jest zmrożony przedwczesną zimą Leningrad, odbudowywany ze zniszczeń niemieckiego oblężenia i szykujący się do obchodów rocznicy utworzenia Drogi Życia. Miasto jest poranione, bohater też – fizycznie i psychicznie. Walczy o przetrwanie w świecie, w którym w miarę bezpieczni mogą się czuć tylko urodzeni intryganci lub ci, którzy mają naprawdę mocną kartę przetargową.

Aleksandra Pańko

Tomasz Różycki
Ijasz

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

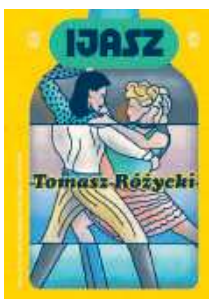

Lewa Nielucki powraca do miasta Fiatem Punto, by odnaleźć dawną miłość. Bohater ma ze sobą tajemniczy Czarny Zeszyt kryjący zapiski sporządzone przez nieżyjącego ojca, które mogą skompromitować miejscową elitę i zmienić lansowaną przez nią heroiczną wizję dziejów miasta. Tak zaczyna się epos Tomasza Różyckiego, cenionego poety, trzykrotnie nominowanego do Nike, laureata Nagrody Kościelskich. Kwestia fabularna schodzi jednak na drugi plan wobec językowego mistrzostwa „Ijasza". Ostra ironia, liryzm, kpina z typowych polskich mitów i marzeń. U Różyckiego satyra społeczna spotyka się z powieścią drogi, baśń o Małej Ojczyźnie z klechdą o zagranicznych rajach. W moim odczuciu „Ijasz" to unikatowe połączenie Stasiuka i Miłoszewskiego pod poetyckim piórem Różyckiego. Swojska „Iliada" na miarę naszych możliwości, skrojona pod naszą wrażliwość. Jacy herosi, taka epopeja, a innej opowieści o Polsce nie będzie.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b004544af

Beata Dżon-Ozimek

Dziewczyna szatana

Lokalne media obejmujące patronat nad wystawami w opolskiej Galerii Sztuki Współczesnej poprosiły, by ich nazwy nie było na plakatach

Malwa, drobna, dziewczęca, właśnie zsiadła z roweru, swoistego dzieła sztuki. Przyjechała nim w butach na kilkunastocentymetrowych obcasach, one też są pokryte rysunkami. – Są idealne do jeżdżenia, chodzić w nich nie lubię – śmieje się Malv Miel. Siadam na burgundowym fotelu, który służy w performansach online, towarzyszących wystawie jej prac „Dziewczyna szatana", otwartej w opolskiej Galerii Sztuki Współczesnej w połowie kwietnia, wtedy bez publiczności. Dzięki wielu pomysłom Malv Miel i kuratorki Natalii Krawczyk wystawa żyje w internecie.

Krawczyk, badaczka sztuki, nauczycielka akademicka, feministka, współpracuje z ASP we Wrocławiu i Uniwersytetem Opolskim, jest kuratorką wielu wystaw, od przeszło 10 lat pracuje w GSW. – Zdecydowałam się na Malv, bo to wyjątkowa osoba, a prezentacja jej prac jest raczej „wystawą postawą". Od lat przyglądam się jej z podziwem, potrafi włożyć kij w mrowisko w nonszalancki sposób, z odwagą, a przy tym jest subtelna i bezproblemowa. Jest prawdziwą pacyfistką, ale nie konformistką. Oprócz sztuki zajmuje się muzyką, jest kuratorką w prywatnej Galerii Panaceum, robi wiele innych rzeczy. Opowiada o sobie, o kobiecie, która się nie podporządkowuje – wyjaśnia. Swoją drogą kompetencje jej samej są często podważane wyłącznie z powodu płci.

Nieśpiesznie pobyć z Malv

Dwa poziomy galeryjne pełne malowanych, haftowanych, rysowanych kobiet i mężczyzn, stworów, symboli, piersi, członków, pocałunków, miłości i radości, energii życia. Malv mówi, że jej rysunki są brzydkie. – To sztuka naiwna albo *ignorant style* – tłumaczy artystka, absolwentka Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego (obecnie Wydział Sztuki UO). 18 tkanin z postaciami wisi od sufitu do podłogi. – Nawiązałam ironicznie do „Dziewczyny szatana" i liczby 666. Bardzo inspiruje mnie też fraza Picassa, który mówił, że w sztuce na pewno 2 plus 2 nie równa się 4, a na mojej wystawie na pewno 6 plus 6 nie równa się 12, tylko 66 lub 666. Ostatnia płachta z kobietą na koniu to trochę rozmyślania o tym, że w takiej pozycji pozowali Piłsudski, Napoleon i wielu innych mężczyzn, ale nie miała chyba takiego portretu żadna dziewczyna.

Warto być uważnym, na ścianach galerii ukryte są małe rysunki: różowy kaktus, a może sympatyczny fallus, jakiś zwierz, ołtarzyk, intymny kąt z haftowaną sceną, ksero różnych rysunków Malv Miel do zabrania – to znak szczególny jej działań, sztuka do wzięcia, do przygarnięcia. Obok różowe, lśniące legowisko – można się ułożyć i zadomowić. Artystka chce, by nie śpieszyć się w jej świecie, by w nim pobyć. – Publiczność tylko sobie tak będzie wchodzić i wychodzić, nie ma bodźca, by zostać dłużej. Pomyślałam więc, że trzeba tak zaaranżować przestrzeń, żeby się chciało zostać, i stąd różne niespodzianki, obrazeczki powrzucane w nieoczywistych miejscach – opowiada. Jest też ściana kserówek z różnymi obliczami. – Pomnik czarownic. Interesują mnie osoby, o których wszyscy zapomnieli. To była masowa zbrodnia wykonana w wielu krajach głównie na kobietach. Nie widać dla nich pomników, inaczej niż w przypadku papieży i różnych dyskusyjnych przywódców. Zastanawiałam się, co by było, gdybym żyła dawno, czy dopasowałabym się do społeczeństwa, czy robiła tak jak teraz, zawsze trochę inaczej, outsidersko. Zawsze wolałam siedzieć i rysować swoje. Mogłabym być z tych outsiderów, mogliby mnie spalić.

Sztuka u prokuratora

– „Dziewczyna szatana"? Nie przejdzie ci to, słyszałam, a ja czułam, że przejdzie, że nikt się nie przyczepi. Mimo że kiedy proponowałam ten tytuł, akurat wokół GSW rozpętała się „afera parówkowa". Szatan to słowo związane z religią, ja nie wierzę w żadnego boga, więc ten szatan też nie do końca mi pasuje, bo sugeruje, że mam coś wspólnego z religią, a ja się totalnie odcinam. Ale interesuje

eprasa.pl 4b004544af

mnie ta druga opcja szatana: buntownik – mówi Malv Miel. I została „Dziewczyna szatana".

O co chodziło w „aferze parówkowej" w Opolu? GSW zaproponowała w przeszklonej przestrzeni Aneksu cykl okołoepidemicznych artystycznych rozważań „Co robić, czekając?". Instalacja Tomasza Mroza, który sięgnął m.in. po symbol krzyża, wstrząsnęła w lutym pewnym opolaninem i TVP 3, która zrobiła sensacyjny „materiał śledczy". Afera osiągnęła barejowską skalę, okazało się bowiem, że został obrażony czujny obywatel Opola, a raczej jego uczucia. Zgłosił na policję „wystawienie krzyża ubranego w parówki", a instalacja, rozpracowywana przez grupę policjantów, bliska była aresztowania.

W ostatnich latach tradycja szykanowania artystów w Polsce się utrwala. W Lublinie cenioną Galerię Labirynt straszy fundacja Kai Godek i idzie do prokuratury, bo na zdjęciu promującym wydarzenia artystka jakoby zjada ludzki płód. Podobnie było w Białymstoku ze „Strachem" w Arsenale – tu naciskały nacjonalistyczne środowiska, tym bardziej że to praca ukraińskiej artystki. Gdy grupa Łódź Kaliska pokazała nagą kobietę na tle białego orła, zawrzało w stowarzyszeniu Obóz Wielkiej Polski, potem w prokuraturze w Radomiu. Inna prokuratura miała się zająć Matką Boską Marty Frej – za maseczkę z czerwoną błyskawicą Strajku Kobiet i czarną parasolkę. W tym klimacie pojawia się „Dziewczyna szatana".

Ksero różnych rysunków Malv Miel do zabrania to znak szczególny jej działań – sztuka do wzięcia.

Na ile sztuka, także ta wystawa ze szczerą seksualnością, nagością, brzydotą, czyli człowiekiem takim, jaki jest, może być ryzykowna tu i teraz, w Polsce? – Na niektórych przykładach widać, że może. Nergal ma problemy, także Dorota Nieznalska, wiele wystaw odbyło się nie w Polsce, tylko w Czechach, tam można dotykać religijnych klimatów – mówi Malv.

Poprzednia „żywa" wystawa Malv Miel miała miejsce w Londynie, tuż przed pandemią. – W nieczynnym browarze, kilkunastu artystów, w tym ja. O dziwo, mimo że była to sekretna lokalizacja i tylko znajomi znajomych, przyszło bardzo dużo ludzi, nikt się nie spodziewał, chociaż to Londyn, gdzie mnóstwo się dzieje. Potem jeszcze w Warszawie robiłam wystawę w Galerii Wolno, na squacie.

Hafty i kitel

Po raz pierwszy przy okazji wystawy Malv zaprojektowała tatuaże, jako dodatek do odbitek jej rysunków, w pakiecie „Wystawa na wynos" dla tych, którzy chcą mieć trochę „Dziewczyny szatana" w domu. Są zmywalne. Zaskoczona artystka przyznaje, że znajoma malarka robi sobie jeden z nich na stałe: – Mój pierwszy obraz na skórze.

Pytam Malv o prawa kobiet w Polsce, bo ta wystawa jest także o nich. – Mamy problem. Faceci też mają z tym problem, tylko oni sobie tego nie uświadamiają, bo nie traktują nas równo, a później cierpią z powodu tego, że mają na sobie odpowiedzialność za wszystko. Jest więcej depresji u mężczyzn, samobójstw, widać tę presję, którą społeczeństwo na nich wywiera. Tak naprawdę nasze prawa są także w ich interesie, tylko musieliby chcieć to sobie uświadomić. Chcą być ojcami, wychowywać dzieci, ale nie mają kiedy. Co mówić dziewczynkom, skoro wszystkie bajki są o księżniczkach? I jak znaleźć coś, żeby nie siać kolejnego pokolenia księżniczek, które nic same nie zrobią, nie poradzą sobie? Między kobietami a mężczyznami jest taka różnica jak między ręką prawą a lewą w perkusji, mogą pozostać przy swoich zadaniach, a można je nauczyć grać wszystko, tylko z przyzwyczajenia czy lenistwa się tego nie robi – tłumaczy Malv, perkusistka, która codziennie gra i ćwiczy obie ręce.

Pochodzi z niewielkiego Paczkowa, miasta o ciekawej historii. Jej rodzina jest „megatolerancyjna". Otwartość to stan umysłu, nie adres. – Nie ma u nas żadnych presji, żadnych ciśnień, żeby być takim, a nie jakimś innym. Po prostu jesteś sobie i jest pełne wsparcie, cokolwiek byś robiła – i tak zawsze czułam.

Malv Miel swoją pracę dyplomową wyhaftowała czarno-biało w poetyce „krwawej jatki", trwało to około roku. Haftowaniem zaraziła ją ciocia. – Robiła na drutach, szydełku, wyszywała i była bardzo otwarta. Zanosiłam jej swoje obrazki i pokazywałam, w pewnym momencie powiedziała mi, jak to się robi, i spodobało mi się. Na studiach przyszło mi do głowy, że mogę przenieść rysunek na haft. Zaczęłam robić czarno-białe makatki, ludziki.

Wiele wystaw odbyło się nie w Polsce, tylko w Czechach, tam można dotykać religijnych klimatów.

Malv Miel zarabia na życie w białym kitlu. – Wolę być z boku i móc robić tę właśnie sztukę, żeby ją rozdawać. Jak wszystko u mnie dzieje się przypadkiem, tak zostałam asystentką stomatologiczną. Przez pierwszy rok znajomi byli w szoku, że tak się da i co ja tam właściwie robię. Przyzwyczajali się, ostatecznie teraz każda rozmowa schodzi na zęby – śmieje się performerka. – Ta praca to nie jest moje życie. Gdy przychodzę do galerii, czuję, jakbym szła tutaj być.

Media lokalne, obejmujące patronatami wystawy w GSW, tym razem poprosiły, by ich nazwy na plakatach „Dziewczyny szatana" nie było, albo występują pod nazwą grupy. Ten szatan z nazwy straszy, a przy nim jeszcze kobieta. Za to nie wystraszył się – przeciwnie, poczuł zobowiązany podjąć dyskusję na temat wyobrażeń związków kobiety i szatana w religii i Biblii – ksiądz parafii ewangelicko-augsburskiej z Opola, Wojciech Pracki. Bez cenzury i ograniczeń. Podobne rozmowy jako pakiet wydarzeń towarzyszących odbywają się online na temat historii i roli czarownic, udziału kobiet w Wikipedii czy feminatywów w języku polskim. Co kilka dni pojawia się też Malv Miel z króciutkimi performansami w sieci. – To nowość dla mnie. Musiałam wymyślić, co będę robić, żeby coś się działo, i odkryłam, że te występy *live* dają adrenalinę. Nie wiem, czy nie pójdzie to ze mną dalej, bo będzie mi tego brakować – przyznaje artystka.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 4b004544af

Rozmawia Piotr Czerkawski

Miejsce krytyków zajęli influencerzy

Łatwo z wolnego artysty stać się wykonawcą poleceń ludzi z pełnymi kieszeniami

PIETRO MARCELLO
– włoski reżyser filmowy

Krytycy nazwali cię nadzieją włoskiego kina. Czy podczas pracy nad „Martinem Edenem" czułeś w związku z tym szczególną presję?

– Nie, w ogóle nie myślałem w ten sposób. Chcę z filmu na film się rozwijać i szukać nowych wyzwań. W związku z tym dążyłem do tego, aby „Martin Eden" był zdecydowanie najbardziej złożonym i skomplikowanym projektem w całej mojej dotychczasowej karierze.

Jakie trudności towarzyszyły ci na planie?

– Musieliśmy uwinąć się ze zdjęciami w ciągu trzech tygodni, a to bardzo mało czasu, zwłaszcza jak na film, który trwa 130 minut. Poza tym kręciliśmy w wielu miejscach, więc musieliśmy sprawnie przemieszczać duże grupy ludzi. Takie sytuacje uczą pokory i elastyczności. Gdyby nie to, że dysponuję odrobiną wiedzy na temat sztuki operatorskiej i parę razy sam stanąłem za kamerą w zastępstwie głównego operatora, nie ukończylibyśmy tego filmu w terminie.

Takie podejście wymaga chyba grubej skóry i dużej dawki pewności siebie?

– W moim przypadku to raczej kwestia doświadczenia. Przez wiele lat kręciłem filmy dokumentalne, a przy pracy nad nimi nie masz wyjścia, musisz umieć improwizować i być przygotowanym na wszystko. Poza tym od dawna pozwalam sobie na luksus niebycia perfekcjonistą. Moje poprzednie filmy spodobały się krytykom, ale wiem, że nie ustrzegłem się przy nich wielu błędów. Sporo popełniłem ich także przy pracy nad „Martinem Edenem". Pomyłek nie da się jednak uniknąć. Grunt to pogodzić się z nimi i wyciągnąć wnioski na przyszłość. Właśnie tego zabrakło tytułowemu bohaterowi mojego filmu, który po osiągnięciu niespodziewanego sukcesu literackiego popadł w samozachwyt i przestał reagować na jakąkolwiek krytykę.

I ten wątek wydał ci się najciekawszy w napisanej ponad sto lat temu książce Jacka Londona, której twój „Martin Eden" stanowi luźną adaptację?

– Nie tylko. W ogóle uważam, że historia wymyślona przez autora doskonale pasuje do naszych czasów, zdominowanych przez kulturę narcyzmu i wpływ influencerów. Zerknij na swoje podwórko. Dawniej głos krytyków był słyszalny, czytelnicy liczyli się z waszym zdaniem. Dziś, przykro to stwierdzić, ale wasze miejsce zajęli właśnie influencerzy.

Na szczęście pytania wciąż zadaję ci ja, a nie gwiazdka z Instagrama.

– Poczekaj, to twoje ostatnie podrygi... Wracając do Jacka Londona, jak sam wspomniałeś, moja adaptacja jest luźna, bo szanując profetyczne zdolności pisarza, muszę przyznać, że w kilku aspektach rzeczywistość przegoniła już jego wyobrażenia. Dlatego postanowiłem pomajstrować trochę choćby przy zakończeniu opowieści. U Londona Martin Eden przegrywa, bo cierpi z powodu nieszczęśliwej miłości. U mnie ponosi klęskę, gdyż zdaje sobie sprawę, że stracił kontakt z rzeczywistością, nie ma już nic do powiedzenia, a czytelnicy mają go gdzieś. Przykro stwierdzić, ale taki los stał się udziałem wielu artystów, także tych, którzy swego czasu wydawali się najwięksi.

Eden przegrywa wyłącznie dlatego, że okazał się narcyzem?

– Jeszcze ważniejsze wydaje mi się co innego. Martin Eden zdradził swoją klasę społeczną i świat, z którego się wywodził. Choć zaczynał jako przedstawiciel klasy robotniczej, polubił wygodne życie tak bardzo, że odciął się od korzeni i nie zauważył, że elity nigdy tak naprawdę go nie zaakceptowały i nie uznały za swego.

Myślisz, że w dzisiejszym świecie takich Martinów Edenów jest wielu?

– Coraz więcej. Trudno zresztą nie być Martinem Edenem w rzeczywistości, w której właściwie zanikła walka klas. Świat dzieli się wyłącznie na bogatych i biednych, a różnice między nimi są tak duże, że jeśli komuś uda się awans, myśli tylko

Świat dzieli się wyłącznie na bogatych i biednych.

eprasa.pl 4b004544af

Martin Eden

o zachowaniu swojego dorobku i zapomina o elementarnej solidarności. Tak samo dzieje się zresztą nie tylko między ludźmi, ale i między państwami. Bogate kraje wykorzystują biedne i nie chcą dzielić się z nimi zasobami, bo utrzymywanie przewagi leży po prostu w ich interesie.

Może więc należy uznać, że twój bohater nie zasługuje na nadmierną krytykę, bo po prostu nie miał wyboru?

– Ależ miał! Wystarczyłoby, żeby posłuchał swojego mentora – Brissendena. Ten mówi mu otwarcie: „Martinie, idź z ludem, zostań socjalistą". Zdaję sobie sprawę, że socjaliści są nudni, utopijni, a w przeszłości popełnili wiele błędów, ale nie ma dziś innej drogi, jeśli nie chce się pogłębiać już i tak gigantycznych podziałów w społeczeństwie.

Współcześnie partie socjalistyczne czy socjaldemokratyczne tkwią jednak w głębokim kryzysie.

– To prawda, tyle że ja nie mówię tu o świecie wielkiej polityki. Socjalizm, który jest nam niezbędny, powinien w moim rozumieniu dotyczyć życia codziennego, organizowania się w małe grupy i wspólnego dbania o podstawowe potrzeby.

Współtworzyłeś kiedyś taką wspólnotę?

– Zanim na dobre wsiąkłem w świat kina, zajmowałem się aktywizmem społecznym w Neapolu. W połowie lat 90., gdy miałem jakieś 18 lat, razem z Mauriziem Brauccim, późniejszym współscenarzystą „Martina Edena", założyliśmy coś w rodzaju centrum społecznego. Nie uprawialiśmy tam potocznie rozumianej polityki, lecz zajmowaliśmy się np. pielęgnowaniem zapuszczonego ogrodu przy pewnej kamienicy albo organizowaniem czasu dzieciom zaniedbywanym przez rodziców.

To bardzo szlachetne, ale nie sądzisz, że bylibyście skuteczniejsi, gdybyście dostali się choćby do rady miasta i zyskali wpływ na systemowe zmiany rzeczywistości?

– Może w dawniejszych czasach. Zarówno w okresie mojej młodości, jak i dziś polityka stała się maksymalnie zależna od wielkiego biznesu. Jeśli nie masz z nim powiązań, nie liczysz się. Nie ma nawet co próbować. Lepiej staraj się zdziałać cokolwiek przynajmniej w twojej najbliższej okolicy.

Reżyseria filmowa jest dziś dla ciebie przedłużeniem tamtego aktywizmu?

– Bardzo możliwe. Od dawna uważam, że reżyseria to idealne zajęcie dla tych, którzy chcieli w życiu robić coś innego, ale nie umieli albo się zniechęcili. Nie ma się czego wstydzić, bo to przypadek wielu twórców, którzy ostatecznie okazywali się wybitnymi reżyserami. Za młodu chciałem zostać malarzem, ale nie miałem wystarczającego talentu.

Kino rzeczywiście ma z malarstwem wiele wspólnego.

– Poza tym, jak zauważyłeś, łączy się z moją drugą pasją, czyli aktywizmem. Zawsze podobał mi się w kinie jego aspekt ludyczny, antyelitarny. Bycie reżyserem, inaczej niż np. pisarzem, to ciężka, rzemieślnicza praca, która wymaga znajomości techniki... W dodatku kino nigdy nie aspirowało do miana sztuki czystej, zawsze czerpało garściami z innych dziedzin, co czyni je sztuką demokratyczną i przystępną. Ta przystępność bywa oczywiście pułapką. Nie bez powodu kino wykorzystywali do swoich celów Hitler, Stalin i inni tyrani, którzy mamili społeczeństwo za sprawą filmów propagandowych. Dlatego największa odpowiedzialność, jaka spoczywa na artyście, to pozostać wiernym sobie i unikać kompromisów.

Dziś, gdy autorytarnych reżimów jest dużo mniej niż kiedyś, to chyba nie aż takie trudne?

– Zagrożenia wciąż istnieją, choć ich natura zmieniła się na subtelniejszą i bardziej podstępną. Teraz reżyser musi stawać przed producentami albo rozmaitymi komisjami finansowymi, które dadzą ci pieniądze, pod warunkiem że spełnisz ich oczekiwania. W związku z tym łatwo z wolnego artysty zamienić się w wykonawcę poleceń ludzi z pełnymi kieszeniami.

Jak tego uniknąć?

– Musimy brać przykład z mistrzów z przeszłości, którzy mierzyli się z jeszcze trudniejszymi przeciwnikami. Szczerze uważam, że pod tym względem wzorem do naśladowania może być wasz Andrzej Wajda, który mimo szalejącej cenzury i politycznych nacisków ze wszystkich stron był w stanie nakręcić tak wspaniałe filmy jak „Kanał" czy „Człowiek z marmuru". Zamiast utyskiwać na własne położenie, my, reżyserzy z ambicjami zachowania niezależności, musimy po prostu zakasać rękawy i iść w jego ślady. ■

Jeśli komuś uda się awans, myśli tylko o zachowaniu swojego dorobku i zapomina o elementarnej solidarności.

FOT. GIOVANNA GORASSINI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b004544af

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Złota, Źródlak i reszta

W Solcu Kujawskim pod Bydgoszczą pomoc znalazło prawie tysiąc jeży

Choć to maj, jeżyca Złota jeszcze śpi w hibernatorze, czyli wielkim, drewnianym pudle z wydzieloną sypialnią i jadalnią. Trafiła do jeżowego schroniska w Solcu Kujawskim w lipcu zeszłego roku, po tym jak znaleziono ją w podbydgoskim Osielsku na poboczu drogi. Nie ruszała się już. Znalazła ją para ze Złotnik Kujawskich – stąd imię Złota. Namiar na solecki Ośrodek Rehabilitacji Zwierząt „Azyl dla Jeży" znalazcy o dobrym sercu odszukali w internecie. Szybko okazało się, że jeżyca najprawdopodobniej nie tylko została potrącona przez samochód, ale i dwukrotnie zraniona podkaszarką. Cięcia od żyłki czy noża podkaszarki łatwo rozpoznać – są proste, bardzo głębokie, silnie uszkadzające. Złota przeszła wiele badań i trzymiesięczne leczenie. W listopadzie zasnęła, czyli przeszła w stan hibernacji, w którym spowolnione zostają procesy życiowe i obniża się temperatura ciała, pozwalając jeżom przetrwać niesprzyjające zimowe warunki: brak pokarmu i niską temperaturę.

Choć jeże to niby takie nam bliskie i znane zwierzaki, ludzie niewiele o nich wiedzą.

Obok Złotej, w swoim odrębnym hibernatorze, mieszka Źródlak Duży, znaleziony w kwietniu br. na ulicy Źródlanej w podtoruńskim Lubiczu. Był słaby, chwiejny, osowiały, okropnie zarobaczony. Ważył ledwo 354 g. Tak mały jeżyk w bardzo zimnym kwietniu nie miałby szans na przetrwanie bez ludzkiej pomocy. W Solcu został odrobaczony. Karmiony regularnie przybiera pięknie na wadze. Nie hibernuje. Niedługo pobiegnie na wolność. Może razem z mieszkańcem sąsiedniego pudła, malutkim Waldusiem, który właśnie się obudził?

Tuptuś był pierwszy

Była jesień 2008 r. Tomasz Głowski ledwo zdążył się pobudować w Solcu Kujawskim i postawić ogrodzenie, gdy jeż utknął w metalowych oczkach siatki. Długo razem z Beatą Woźniacką i jej synem Mateuszem (mieszkającymi po drugiej stronie wąskiej ulicy Sosnowej) wydobywali malca z ogrodzeniowej pułapki. Udało się, dopiero gdy wycięli kawałek siatki. Nazwali go – jakżeby inaczej – Tuptuś. – Wyglądał strasznie. Ciałko było pełne muszych jaj i żerujących mad. Czyli wisiał na tym ogrodzeniu co najmniej kilka dni. Żył, ale już się nie ruszał – wspomina pani Beata.

Nie odpuścili. Najpierw zawieźli Tuptusia do lecznicy, myśleli, że pewnie do uśpienia. Ale weterynarz niespodziewanie zapytał: – Naprawdę chce pani go uśpić? A może jednak dałaby pani radę zaopiekować się nim?

Zgodziła się bez wahania. Potem wiele dni leczyli i karmili Tuptusia, zasypywali pytaniami weterynarzy, czytali fachową literaturę po polsku, później także po angielsku. Powolutku uczyli się jeży. I szybko wsiąkli w życie kolczastych. A gdy pani Beata opiekę sformalizowała – bo to gatunek dziki, prawem chroniony – i oficjalnie została „opiekunem jeży nr 13", kolejne kolczaste kulki w potrzebie zaczęły trafiać na Sosnową.

Pani Beata: – Jeże mają szczególny talent do wpadania w tarapaty. Wpychają się wszędzie, np. w sprężyny łóżka polowego, zawijają się w siatkę czy sznurek. Potrafią tak się zamotać, że w końcu wyłamują kończyny ze stawów albo nawet pękają im kości nóg. Jeden z naszych podopiecznych, którego nazwaliśmy Sznurek, hibernował w starych oponach w garażu, na których leżał sweter. I z tego swetra kolcami wyciągnął nić, którą tak mocno się oplótł, że spuchł i prawie stracił życie. Ludzie też są zagrożeniem dla jeży. Bezmyślnie wypalając stare liście w ogrodach czy penetrując podkaszarkami zaciszne ogrodowe kąty, często kaleczą jeże. Czasem śmiertelnie. Niebezpieczne są również szlaki samochodowe i psy, które potrafią zmasakrować jeża w sposób trudny do wyobrażenia, np. młodej jeżowej dziewczynie, którą nazwaliśmy Ogryzek, psy przez grzbiet wyciągnęły tylną kończynę, a potem ją odgryzły. Całe pół roku walczyliśmy o życie i zdrowie Ogryzka. I udało się!

Pedagog z prawnikiem

– Teraz leczymy dziewiątą setkę jeży. W tym roku z pewnością trafi do nas tysięczny poturbowany zwierzak – wylicza pan Tomek i podkreśla, że on jest tylko od zabezpieczenia logistyczno-organizacyjnego. A kołem

Jeże żywią się owadami, pędrakami, larwami i ślimakami.

eprasa.pl 4b004544af

zamachowym jeżowego szaleństwa była i jest pani Beata. – Ja się cieszę, że Beata w tym 2008 r. nie znalazła rannego hipopotama. Bo gdyby poszło w hipopotamy, to dzisiaj nie utrzymalibyśmy tego – śmieje się pan Tomek.

Ona pedagog, on – prawnik, godzą pracę zawodową z opieką nad jeżami. Ale nie jest łatwo. Gdy już w domu pani Beaty hibernatory stały niemal wszędzie, łącznie z wanną, postanowili stworzyć hibernatornię z prawdziwego zdarzenia. Pięć lat temu kupili starą harcówkę i przenieśli ją do ogrodu pana Tomka. Wstawili okna z leśniczówki. I odetchnęli z ulgą. Na chwilę. Ponad 50 hibernatorów, które mają obecnie, już im nie wystarcza. A i tak nie wszystkie mieszczą się w starej harcówce, w której obecnie śpią Złota i Źródlak Duży. – Chętnie wybudowałbym drugą hibernatornię – deklaruje pan Tomek – ale kto ją będzie obsługiwał?

Nie kryją, że gdyby nie pomoc pani Ireny, mamy Beaty, byłoby ciężko. – Jeże to brudasy. Po jedzeniu zazwyczaj do miski robią kupę i siku. Trzeba sprzątać na okrągło. Dziwię się, że ludzie chcą trzymać w domach biegające wolno jeże – nie kryje pani Beata.

Najczęściej jeże do schroniska na Sosnowej są przywożone przez służby gminne albo nieznajomych ludzi. Czasem jednak Beata i Tomek odbierają zwierzaki w terenie, np. gdy w okolicy deweloper oczyszcza teren pod przyszłe roboty budowlane. Zwykle bowiem na zachwaszczonym placu budowy nie brakuje jeży – gatunku chronionego. A obowiązek ich wyłapania spoczywa najczęściej na inwestorze. Tak było przed rozpoczęciem budowy bydgoskich Zielonych Arkad, największej galerii handlowej w województwie kujawsko-pomorskim, czy tuż przed rozbiórką Torbydu – starego bydgoskiego lodowiska. To ostatnie wyłapywanie wspominają w soleckim azylu wyjątkowo ciepło. – Bo wraz z jeżami dostaliśmy dziesięć hibernatorów. Taki hibernator kosztuje 250 zł. To dla naszego azylu duży wydatek.

Pani Beata: – Jeże mają szczególny talent do wpadania w tarapaty.

zgodnie z prawem pozyskiwać pieniądze także z zewnątrz. Ale mamy zasadę, że z darowanych pieniędzy nie wypłacamy sobie pensji, nie płacimy rachunków za prąd czy wodę. Chcemy, żeby sytuacja była klarowna – otrzymane środki przeznaczamy wyłącznie na jedzenie oraz leczenie zwierząt.

Jeż nieznany

Jeszcze niedawno ludzie często dzwonili, żeby jak najszybciej im jeża z działki zabrać. Pan Tomasz: – Pytaliśmy, dlaczego, w czym przeszkadza. Okazywało się np., że jeż zjada pani śliwki. „Wchodzi na śliwę i wyjada owoce?", pytaliśmy prowokacyjnie. „Nie, ale zjada śliwki, które spadają na ziemię". Tłumaczyliśmy, że najprawdopodobniej w śliwce jeża najbardziej interesuje robaczek. Albo jest tak ciepło, że po prostu chce się napić. Dlatego najlepiej wystawiać miseczkę z wodą, to do niezarobaczonej śliwki nie podejdzie.

Trafiają do nich jeże pocięte, popalone, pogryzione. Żadnemu nie odmawiają pomocy.

A pieniądze to największy problem jeżowego przytuliska w Solcu Kujawskim. – Przez pierwszych dziesięć lat w naszym Ośrodku Rehabilitacji Zwierząt „Azyl dla Jeży" finansowaliśmy opiekę niemal całkowicie z naszych prywatnych pieniędzy. Ale jeży każdego roku przybywało i było coraz trudniej. Dlatego trzy lata temu – dopowiada pan Tomasz – stworzyliśmy Fundację JeKo, żeby móc

Również telefonicznie staramy się tę naszą wiedzę, niemałą już, przekazywać innym.

– Bo choć jeże to niby takie nam bliskie i znane zwierzaki, ludzie niewiele o nich wiedzą – podkreśla pani Beata. – Na przykład powszechne jest przekonanie, że jeże lubią mleko i jedzą jabłka. A to nieprawda. Jeże to owadożercy. Podając mleko, można im bardzo zaszkodzić. Zwłaszcza

Jeśli chcesz pomóc jeżowi leżącemu na poboczu czy zaatakowanemu przez psy lub jesienią znajdziesz jeża ważącego mniej niż 700 g – obowiązuje zasada trzech C, czyli cicho, ciepło i ciemno. Połóż go do kartonu wyścielonego kilkoma szmatkami, przyłóż do brzucha jeża butelkę z ciepłą wodą owiniętą w skarpetę, zamknij karton i jak najszybciej przewieź do weterynarza lub jeżowego schroniska. Albo zadzwoń pod nr 986 (straż miejska, nie we wszystkich miastach), 993 (pogotowie weterynaryjne), 987 (centrum zarządzania kryzysowego).

eprasa.pl 4b004544af

maluszkom. Kto raz zobaczy kolczastego konającego po krowim mleku, nigdy tego widoku nie zapomni – przekonuje. – Bo jeż puchnie. Brzuch mu się robi jak bania. Jelita skręcają się, nadymają coraz bardziej. I nie można już pomóc.

Na szczęście coś się zmienia. Od niedawna ludzie dzwonią i coraz częściej proszą, żeby im osadzić jeża w ogrodzie. Bo orientują się, że jeż zje im owady, pędraki, larwy, ślimaki, czyli to wszystko, z czym w ogródku walczą. Chcą kolczastego u siebie, ale nie bardzo wiedzą, jak to zrobić.

Teraz leczą dziewiątą setkę jeży. W tym roku z pewnością trafi do nich tysięczny poturbowany zwierzak.

– Niestety, ciągle wielu nie zdaje sobie sprawy, że mając jeże w ogrodzie, nie można stosować chemicznych środków trujących np. na ślimaki – ubolewa pan Tomek. – Bo zatrutego niebieskimi granulkami winniczka zje jeż i też umrze. Zresztą nie on jeden. Wszyscy naturalni wrogowie ślimaków, czyli żaby, ropuchy, traszki, chrząszcze biegacze czy ptaki, np. drozdy, sójki czy sroki, giną od trucizny na ślimaki. Psy i koty też mogą poważnie ucierpieć. Bo granulki to trucizna, która ma zabić. A nie działa wybiórczo. Łańcuch zabijania jest długi.

Pani Beata: – Jeże, które do nas trafiają po zjedzeniu zatrutych ślimaków albo samej trutki, łatwo rozpoznać: wpadają w drżenie, przewracają się, pękają im naczynia krwionośne. Czasem krew wycieka im z oczu, uszu, nosa. I nie ma na to ratunku. Jedyne, co możemy, to pomóc im szybciej odejść.

Pan Tomasz: – Pół roku karmimy je, pielęgnujemy, a one, gdy je wypuszczamy, odbiegają od nas szybko.

Krąg pomocy

Najpierw każdy jeż przywieziony do schroniska trafia do domu pani Beaty do pokoju, w którym urządziła szpitalik. Potem zdrowiejące jeże przenosi na strych swojego domu. Dopiero już zdrowe kulki zanoszone są na drugą stronę ulicy do starej harcówki na hibernację albo na jeżowe wybiegi w ogrodzie pana Tomka. A w kwietniu rozpoczyna się wielkie wypuszczanie na wolność. Dlatego w Solcu starają się nie przywiązywać do kolczastych, nie traktować ich jak domowników, nie całować po pyszczkach. – To dzikie zwierzęta, które po wyleczeniu powinny wrócić na łono natury, najlepiej tam, gdzie zostały znalezione – podkreśla Beata Woźniacka.

– Pół roku zwykle biegamy przy nich, karmimy, pielęgnujemy, a one, gdy je wypuszczamy, odbiegają od nas szybko. Nawet się nie obejrzą. Łapką nie pomachają – śmieje się pan Tomek. Wyjątkiem są zwierzątka tak silnie doświadczone przez los, że na wolności już by się nie odnalazły. – Jak Kręciołek, który po wypadku na drodze nie widzi ani nie słyszy. I jest zaburzony neurologicznie, co objawia się tym, że pobudzony zaczyna szaleńczo kręcić się w miejscu. Mieszka z nami trzeci rok. I już zostanie z innymi stałymi rezydentami, którzy mają tu swoje wybiegi i dożywocie – mówi z satysfakcją w głosie pani Beata.

Wszyscy w ośrodku mają nadzieję, że poparzoną jeżycę Iskierkę – znalezioną w palących się liściach – można będzie kiedyś wypuścić na wolność. Leczą ją w Solcu już trzeci rok. Jest coraz lepiej.

Małgorzata Szczepańska-Piszcz
m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. Z DOMOWEGO ARCHIWUM BEATY WOŹNIACKIEJ, MAŁGORZATA SZCZEPAŃSKA-PISZCZ (3)

eprasa.pl 4b004544af

Paula Leśniewska

Zwierzęta na tropie COVID-19

Czy psy i pszczoły mogą zastąpić test na koronawirusa?

Angus, wesoły siedmioletni springer spaniel, od kilku lat pracuje na pełny etat w kanadyjskim szpitalu, Vancouver General Hospital. Jego zadanie polega na wywąchiwaniu bakterii *Clostridium difficile*, szczególnie groźnej dla osób o niskiej odporności. Angus ma na koncie sporo sukcesów, a do jego zespołu dołączyły dwa kolejne psy – Dodger i Rudi. Co jest tajemnicą ich kariery? Nosy.

Każda choroba ma bowiem swój specyficzny zapach, a niektóre zwierzęta potrafią go rozpoznać. – Tak jak dla człowieka wzrok, dla psa najważniejszym zmysłem jest węch – wyjaśnia dr hab. Dorota Jankowiak z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie. – Węch psa jest od 10 do 100 tys. razy czulszy niż węch człowieka. Niektóre psy potrafią wyczuć jedną kroplę krwi na 5,7 litra wody czy łyżkę stołową wybielacza w 37 375 litrach wody. Psy o długich i szerokich kufach i, co może się wydawać dziwne, z dużą powierzchnią małżowin usznych wykazują lepsze predyspozycje węchowe. Prawdopodobnie właśnie dlatego Angus jest taki skuteczny w swojej pracy – ma wielkie, oklapłe uszy.

Psy potrafią wykryć m.in. narkotyki, różne rodzaje nowotworów, malarię i chorobę Parkinsona. Jak podaje strona internetowa holenderskiego Uniwersytetu Wageningen, przyczyną powstawania zapachu choroby są zmiany metaboliczne zachodzące w organizmie. Gdy świat został zaatakowany przez COVID-19, postanowiono zbadać, czy można nauczyć psy rozpoznawania zapachu towarzyszącemu koronawirusowi. Okazało się, że jak najbardziej.

W zeszłym roku naukowcy z Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej w Hanowerze dali psom do wąchania próbki zebrane od osób z COVID-19 i ludzi zdrowych, którzy dawno nie mieli żadnej infekcji. Na 1012 próbek psy pomyliły się w sumie 63 razy – 33 razy nieprawidłowo wskazały brak wirusa, a 30 rozpoznały chorobę u osoby zdrowej. Odnalazły zatem 94% próbek zakażonych koronawirusem.

Fińscy naukowcy związani z Uniwersytetem Helsińskim przeprowadzili podobne badanie – psy miały wykryć mocz chorych na COVID-19. Okazało się, że skuteczność zwierząt jest porównywalna z testem na koronawirusa RT-PCR, który daje 99% pewności wyniku. Z kolei naukowcy ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich ocenili, że psy są w stanie wykryć 92% zakażeń koronawirusem. Po tych badaniach czworonogi do wykrywania COVID-19 zatrudniono m.in. na lotniskach w Helsinkach i Dubaju.

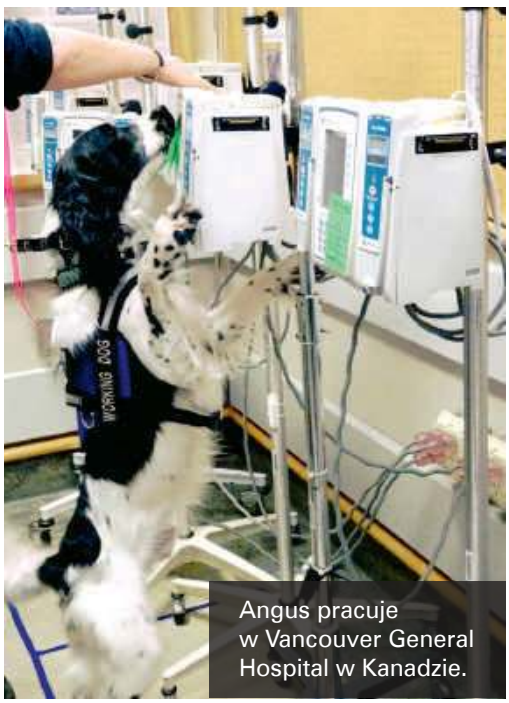

Angus pracuje w Vancouver General Hospital w Kanadzie.

Nie tylko psy wyczuwają choroby. Naukowcy z Uniwersytetu Wageningen nauczyli ponad 150 pszczół rozpoznawać próbki zakażone COVID-19. „Pszczoły potrafią rozróżniać wiele zapachów, głównie olejków eterycznych wydzielanych przez rośliny, ale także hormonów zapachowych, tzw. feromonów, wydzielanych przez owady i stanowiących jeden z języków, jakimi porozumiewają się pszczoły. Potrafią też identyfikować zapachy obce, drażniące i nieprzyjemne, np. zapach potu, alkoholu, chemikaliów”, czytam na stronie internetowej Wojewódzkiego Związku Pszczelarzy w Krakowie. Pszczoły są w stanie wyczuć kwiat nawet z kilku kilometrów. Z powodu czułego węchu są wykorzystywane m.in. przy wykrywaniu narkotyków. W latach 90. XX w. Departament Obrony USA udokumentował skuteczność pszczół w odnajdywaniu materiałów wybuchowych.

Aby wytrenować pszczoły we wskazywaniu próbek zakażonych COVID-19, naukowcy za każdym razem, gdy owady były wystawione na zapach zainfekowanej próbki, dawali im nagrodę – wodę z cukrem. Wkrótce pszczoły zaczęły wyciągać języczki, gdy tylko poczuły zapach koronawirusa, nawet bez nagrody.

Naukowcy z Uniwersytetu Wageningen przekonują, że wytrenowane pszczoły są w stanie wykryć zainfekowaną próbkę w kilka sekund. „Pszczoły są dostępne na całym świecie, więc jedyne, czego ludzie potrzebują, to maszyna do ich szkolenia. Firma InsectSense opracowała już prototypy maszyny, która może automatycznie szkolić wiele pszczół jednocześnie, oraz biosensor, który wykorzystuje wyszkolone pszczoły do diagnozy. Ta technologia, nazwana »BeeSense«, może być bardzo skutecznym systemem diagnostycznym w krajach o niskich dochodach, które borykają się z wyzwaniami związanymi z dostępem do infrastruktury i zaawansowanych technologii”, napisali badacze na swojej stronie internetowej.

Na razie nie wiadomo, na ile skutecznie pszczoły są w stanie rozpoznawać zapach koronawirusa. Wielu naukowców uważa, że umiejętności zwierząt mogą być uzupełnieniem badań przesiewowych RT-PCR. – Nikt nie mówi, że zwierzęta mogą zastąpić maszynę do PCR, lecz badania są bardzo obiecujące – komentuje Holger Volk, neurolog z Uniwersytetu Medycyny Weterynaryjnej w Hanowerze.

p.lesniewska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ANGUS - VCH'S C.DIFF DETECTION DOG

eprasa.pl 4b004544af

Kasia: samotna dziewczyna

Nastolatka żegna się z babcią, zabiera plecak, w którym ma kanapki, kostium i ręcznik. I znika

Jest 9 maja 2000 r. Młoda dziewczyna żegna się z babcią, zabiera plecak, w którym ma kanapki, kostium kąpielowy i ręcznik. Jedzie nad Zalew Zegrzyński. Podobno. Wychodzi z domu dziadków i rozpływa się w powietrzu. Miała na imię Kasia. Była ładna i sympatyczna. Na zdjęciach, które można znaleźć w sieci, widać uśmiechniętą blondynkę o radosnych oczach. Kiedy patrzy się na te fotografie, nikomu nie przychodzi do głowy, że to kłamstwo. Fikcja.

Gdy rodzina zgłosiła jej zaginięcie, a policja rozpoczęła poszukiwania, na światło dzienne zaczęło wychodzić wiele tajemnic. Okazało się, że uśmiech Kasi to tylko maska, za którą kryje się mrok. Podwójne życie, wykorzystywanie seksualne, próby samobójcze i szantaż. Kasia pisała pamiętniki, z których wynikało, że odkąd skończyła 13 lat, współżyła z dojrzałym mężczyzną. Mężczyzna ten jej płacił (sporą jak na tamte czasy) kwotę 300 zł i stopniowo niszczył w dziecku to, co najważniejsze – niewinność i radość życia. W chwili zaginięcia Kasia miała już prawie 17 lat. Była aktywną seksualnie nastolatką, mającą dwóch partnerów i jedną nieudaną psychoterapię za sobą. Do tego niezwykle mocno przeżyła śmierć ojca, która kładła się cieniem na wszystkim, co robiła. Na decyzji o prowadzeniu podwójnego życia także. W końcu dojrzały kochanek Kasi był przyjacielem rodziny. Mężczyzną, który pomagał przy pogrzebie ojca i dbał o Kasię, gdy była sama.

Co się z nią stało? Czy została zamordowana? Wyjechała? Popełniła samobójstwo? Pytań jest więcej niż odpowiedzi.

(…) Mężczyźnie nigdy nie postawiono zarzutów, związanych choćby z wykorzystaniem seksualnym dziewczynki. Śledztwo umorzono wiele lat temu, ale może ono zostać podjęte, jeśli pojawią się nowe dowody. (…)

Rozmawia Robert Ziębiński

MONIKA CAŁKIEWICZ

– prawniczka, była prokuratorka, obecnie radca prawny

Młoda, atrakcyjna 17-latka rozpływa się w powietrzu. Kim była Kasia D.?

– Nastolatką, jakich wiele. Jej życie nie różniło się od życia przeciętnej młodej dziewczyny. Do pewnego momentu. Tę granicę wyznacza śmierć ukochanego taty. (…) W wieku zaledwie dziewięciu lat straciła najbliższą osobę. Jestem przekonana, że wszystko, co wydarzyło się później w jej życiu, ma związek z tą stratą. (…) I w tym momencie pojawił się J.W., warszawski adwokat, który od jakiegoś czasu przyjaźnił się z rodzicami Kasi. W trudnej dla wdowy i osieroconych dzieci sytuacji mężczyzna bardzo altruistycznie – jak się wydaje – pomagał tej rodzinie. Wszedł też trochę w rolę ojca dziewczynki. I gdyby na tym się skończyło, to nie opowiadalibyśmy prawdopodobnie dzisiaj tej historii. Natomiast z materiałów, które znajdują się w aktach sprawy, wynika, że mężczyzna od roli opiekuna mógł płynnie przejść w pewnym momencie do roli uwodziciela.

Kiedy do tego doszło?

– Nie mogę jako prawnik stwierdzić, że w ogóle do czegoś takiego doszło. (…) A J.W. nigdy nie postawiono zarzutów obcowania płciowego z osobą poniżej 15. roku życia (art. 200 § 1 k.k.), nie mówiąc o uznaniu go winnym tego przestępstwa. Z punktu widzenia prawa nie dokonał tego czynu. Ale z zeznań koleżanek Kasi, a także z jej pamiętnika (…) wynika, że kiedy miała 12 lub 13 lat, rozpoczęła życie seksualne, a jej partnerem był dorosły mężczyzna. Wprost napisała, że był nim J.W. (…)

J.W. był w wieku ojca Kasi.

– To prawda. Był dojrzałym, około 40-letnim mężczyzną. Z pamiętników dziewczynki wynika, że początkowo nie dochodziło do stosunków seksualnych, ale do tzw. innych czynności seksualnych, takich jak pocałunki, dotykanie intymnych części ciała. Ale ta relacja dość szybko ewoluowała. I zmieniła życie Kasi. Z opinii biegłych psychologów znajdującej się w aktach sprawy wynika, że Kasia nie tylko przejawiała cechy dziecka wykorzystywanego seksualnie. Biegli uznali również, że była to typowa relacja o charakterze kazirodczym. (…)

Przez dłuższy czas Kasia prowadziła podwójne życie – miała chłopaka i była utrzymanką starszego mężczyzny. Jej znajomi w zeznaniach składanych na policji podkreślali, że gdy skończyła 16 lat, z zahukanej nastolatki stała się pewną siebie dziewczyną, nastawioną na konsumpcjonizm. Z akt sprawy wynika, że z koleżankami chodziła do J.W., gdy brakowało jej pieniędzy na zakupy. Dlaczego prokuratura nie była w stanie wykorzystać tej wiedzy?

– Samo dawanie pieniędzy córce zmarłego przyjaciela, nawet wielokrotne, nie jest przestępstwem. Z żadnego dowodu nie wynikało, że J.W. uzależniał przekazanie środków pieniężnych od zgody Kasi na współżycie albo traktował je jako nagrodę za to. Ale informację o dawaniu dziewczynce pieniędzy prokuratura próbowała wykorzystać. Zacznijmy od tego, że J.W., przesłuchiwany w charakterze świadka i pouczony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, w ogóle zaprzeczał, by Kasia przychodziła do kancelarii po pieniądze; zaprzeczał też, by wpłacał jakieś kwoty na jej konto. Z kolei z zeznań Łukasza, chłopaka Kasi, wynikało, że zgodził się na założenie dla niej subkonta i wiedział o regularnie dokonywanych na nie w każdym miesiącu przelewach. (…) Biegły wykluczył ze stuprocentową pewnością wypełnianie druków

eprasa.pl 4b004544af

przez Łukasza, natomiast stwierdził, że na pięciu z nich rozpoznaje pismo J.W. Oznaczało to, że J.W. przynajmniej na ten temat zeznał nieprawdę. Prokuratura skierowała więc przeciwko niemu akt oskarżenia o fałszywe zeznania. I było to jedyne oskarżenie, na które zdecydował się prokurator wobec J.W.

Czy J.W. został w tej sprawie skazany?

– Nie.

Jak to? A opinia biegłego?

– Sąd, zgodnie z obowiązującą wówczas powszechnie wykładnią, uznał, że nie można skazać kogoś za fałszywe zeznania, jeśli kłamiąc, chronił samego siebie. Gdyby J.W. był przesłuchany w charakterze podejrzanego, a nie świadka, to mógłby w ogóle odmówić składania wyjaśnień, a gdyby wyjaśniał fałszywie, to nie mógłby zostać skazany za kłamstwo, bo podejrzany – mówiąc w uproszczeniu – może kłamać. (…)

Próbowano też potwierdzić częste pojawianie się Kasi w kancelarii J.W. Z zapisków dziewczynki wynikało, że do zbliżeń dochodziło także tam…

– Przesłuchano osoby, które pracowały w kancelarii. To nie była duża grupa. Prawniczka, która miała z kancelarią J.W. coś w rodzaju spółki lokalowej i pracowała w innych godzinach niż J.W., siłą rzeczy o wizytach kogokolwiek u J.W. raczej niczego nie wiedziała. Student współpracujący z J.W. zeznał, że Kasi nigdy nie spotkał. Największy problem stanowiło przesłuchanie wspólnika J.W., również adwokata, bo odmówił on złożenia zeznań, zasłaniając się tajemnicą obrończą. I tutaj dochodzimy do bardzo ciekawego chwytu prawnego.

Na pewnym etapie śledztwa J.W. zatrzymano. W czasie tego zatrzymania nie przedstawiono mu zarzutów, a więc nie stał się on formalnie podejrzanym. Niemniej każda osoba, która jest zatrzymana, może ustanowić pełnomocnika. Jest to szczególny rodzaj pełnomocnika, który formalnie jeszcze nie jest obrońcą (bo obrońcę może mieć tylko podejrzany lub oskarżony), ale którego wiedzę chroni taka sama tajemnica jak obrońca, czyli nie można go z niej w żaden sposób zwolnić. I co robi J.W.? Jako osoba zatrzymana ustanawia wspólnika swoim tego właśnie rodzaju pełnomocnikiem. W toku postępowania prokurator wielokrotnie próbował przesłuchać tego adwokata, który grzecznie stawiał się na przesłuchania i za każdym razem konsekwentnie odmawiał składania zeznań, powołując się właśnie na wiążącą go wobec klienta tajemnicę obrończą. (…)

Kasia jest licealistką. W pamiętnikach zaznacza, że pragnie zemsty i przygotowuje ją. W końcu stawia prawnikowi ultimatum, że jeśli do 15 maja 2000 r. nie poinformuje żony o ich związku, a jej nie wynajmie mieszkania, to weźmie sprawy w swoje ręce. Przygotowując pod to grunt, wysyła na adres domowy małżonków W. kartkę pocztową z dwuznacznymi pozdrowieniami dla adwokata, ponadto przekazuje żonie J.W. telefoniczną wiadomość sugerującą, że J.W. ma romans. Na sześć dni przed upływem terminu ultimatum Kasia znika. (…)

Kasia pisała pamiętniki, z których wynikało, że odkąd skończyła 13 lat, współżyła z dojrzałym mężczyzną.

– Adwokat J.W. ewidentnie miał motyw, żeby pozbyć się Kasi. (…) Co prawda, dziewczyna była z nim wciąż silnie związana emocjonalnie, ale jednocześnie czuła, że J.W. ją wykorzystuje. Miała świadomość tego, że – jak pisała w kalendarzu – jest jego zabawką seksualną, bo mężczyzna nie darzy jej uczuciem, traktując raczej przedmiotowo. To jest ta faza buntu, protestu. Prawdopodobnie nastąpiła ona pod wpływem rozmów z Łukaszem (jej chłopakiem), który domagał się zerwania relacji z J.W. A zachowania, o których mówisz – czyli szantażowanie J.W. ujawnieniem związku i podejmowanie innych działań jasno wskazujących, że żarty się skończyły, a dziewczyna naprawdę jest zdesperowana – dodatkowo wzmacniają motyw do pozbycia się Kasi. Sam motyw jednak nigdy nie wystarcza, żeby kogoś skazać czy choćby tylko postawić w stan oskarżenia. To jedynie poszlaka. (…)

Kasia zaginęła w dziwnych okolicznościach.

– Zacznijmy od tego, że Kasia wybrała sobie liceum, które było daleko od rodzinnego domu, natomiast blisko domu dziadków. W związku z tym w dni nauki mieszkała właśnie u dziadków, a w dni wolne zazwyczaj wracała do mamy. Ten układ był przez wszystkich akceptowany, a Kasia była bardzo związana z babcią i z dziadkiem, w szczególności z tym ostatnim. W przeddzień zaginięcia po południu Kasia długo rozmawiała z kimś przez telefon. Po tej rozmowie poprosiła babcię o przygotowanie kanapek na następny poranek, bo – jak powiedziała – zamierzała wybrać się z koleżanką i kolegą nad Zalew Zegrzyński, żeby się poopalać. To był dzień wolny od nauki, bo w liceum odbywały się matury. Następnego dnia dziewczyna wzięła kanapki, strój kąpielowy i… zniknęła. Koleżanka, z którą Kasia jakoby zamierzała spędzić ten dzień, zaprzeczyła, że miały się spotkać. Nie umawiała się z nią też żadna inna znajoma. Najbliższe koleżanki Kasi twierdziły za to, że zawsze, gdy dziewczyna spotykała się z J.W. i chciała ukryć to przed najbliższymi, przedstawiała wersję o spotkaniu z koleżankami.

Najczęstsze kłamstwo.

– Najważniejsze dla śledczych było ustalenie, z kim wtedy Kasia tak długo rozmawiała przez telefon.

FOT. POLICJA

eprasa.pl 4b004544af

Problem polegał na tym, że Kasia miała telefon na kartę. A w tamtym czasie operatorzy nie rejestrowali rozmów przychodzących, bo abonent mający aparat na kartę za nie nie płacił. Operator był zobowiązany do zapisywania tylko rozmów wychodzących, za które pobierał opłaty. Dlatego nigdy nie udało się ustalić rozmówcy Kasi.

Nawet jeśli był to telefon J.W.?

– To wymagałoby zbadania połączeń wychodzących z jego numeru telefonu.

No właśnie.

– Zrobiono to. Analiza numerów, z którymi łączył się J.W., nie potwierdziła, że to on dzwonił do Kasi. Ale pytanie brzmi: czy znamy wszystkie faktycznie używane przez niego numery? W tamtych czasach wystarczyło kupić kartę prepaid, która nie była nigdzie rejestrowana. (…)

Czyli tak naprawdę nie wiemy nic.

– Nie do końca. Wiemy, że J.W. bardzo często dzwonił do Kasi, ale nie udało się potwierdzić, że któryś z tych numerów był wykorzystany do rozmowy z Kasią w tym krytycznym dniu.

J.W. wykonał ponad 170 połączeń do Kasi!

– W ciągu kilku miesięcy. On temu nie zaprzeczał. Powiedział, że Kasia traktowała go jak ojca, czyli zwierzała mu się ze swoich codziennych problemów. A on pełnił funkcję jej powiernika.

Koleżanka, z którą Kasia jakoby zamierzała spędzić ten dzień, zaprzeczyła, że miały się spotkać.

Wzięty adwokat prowadzący kancelarię wykonuje 177 połączeń do obcej dziewczyny! Czy ktoś porównał to z liczbą rozmów odebranych od żony, bo jestem pewien, że było ich znacznie mniej.

– Oczywiście nikt tego nie porównywał, bo to nie miałoby znaczenia dla rozstrzygnięcia tej sprawy. Problem jest taki, że – niezależnie od zakładanej wersji – z pewnością nie można powiedzieć, iż był to obcy mężczyzna. W czasie kiedy ojciec Kasi żył, małżeństwo J.W. i ich dzieci byli przyjaciółmi rodziny D. Mieszkali blisko siebie, utrzymywali ze sobą dosyć bliskie kontakty. (…)

Kiedy bliscy Kasi zorientowali się, że zniknęła?

– Następnego dnia po zaginięciu, 10 maja. W domu dziadków obowiązywała niepisana zasada, że Kasia nie wraca po godzinie 22, żeby nie denerwować dziadka, który był osobą mocno schorowaną. Kasia pilnie tego przestrzegała. Wybiła godzina 22, a dziewczyna nie pojawiła się w domu dziadków. Początkowo się nie zaniepokoili. Uznali, że Kasia najpewniej wróciła na noc do mamy. Dopiero rano zadzwonili do niej z pytaniem, czy jest u niej córka. Kiedy okazało się, że nie, zaczęło się typowe „prywatne śledztwo" – poszukiwania, obdzwanianie koleżanek, znajomych. Dopiero gdy to nie dało rezultatu, zawiadomili policję. A żeby było jeszcze ciekawiej,

eprasa.pl 4b004544af

przed zawiadomieniem policji mama Kasi skonsultowała się ze znanym jasnowidzem, który powiedział, że Kasia nie żyje, została uduszona, a sprawcą zabójstwa jest mężczyzna około czterdziestki, blisko związany z rodziną, choć nie jej członek. W tym momencie myśli mamy Kasi natychmiast skierowały się ku J.W. Składając zawiadomienie o zaginięciu córki, powiedziała o tej informacji jasnowidza.

I co z tego wynikło?

– Nic, bo wizja jasnowidza to żaden dowód.

Ale wtedy matka nagle odkrywa cały szereg sygnałów o relacji łączącej Kasię z J.W.

– Tak. Jeśli wierzyć zapiskom Kasi, na pierwszy plan wysuwa się automatycznie J.W. jako osoba mająca oczywisty motyw zabójstwa, o czym już przecież mówiliśmy. Ale czy to jest jedyna możliwość?

Jest jeszcze Łukasz, który mógł odkryć, że Kasia wciąż sypia z J.W. pomimo zapewnień, iż nie będzie tego robić. Mamy więc dwóch podejrzanych.

– A ja bym jeszcze do tego dołożyła żonę J.W.

Sam motyw nigdy nie wystarcza, żeby kogoś skazać czy postawić w stan oskarżenia. To jedynie poszlaka.

Trójka podejrzanych…

– O zabójstwo. Albo może nieumyślne spowodowanie śmierci? Bo przecież mogło być tak, że w jakiejś niezaplanowanej szamotaninie ktoś niechcący skrzywdził Kasię. A może – wbrew temu, co mówi opinia biegłych psychologów – dziewczyna nie wytrzymała presji i popełniła samobójstwo? A i to jeszcze z pewnością nie wyczerpuje wszystkich możliwych wersji zdarzenia. Pamiętaj, że w przypadku Kasi nie wszczęto śledztwa w kierunku zabójstwa. Prokurator stwierdził, że ma za mało informacji, by uznać, iż Kasia z całą pewnością nie żyje. (…)

Popełniono w tej sprawie błędy?

– Moim zdaniem istotnym błędem było zatrzymanie J.W. Uważam, że nie należy zatrzymywać osób, wobec których organy ścigania nie dysponują jeszcze dowodami pozwalającymi na postawienie im zarzutów. Powtórzmy to jeszcze raz – dzięki zatrzymaniu J.W. mógł ustanowić swojego wspólnika pełnomocnikiem, *de facto* eliminując go jako przyszłego świadka. I rzeczywiście ten adwokat uznał, że obowiązuje go tajemnica quasi-obrończa, i odmówił składania zeznań. A nie można przecież wykluczyć, że miał on wiedzę nie tylko na temat tego, czy Kasia odwiedzała kancelarię, ale także na temat charakteru relacji J.W. z dziewczyną (…).

I mimo to prokuratura nie zdecydowała się postawić w stan oskarżenia człowieka, który zgodnie z tymi zapiskami molestował seksualnie 12-latkę, po czym zaczął współżyć płciowo z chyba 14-latką?

– No właśnie o ten wiek poszło. W postanowieniu o umorzeniu śledztwa prokurator pisze, że jest w stanie ustalić, iż Kasia i J.W. utrzymywali relację intymną, ale nie ma wystarczających dowodów, aby przyjąć, że zaczęła się ona przed ukończeniem przez dziewczynkę 15. roku życia. Tylko wtedy wchodzi w rachubę przestępstwo, bo współżycie z osobą, która przekroczyła ten wiek, nie jest penalizowane, oczywiście, jeśli odbywa się za jej zgodą. O tym, że Kasia rozpoczęła kontakty seksualne jako 12- czy 13-latka, świadczą jej zapiski, które na podstawie opinii biegłych psychologów można uznać za wiarygodne. Natomiast w zeznaniach przesłuchiwanych świadków pojawiły się rozbieżności co do tego, kiedy współżycie z J.W. się zaczęło. (…)

Czy gdyby sprawą Kasi D. bardziej zainteresowały się media, miałaby ona inny przebieg?

– Też się zastanawiam, dlaczego ta sprawa nie wybuchła, tak jak chociażby sprawa Iwony Wieczorek. Może dziennikarze bali się starcia z adwokatem? A może po prostu nie wiedzieli, że takie śledztwo się toczy? O zaginięciu Kasi mówiono wprawdzie w programie „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie", ale apel o przekazywanie informacji o losach zaginionej nie spotkał się z odzewem ze strony widzów. Może gdyby ta sprawa została bardziej nagłośniona, to prokurator byłby skłonny zaryzykować skierowanie do sądu aktu oskarżenia? (…)

Co się mogło z nią stać?

– W takich śledztwach policja zawsze tworzy tzw. wersje kryminalistyczne. To są hipotezy dotyczące niewyjaśnionych aspektów sprawy. Z pewnością odnosiły się one do charakteru zdarzenia, czyli tego, co się z Kasią stało, chociaż wnioskuję to tylko na podstawie własnego doświadczenia, bo wersje mają charakter niejawny, czyli osoba czytająca akta główne sprawy po prostu nie ma do nich dostępu. Do każdej hipotezy tworzy się listę czynności,

Adwokat J.W. ewidentnie miał motyw, żeby pozbyć się Kasi.

które należy przeprowadzić, żeby ją zweryfikować, na przykład typuje się świadków do przesłuchania, planuje się przeprowadzenie przeszukań i czynności operacyjnych, takich jak obserwacja określonej osoby czy podsłuch. W tej sprawie można brać pod uwagę trzy wersje. Pierwsza to nieszczęśliwy wypadek, niemający nic wspólnego z sytuacją, w której Kasia się znajdowała. Może zupełnie obcy człowiek przejechał ją samochodem, przestraszył się i zakopał w lesie jej ciało. Druga wersja to samobójstwo. Kasia pisała o samobójstwie w swoich kalendarzach. A nawet o tym, że pewne próby podejmowała; prawdopodobnie zażywała w nadmiernych dawkach leki uspokajające. Zdaniem biegłych psychologów Kasia nie popełniłaby jednak samobójstwa, a na dodatek w taki sposób, żeby nie można było odnaleźć jej zwłok. Ich zdaniem dziewczyna mogłaby co najwyżej podjąć próbę samobójczą, ale z założenia nieskuteczną, mającą na celu zademonstrowanie przeżywanego cierpienia i poczucia krzywdy. I wreszcie wersja trzecia – dla mnie najbardziej prawdopodobna – Kasia została zabita. Nie wiemy, przez kogo, bo nie tylko J.W. miał motyw. (…)

Fragmenty książki Moniki Całkiewicz i Roberta Ziębińskiego *Kroniki zbrodni*, Znak, Kraków 2021

eprasa.pl 4b004544af

Paul Dye

Powrót do lotów

W historii programu straciliśmy dwa promy kosmiczne z załogami. W 1986 r. przy starcie rozbił się Challenger, w 2003 r. podczas powrotu – Columbia

Katastrofalne zdarzenia nigdy nie mają tylko jednej przyczyny. Ściślej mówiąc – taka pojedyncza przyczyna może istnieć, ale jest to nieistotny detal, który nie miałby znaczenia, gdyby nie szereg okoliczności prowadzących do tragedii. W metodologii badania wypadków bywa to nazywane łańcuchem błędów. Chcąc poznać faktyczną przyczynę zdarzenia, należy podążać jego tropem od zdarzenia partykularnego (przyczyny bezpośredniej) do przyczyny zasadniczej, czyli tego, co sprawiło, że małe zdarzenie mogło doprowadzić do katastrofy. Jeśli dochodzenie wykaże, że przyczyną wypadku samolotu była poluzowana śruba, to problem tak naprawdę nie zostaje wyjaśniony. Bliżej odpowiedzi będziemy, jeśli ustalimy na poziomie mechanicznym, dlaczego śruby się luzowały. Jeśli jednak ma nie dojść do podobnego wypadku, musimy ponawiać pytanie „dlaczego?" tak długo, aż poznamy zasadniczą przyczynę tego, że śruby były poluzowane. Zwykle na końcu kryje się ludzki błąd, któremu w jakiś sposób da się zapobiec. Na tym w skrócie polega badanie wypadków. Brzmi to nieskomplikowanie, ale jeśli przyczyny zdarzenia były złożone, może to zająć bardzo wiele czasu.

W historii programu straciliśmy dwa promy kosmiczne wraz z załogami. W 1986 r. podczas startu rozbił się Challenger, natomiast w roku 2003 podczas powrotu z przestrzeni kosmicznej zniszczeniu uległa Columbia. W obu przypadkach szybko stwierdzono, że do tragedii doszło na skutek usterek mechanicznych. Już po kilku godzinach od katastrofy Challengera usłyszałem, że jej bezpośrednią przyczyną była nieszczelność rakiety na paliwo stałe. Ustalenie konkretnej przyczyny wypadku Columbii trwało kilka dni, bardzo szybko pojawiło się jednak podejrzenie, że było nią uszkodzenie osłony termicznej na krawędzi natarcia spowodowane

eprasa.pl 4b004544af

przez kawałek pianki, który podczas startu oderwał się od zewnętrznego zbiornika paliwa. To oczywiście dobrze, że dokonano obu tych ustaleń, żadne z nich nie stanowiło jednak samo w sobie odpowiedzi na pytanie, co tak naprawdę się stało i jak w przyszłości zapobiegać takim zdarzeniom.

W obu przypadkach przywrócenie lotów następowało dopiero po około dwóch i pół roku od katastrofy. W obu przypadkach również czas ten dobrze wykorzystano. Podczas gdy społeczność inżynierska poświęcała wiele czasu i energii na wyeliminowanie fizycznych przyczyn zdarzenia, zespół operacyjny i kadra kierownicza tyle samo energii wkładały w ustalenie przyczyn zasadniczych. Te ostatnie były zaś głęboko ukryte i złożone. Jak to zwykle poważne problemy.

Rankiem 28 stycznia 1986 r. stałem w lobby budynku numer cztery Centrum Lotów Kosmicznych imienia Johnsona. Budynek ten był siedzibą kontrolerów systemów i działu szkoleniowego. Tam również mieli swoje pomieszczenia astronauci. Byłem właśnie w drodze na spotkanie mające dotyczyć naukowej misji astronomicznej Astro-1. Planowano wykorzystanie podczas niej systemu IPS, za który odpowiadałem. Podobnie jak kilkadziesiąt innych osób, przystanąłem na moment przed telewizorem, by obejrzeć ostatnie minuty odliczania dla lotu STS-51F. Obejrzałem start, ale zbytnio się na nim nie skupiałem. Byłem wtedy młodym kontrolerem lotu, a na głowie miałem przygotowania do kolejnej misji. Kiedy jednak zobaczyłem rozszczepioną smugę za napędem rakietowym i rakiety przyspieszające SRB wypadające z pęczniejącego obłoku gazu, w którym zniknęły orbiter i zewnętrzny zbiornik paliwa, wiedziałem od razu, że nie wyniesiemy szybko w kosmos kolejnego wahadłowca, a już na pewno możemy zapomnieć o Astro-1. Tamten dzień zmienił nasze życie. Program nigdy później nie był już taki sam.

Straciliśmy załogę, a wraz z nią jednostkę. O ile wahadłowiec udało się ostatecznie zastąpić kolejnym, o tyle siedmiu straconych żyć nic nie mogło już przywrócić. Wszyscy wiedzieliśmy, że zawiodła nie tylko technologia. Musieliśmy ustalić, jak to się stało, że uznaliśmy za dopuszczalny start w sytuacji, gdy nie wiedzieliśmy tak naprawdę, jak niskie temperatury wpływają na uszczelki O-ring utrzymujące gorące gazy wewnątrz rakiet SRB. Był to poważny defekt procesu decyzyjnego. Należało wykorzenić go wraz z każdym innym składnikiem naszych czynności operacyjnych, który czerpał z tej samej kultury myślenia.

Prom Challenger rozbił się 1986 r., przy starcie.

Zalążkiem katastrofy były kultura myślenia, sukces i presja, by nie zwalniać tempa. Wpadliśmy w pułapkę własnego sukcesu.

Bo to właśnie pewna kultura była zalążkiem katastrofy – kultura, sukces i presja, by nie zwalniać tempa. Wpadliśmy w pułapkę własnego sukcesu. Ponieważ w dość krótkim czasie udało się nam przeprowadzić wiele różnych złożonych misji, nabraliśmy poczucia, że znamy się na tym, co robimy. Czuliśmy się komfortowo, bo dotąd nigdy nie stało się nic strasznego. Nie wiedzieliśmy, że coś strasznego… dopiero ma się stać. Mówiąc najkrócej – ulegliśmy własnemu poczuciu, że skoro dotąd spadaliśmy zawsze na cztery łapy, to będzie tak już zawsze. (…)

W NASA na pewnym etapie nasza kultura myślenia zmierzała do tego, że nie możemy zawieść – że nie wolno nam pozwolić sobie na niepowodzenie. Takie podejście jest dobre, gdy mówimy o operacjach podczas trwającego już lotu. Nie wolno pozwolić sobie na niepowodzenie, gdy gra idzie o to, by załoga bezpiecznie wróciła do domu. Jeśli natomiast myślenie tego typu rozszerzy się na decyzje o starcie i ocenie gotowości (bez startu nie będzie przecież zakończonej powodzeniem misji), to zaczną się problemy. Dyrektorzy lotu odpowiadają za bezpieczeństwo załogi i za powodzenie misji – nie wybierają sobie z tego zestawu jednego elementu. Musimy znajdować takie rozwiązania, które pozwolą zadbać i o jedno, i o drugie. Zdarza się, że trzeba odwołać start i przenieść go na inny dzień. Nie startując, gdy warunki są nieodpowiednie, dopilnowuje się bezpieczeństwa załogi. Jeśli do startu w ogóle nie dojdzie, załoga będzie bezpieczna (no, przynajmniej nie zginie w kosmosie – zawsze może w końcu wpaść pod autobus), ale też nie zostanie zrealizowany żaden z celów misji. Kluczem do powodzenia jest startowanie przy maksimum prawdopodobieństwa bezpiecznej i skutecznej realizacji misji. W okresie, gdy doszło do katastrofy Challengera, wszystkim gdzieś to umknęło.

Jako świeżo upieczony certyfikowany kontroler nie bardzo miałem jednak na to wszystko wpływ. Dla mnie i moich rówieśników okres zawieszenia lotów po katastrofie wypełniony był po prostu pieczołowitą dłubaniną – dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Ślęczeliśmy nad szczegółami wytycznych lotu, procedur i szkolenia. Po dwuletnim okresie ciągłych lotów, między którymi odstęp wynosił czasem mniej niż miesiąc, należało teraz zrobić mały krok wstecz, odetchnąć i skorygować pewne elementy, o których wiedzieliśmy, że są mocno niedoskonałe. Ktoś mógłby powiedzieć, że jeszcze przed pierwszym lotem wahadłowca mieliśmy na „prostowanie" niedoróbek dowolną ilość czasu. Sęk w tym, że póki nie jest wdrażany konkretny program, nie wiadomo, czego nie wiadomo. Skutek jest taki, że choć wiele „wytwarzamy", efekty naszej pracy mogą nie być tymi najbardziej potrzebnymi. Inaczej mówiąc, nie mieliśmy dość zasobów, żeby jednocześnie udoskonalać i korygować komponenty operacyjne i na okrągło latać. Okres uziemienia po katastrofie pozwolił nadgonić zaległości. (…)

W pierwszej kolejności musiałem nauczyć się wiele o systemach w ich ówczesnym kształcie. Następnie szybko zaangażowałem się we wprowadzane na tamtym etapie modyfikacje – w szczególności te dotyczące systemów lądowania i wytracania prędkości. Z prostszych rzeczy mowa tu o oponach, kołach i hamulcach; potem mieliśmy system sterowania przednim podwoziem, który nigdy nie działał, jak należy. Udoskonalano go stopniowo, eliminując kolejne z tzw. punktów podatności na awarię. Są to miejsca i elementy zaprojektowane w taki sposób, że wystąpienie pojedynczego problemu

FOT. NASA

eprasa.pl 4b004544af

oznaczało brak opcji rezerwowej i usterka mogła się skończyć utratą panowania nad jadącą po pasie jednostką, a w efekcie – tragedią. Kolejnymi wyzwaniami były zdjęcie części obciążenia ze zbyt słabych hamulców oraz zredukowanie obciążeń przedniego koła. By wspomóc je w wytracaniu prędkości, opracowaliśmy spadochron hamujący. Okazał się on sporym wyzwaniem na poziomie zarówno operacyjnym, jak i projektowym.

Każda z grup w ramach działu operacyjnego wdrażała podobne poprawki – udoskonalano komputery, wymieniano zawory, modyfikowano konfigurację hydrauliki i niezliczone elementy okablowania w całym orbiterze. Wszystkie zespoły wykorzystały czas uziemienia na uporanie się z problemami, które istniały już wcześniej, ale fizycznie nie było kiedy się nad nimi pochylić. Nie próbuję w żadnym razie powiedzieć, że nasz orbiter został źle zaprojektowany lub spartaczony. Rzecz po prostu w tym, że ten mocno eksperymentalny, pionierski statek kosmiczny od pierwszych lotów testowych przeszedł wprost do „rutynowej" eksploatacji operacyjnej. Nie było po drodze szansy wprowadzić usprawnień opartych na wiedzy wyniesionej z próbnych lotów orbitalnych. Tragiczne jest to, że trzeba było katastrofy, żebyśmy taką szansę otrzymali. Gdy już jednak się to stało, dobrze wykorzystaliśmy czas.

Wszystkie jednostki latające przybierają na wadze wraz z rozwojem procesu projektowania.

Mój zespół, poza zajmowaniem się systemem hamującym, odpowiadał też za nowy system ratunkowy obejmujący: skafandry ciśnieniowe, spadochrony i tzw. ścieżkę ucieczki (odrzucany właz i prowadnicę zjazdową skierowaną w stronę lewego skrzydła). Ponieważ wszystkie te elementy były nowe, potrzebne były nowe procedury i wytyczne. Na tym nie koniec, bo byliśmy również odpowiedzialni za usprawnienia pomocniczych jednostek napędowych (APU) i hydrauliki. Każde wyzwanie mechaniczne łączyło się z modyfikacjami w procedurach i wytycznych. Byłoby zniewagą wobec innych zespołów systemowych powiedzieć, że byliśmy najbardziej zajęci, bo w tamtym czasie wszyscy nieustannie nad czymś pracowali. Nie przypominam sobie bardziej pracowitego okresu przez wszystkie lata mojego uczestnictwa w programie.

Zespół wciąż poszukiwał lepszych i bezpieczniejszych sposobów sprowadzenia promu na Ziemię i pomyślnego zakończenia misji.

Czas zawieszenia lotów poświęcono nie tylko na udoskonalanie systemów. Dział operacyjny postanowił wykorzystać go także na skorygowanie wszystkich wytycznych lotu. Przyjrzano się każdemu punktowi z osobna i wszędzie tam, gdzie była taka potrzeba, wprowadzano zmiany. Każdą modyfikację uzupełniano przy tym o pisemne uzasadnienie. W efekcie księga wytycznych stała się ponaddwukrotnie grubsza. Wszystko scalono z czasem w jeden, wypełniający cały segregator dokument złożony z piętnastocentymetrowego stosu kartek. Równolegle z rewizjami wytycznych postępował proces ponownej weryfikacji standardowych i niestandardowych procedur. Przeczesywaliśmy je punkt po punkcie, by nabrać pewności, że żadna nie zawiera niebezpiecznych luk. Kluczowe było dopilnowanie, aby wszystkie zmiany fizyczne znalazły odzwierciedlenie w procedurach operacyjnych i rozwiązywania problemów. (…)

Zespół, którego byłem członkiem, nieustannie poszukiwał lepszych i bezpieczniejszych sposobów sprowadzenia promu na Ziemię i pomyślnego zakończenia misji. W okresie poprzedzającym katastrofę Challengera doszło do kilku przypadków przegrzania hamulców, a raz czy dwa pękła nawet opona. W naszym światku wytracania prędkości wszystko było nieco niedoskalowane. To dlatego, że na etapie definiowania specyfikacji hamulców i innych komponentów masa orbitera miała być niższa. Wszystkie jednostki latające przybierają tymczasem na wadze wraz z rozwojem procesu projektowania. Na etapie dobierania rozmiarów elementów należy o tym pamiętać. W przypadku pojazdów wystrzeliwanych w kosmos masa jest parametrem absolutnie kluczowym. Pozostawione w wyjściowym rozmiarze opony oraz hamulce były po prostu za małe. Dlatego właśnie uzupełniliśmy system o spadochron pozwalający szybko wytracić prędkość na pasie. Hamulce musiały odtąd zmagać się ze znacznie mniejszą energią. Co ciekawe, spadochron hamujący był uwzględniony w pierwotnym, koncepcyjnym projekcie wahadłowca. W połowie lat 70. postanowiono jednak pozbyć się go w ramach redukcji masy jednostki. Przywrócenie go wymagało wielu testów projektowych, a także wdrożenia nowych wytycznych i procedur – by spadochron był wykorzystywany w sposób zoptymalizowany.

Prace operacyjno-projektowe nad spadochronem toczyły się w dużej mierze w zaawansowanych symulatorach, jak symulator inżynieryjny w Centrum Lotów Kosmicznych im. Johnsona czy symulator ruchu pionowego w ośrodku badawczym w Ames w Kalifornii. Setki pilotów (zarówno inżynierów, jak i astronautów) wylatało tysiące podejść w potężnym sześcioosiowym symulatorze w Ames, by mogły zostać opracowane techniki lądowania, które pozostawią największy margines bezpieczeństwa. Testowaliśmy przypadki zablokowanych hamulców, przebitych opon, nieoczekiwanych awarii spadochronu czy usterek przedniego podwozia. Wszystkie uzyskane poprzez symulacje dane znalazły odzwierciedlenie w procedurach i wytycznych, a te z kolei przełożyły się na kształt programu szkolenia dla kontrolerów i pilotów. Naprawdę fajnie było współtworzyć wtedy program. Każdego dnia mnóstwo się uczyliśmy, a przecież bycie zawalonym robotą to świetna rzecz, kiedy jest się młodym.

Frgmenty książki Paula Dye'a *Houston, lecimy!*, przeł. Stanisław Bończyk, Muza SA, Warszawa 2021

eprasa.pl 4b004544af

My płacimy, oni – nie

W połowie marca informowaliśmy w tym miejscu o piśmie ówczesnego dyrektora generalnego Andrzeja Papierza do dyrektorów departamentów i biur MSZ, by ci wstrzymali się z wdrażaniem nowej ustawy o służbie zagranicznej. Napisaliśmy też, że ma być ona nowelizowana pod nadzorem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. I jest nowelizowana! Pytamy zatem: kto jest za ten skandal odpowiedzialny? Na płaszczyźnie politycznej oczywiście minister Rau, wszak on tę ustawę pilotował. Teraz więc powinien ponieść odpowiedzialność polityczną, czyli podać się do dymisji lub zostać odwołany.

A poza nim? To nie tajemnica, że najważniejszym autorem ustawy jest wspomniany wyżej były dyrektor generalny. Ustawa wprowadza złe obyczaje: brak wymogu wykształcenia czy znajomości języków przez ambasadorów, ma też inne słabe rozwiązania. Autorzy nie policzyli jej kosztów i skłamali, że nie niesie skutków finansowych dla budżetu. Poświadczyli nieprawdę, oszukali Polskę – tak można to nazwać.

A efektem jest chociażby pełne paniki szukanie oszczędności i masowe wyprzedawanie samochodów będących na wyposażeniu ambasad, bo trzeba oszczędzać na samochodach i kierowcach.

Odpowiedzialność Andrzeja Papierza nie ulega żadnej wątpliwości. I nie powinien być za ten błąd nagradzany stanowiskiem szefa służby zagranicznej, ambasadora czy konsula generalnego, nawet w najdalszym zakątku globu. Powinien zostać zwolniony dyscyplinarnie. Lub bardziej elegancko – odejść na własną prośbę. Pytanie, czy to zrobi. Nie, bo gdzie znajdzie robotę, w której będzie z zawodu dyrektorem, ambasadorem czy konsulem generalnym? I tak autorzy nowelizacji zaplątali się w gumę od własnych gaci. Przepraszamy za kolokwializm, ale tak mawiał czterokrotny ambasador III RP o wzajemnie wykluczających się poleceniach z centrali.

I jeszcze ostrzeżenie dla przyszłych i obecnych pracowników MSZ. Zasięgnęliśmy w MON języka na temat nowego dyrektora Biura Spraw Osobowych, Radosława Petermana. Drodzy MSZ-owcy! Niech was nie uspokaja posiadanie dostępu do informacji niejawnych, nawet z klauzulą „tajne". Niech was nie uspokaja fakt, że kilka razy składaliście oświadczenia lustracyjne. Nic to wam nie da. Nowego dyrektora będą interesować głównie wasze matki, ojcowie, rodzeństwo czy inni krewni. Jeśli pan Peterman znajdzie w IPN lub w innych archiwach choć ślad ich pracy dla służb mundurowych czy cywilnych, również w III RP, nie tylko w PRL, wasz los jako pracowników służby zagranicznej będzie przesądzony.

Przesądzony jest także los Klaudiusza Tchórzewskiego. Kilkanaście dni temu w intranecie ukazało się ogłoszenie o wolnym stanowisku zastępcy ambasadora w Dublinie. Gratulujemy, Panie Klaudiuszu! Po dwóch latach pracy w MSZ – zastępca ambasadora! Aplikanci czekają na takie stanowisko do drugiej, a zwykle trzeciej placówki.

Zakończmy cytatem z filmu „Rejs" Marka Piwowskiego: „Pan płaci, pani płaci, my płacimy". Gosiewska, Rau, Papierz, Peterman, Tchórzewski nie płacą nigdy.

Attaché

Tysiące Marokańczyków przekroczyło hiszpańsko-marokańską granicę w Ceucie po rozluźnieniu kontroli z marokańskiej strony.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 4b004544af

JOLKA

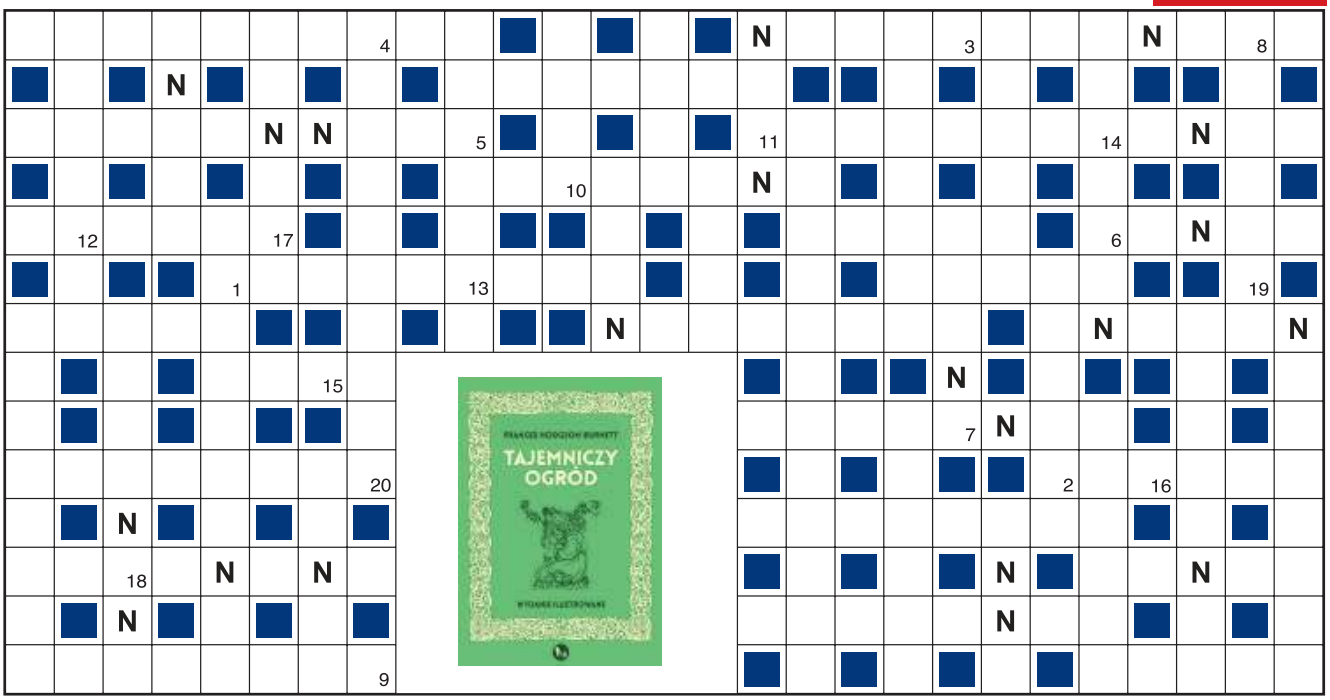

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- ogrodowa odmiana zawilca
- stróż albo Pański
- imię pierwszej żony Zygmunta III Wazy
- rowek lub niezbyt głęboka zmarszczka
- wsobny – łączenie w pary osobników spokrewnionych
- wykonana sposobem pończoszniczym to trykot
- imię piłkarza Wilimowskiego
- węglowodór nasycony, bezbarwny, palny gaz
- pełny to 40 godzin pracy w tygodniu
- wafel z ciasta naleśnikowego
- ciężarówka z Tatarstanu
- opakowanie soczku
- zamiast aktora w niebezpiecznych scenach
- podkładka pod piętę
- Pawlikowska-Jasnorzewska z domu
- kruche, słonawe ciastka
- główny księgowy na uczelni
- dba tylko o korzyści i wygody życiowe
- niestaranne, nieudolne rysunki lub pismo
- można nim zostać dzięki teleturniejowi z Hubertem Urbańskim
- zażywany przez uzależnionego
- gaz szlachetny i świetlna reklama
- biuro, gdzie można uwierzytelnić dokumenty
- postępowość, świeżość, nowatorstwo
- do powieszenia w rameczce lub ilustracyjka
- goryle przy oficjelu
- dobiegający kroków, burzy
- zespół drzewc do rozpinania żagli
- lekkoatleta jak Janusz Sidło
- teoretycznych uzasadnień dostarczył mu Joseph Arthur de Gobineau
- regularny dochód z kapitału
- rarytas, unikat
- imię autora „Zamku kaniowskiego”, a nazwisko aktora
- niejeden opiewa miłość Petrarki do Laury
- zabiegi, by coś osiągnąć
- a nad nią szumiał gaj, zielony gaj
- budynek z kramami i składami kupców, krakowski zabytek
- pod parterem, na mieszkanie lub warsztat
- czule o potomku
- gaszone przed snem
- płytki na drugie danie
- jednego aktora to monodram
- przyśpieszone po biegu
- ojczyzna Magdy Szabó
- nazwisko aktora i sióstr tenisistek
- rozpoczęcie rozgrywki karcianej
- opłata za zostanie członkiem, kursantem
- konflikt, sprzeczka
- chiński z Bawołem, Wężem, Małpą
- zrzeszeni np. w ZNP

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1014”. Do rozlosowania książki „Tajemniczy ogród” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 maja 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1011” z nr. 19: *Normalność nie trwa długo.*
Nagrody otrzymują: Bronisława Balcarek z Cieszyna, Bogusław Nowak z Kłodawy, Zbigniew Zielina z Gdyni.

eprasa.pl 4b004544af

PENETRACJE

ANDRZEJ SKWORZ, REDAKTOR NACZELNY

Bratkowski był dziennikarzem *per se*. Z niebywałą ciekawością świata, łatwością przyswajania nowych idei i potrzebą dzielenia się rozwiązaniami. Był gejzerem pomysłów, które potem realizował. Jego książki w PRL były podręcznikami dla takich jak on społeczników. Dla mnie jego dziełem życia było Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość", raport naukowców, intelektualistów i praktyków, którzy wymyślali nową Polskę w czasach, gdy jedni bali się własnego cienia, a inni chcieli iść z koktajlami Mołotowa na ruskie czołgi. On wiedział, że lepiej używać mózgu.

HELENA DATNER, HISTORYCZKA

Do 1946 r. ojciec spisywał w Białymstoku relacje ocalałych Żydów. Uderzyło mnie, że jest dużo zeznań dotyczących ratowania: Polacy opowiadają, kogo uratowali z imienia i nazwiska, a Żydzi podają nazwiska ratujących. Tyle tylko, że znakomita większość tych historii, zarówno podawanych przez Polaków, jak i Żydów, kończyła się tragicznie. Byli oni – i Polacy, i Żydzi – denuncjowani przez polskich sąsiadów. Dramatyczne są opisy mordów powojennych. Widać czystą, bezinteresowną zemstę na tych, którzy pomagali Żydom.

WOJCIECH ZEMEK, WIELOLETNI SEKRETARZ STANISŁAWA LEMA

Lem ostrzegał przed wirusami parokrotnie, podobnie jak przed skutkami globalizacji. Pisał o pasażerskich samolotach ponaddźwiękowych. Przekonywał, że one nie mają żadnego uzasadnienia, i to się potwierdzało. Przewidział smutny koniec projektu Concorde. Był też bardzo sceptyczny, jeśli chodzi o podróże międzygwiezdne. Słysząc te plany lotu na Marsa, popukałby się w głowę. Twierdził, że na pewno są ekonomicznie nieopłacalne. A ponadto uważał, że organizm człowieka jest kompletnie nieprzystosowany do podróży gwiezdnych. Jesteśmy nieodporni na promieniowanie kosmiczne, nie wiadomo, jak zadziała na nas długotrwały stan nieważkości.

RADEK RAK, PISARZ

Przebrnąłem przez raporty austriackiej policji z przesłuchań chłopów biorących udział w rabacji. Z tych zeznań wyłania się potworny obraz zbrodni, których padali ofiarami przez lata, co w końcu doprowadziło ich do ostateczności. Ograbianie ich z dosłownie każdego grosza. Regularne gwałty na chłopkach. Niewyobrażalnie okrutne kary fizyczne za najdrobniejsze przewinienia. Szela spędził siedem tygodni w dybach tylko dlatego, że pojechał do austriackich władz ze skargą na pana. A statuty józefińskie mówiły, że chłopa można trzymać w dybach najwyżej przez siedem dni.

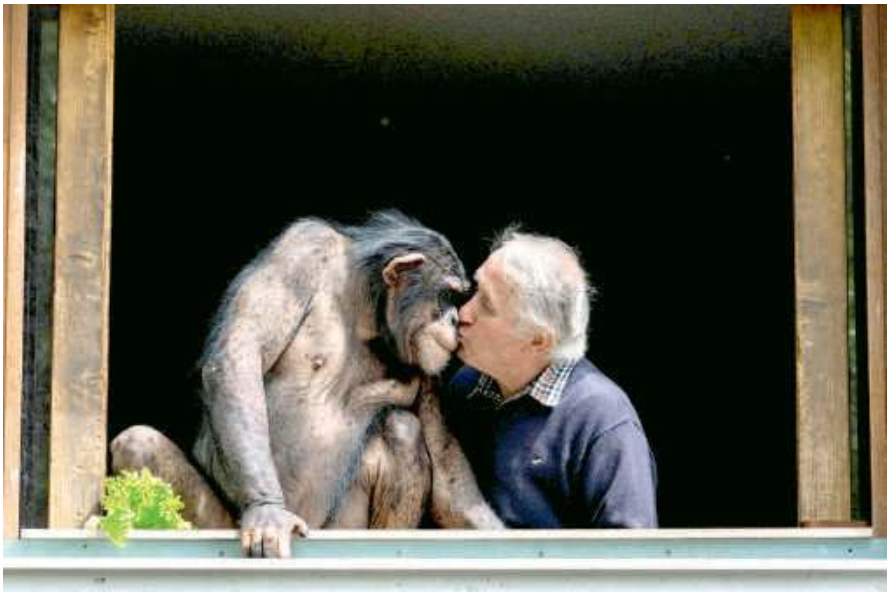

Pierre Thivillon, założyciel ogrodu zoologicznego w Saint-Martin-la-Plaine, tuż przed ponownym otwarciem zoo po trzeciej fali pandemii.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

MARIUSZ CIEŚLIK O POPKULTURZE
Trzeba to w końcu powiedzieć. Popkultura czasów PRL była dużo ciekawsza i stała na wyższym poziomie niż współczesna.

JAN KLATA O WICEPREMIERZE PIOTRZE GLIŃSKIM
Zapewnił mi pół roku bezrobocia i refleksji.

JAROSŁAW KURSKI O ANDRZEJU DUDZIE
Już niedługo nikomu nie będzie pan potrzebny, a już najmniej swoim kolegom, którzy podziwiają pana równie mocno jak ja.

JANUSZ LEON WIŚNIEWSKI O PISANIU KSIĄŻEK Z KOBIETAMI
Z kobietami dobrze się pracuje. Nadają książkom swój styl i emocjonalność. Poza tym nigdy nie wiadomo, co napiszą.

SŁAWOMIR MIZERSKI O PRZEMYSŁAWIE CZARNKU
PiS i minister najchętniej zwiększyliby dzietność polskich rodzin przy minimalnym udziale seksu.

JOANNA TRZEPIECIŃSKA O SOBIE
Byłam dobrze ułożoną panienką. Kolanka trzymałam razem i nie śmiałam się zbyt głośno, bo damy się głośno nie śmieją.

AGNIESZKA CEGIELSKA O MARZENIACH
Marzę o zdrowiu. Gdy jestem zdrowa, mam moc. Gdy mam moc, mogę działać.

MAJA OSTASZEWSKA O MIĘSIE
Całe życie nie jem mięsa, byłam dwa razy w ciąży, każde dziecko karmiłam piersią ponad rok i nigdy nie miałam anemii.

HALINA MLYNKOVA O TRUDNOŚCIACH
Mam taką zdolność, że kiedy jest najtrudniej, tak się mobilizuję, że idę jak czołg.

ELŻBIETA ROMANOWSKA O ROZMIARACH
Większość stylistów nie radzi sobie z ubieraniem osób w rozmiarze *plus size*. Jeśli są ciuchy dla XL, są to bezkształtne worki w nijakich kolorach.

EWA KASPRZYK O NOWYCH ROLACH
Już nie zostanę Ofelią, mogę ciągnąć raczej w stronę Lady Makbet.

eprasa.pl 4b004544af

MEMY BEZ ŚCIEMY

Fejk z ludzką twarzą

Wśród amerykańskich antyszczepionkowców, z których wielu dotąd negowało konieczność noszenia maseczek, rośnie popularność tego środka ochrony osobistej. Wszystko dzięki nowemu fake newsowi, zgodnie z którym osoby zaszczepione przeciw COVID-19 mogą „zarazić" szczepionką osoby, którym jej nie podano. Szczególnie narażone mają być kobiety, którym grożą nieregularne miesiączki, poronienia i niepłodność. Przewija się także postulat, by szczepionkowcy nosili specjalne oznaczenia, aby było wiadomo, do kogo się nie zbliżać. „Każdemu mądremu stempelek na łeb", mógłby podsumować Okudżawa.

Dziecko + TikTok = pożar

W Kraju Permskim na zachodzie Rosji goniące za sławą nastolatki nieumyślnie puściły z dymem całe gospodarstwo wraz z zabudowaniami. Dziewczęta nagrywały filmik na TikToka i chciały uczynić go bardziej spektakularnym, dlatego podpaliły pobliskie sterty słomy. Oczywiście przestały panować nad ogniem i uciekły w popłochu, a interweniującym strażakom nie udało się opanować żywiołu, który strawił całą farmę. Radzimy uważać na młodych ludzi marzących o internetowym rozgłosie – są jak tikające bomby zegarowe.

Dadzą popalić trucicielom

W Amsterdamie wchodzi w życie zakaz promowania m.in. aut z silnikiem Diesla oraz tanich lotów. Początkowo takie reklamy nie będą mogły się pojawiać na stacjach metra, docelowo – na terenie całego miasta. Pomysłodawcą nowych regulacji jest organizacja Reclame Fossielvrij, która walczy o ogólnokrajowy zakaz reklamowania produktów bazujących na paliwach kopalnych. Te jej zdaniem należy traktować podobnie jak papierosy. – Potrzeba przeciwdziałania zmianom klimatu powinna być widoczna na ulicach, a więc również w reklamach zewnętrznych – skomentowała Marieke van Doorninck, szefowa miejskiej rady ds. środowiska. Diesle równie szkodliwe dla społeczeństwa jak niegdyś radomskie? O Holender, to daje do myślenia!

Co ma zarabiać, nie utonie

W chińskiej prowincji Syczuan powstaje wierna kopia najsłynniejszego transatlantyku. Nowy „Titanic" stanie w parku rozrywki, a turyści będą mogli spędzić w nim noc. Głównego inwestora zainspirował filmowy przebój z 1997 r., niezwykle popularny w Państwie Środka. Su Shaojun dodaje, że do sfinansowania budowy 260-metrowego duplikatu zmotywowało go pragnienie unieśmiertelnienia wspomnień o słynnej łajbie. – Mam nadzieję, że ten statek będzie tu stał za 100 lub 200 lat – powiedział. Góry lodowe będą topniały coraz szybciej, więc chyba jest na to spora szansa…

I ty zostaniesz Michałkiem Aniołkiem

Mamy więcej dobrych wiadomości dla amatorów rekonstrukcji: ponad 2 tys. instytucji kultury, w tym

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

eprasa.pl 4b004544af

Natalia Piguła w natarciu. Niestety, jej husarska szarża podczas konkursu Miss Universe nie zakończyła się wiktorią. Może gdyby finał odbywał się nie w Miami, ale w Wiedniu…

najważniejsze muzea i galerie sztuki, udostępniło słynne rzeźby w wersji do samodzielnego wydrukowania. We współpracy z organizacją Scan the World i wielbicielami sztuki stworzyły bazę 18 tys. dzieł z różnych epok, ale także elementów architektury i przedmiotów codziennego użytku. Zostały one dokładnie zeskanowane, zmapowane, a następnie przystosowane do odtworzenia za pomocą drukarki 3D. Trójwymiarowe modele można pobrać za darmo, wraz z informacjami o oryginalnych wymiarach, objętości wkładu niezbędnego do wykonania wydruku i czasie, jaki zajmie wykonanie obiektu przy użyciu danego urządzenia. I dobrze, bo nic tak nie upiększa meblościanki jak mały posąg Dawida czy Nike z Samotraki.

W tyłkach się poprzewracało

Amerykańskie Towarzystwo Chirurgów Plastycznych w raporcie za 2020 r. ujawniło, że w okresie pandemii o 22% wzrosła popularność implantów pośladków, a jednocześnie aż o 60% zmniejszyło się zainteresowanie przeszczepami włosów. Do pierwszego trendu mogło się przyczynić przekonanie o spłaszczeniu tylnej części ciała w związku z bardziej siedzącym trybem życia, ale jak wówczas wytłumaczyć spadek o 22% liczby zabiegów jej powiększenia poprzez przeszczep własnego tłuszczu? Ostrzegamy przed próbami samodzielnej analizy powyższego paradoksu – można od tego stracić czuprynę.

FOT. ANONIMOWY INTERNAUTA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), MATERIAŁY PRASOWE (2)

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 4b004544af

Rzeźba na nagrobku Krzysztofa Kieślowskiego, 1997

patronat **PRZEGLĄDU**

Symbole życia po śmierci
Rzeźba komemoratywna
Krzysztofa M. Bednarskiego

Współcześnie autorska rzeźba funeralna jest rzadkością. Krzysztof M. Bednarski potrafi przenieść sztukę w kontekst specyficznego miejsca eksponowania, jakim jest cmentarz. Odrzuca przesadnie sentymentalne tradycyjne symbole i stwarza nowe, odwołujące się do osobowości zmarłego. Ten rozdział jego twórczości otwiera „Thanatos polski", upamiętnienie zmarłych członków Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego. Od 1992 r. Bednarski wykonał kilkanaście realizacji rzeźbiarskich, m.in. dla Krzysztofa Kieślowskiego, Ryszarda Cieślaka, Wojciecha Fangora, Krzysztofa Krauzego i Tomasza Stańki. Każda jest symbolicznym portretem zmarłego, syntezą jego kreatywności. Wystawa dedykowana jest dwóm niedawno zmarłym wybitnym twórcom – Krzysztofowi Pendereckiemu i Adamowi Zagajewskiemu.

Galeria Alfa, Muzeum Sztuki Współczesnej
w Krakowie MOCAK
ul. Lipowa 4
do 13 marca 2022 r.

Rzeźba na nagrobku Wojciecha Fangora, 2017

Thanatos polski, sfotografowany w miejscu powstania, 1984

Rzeźba na grobie rodzinnym Bednarskich, 2007

Wizualizacja sarkofagu Krzysztofa Pendereckiego, 2021

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b004544af

TEATR CAPITOL

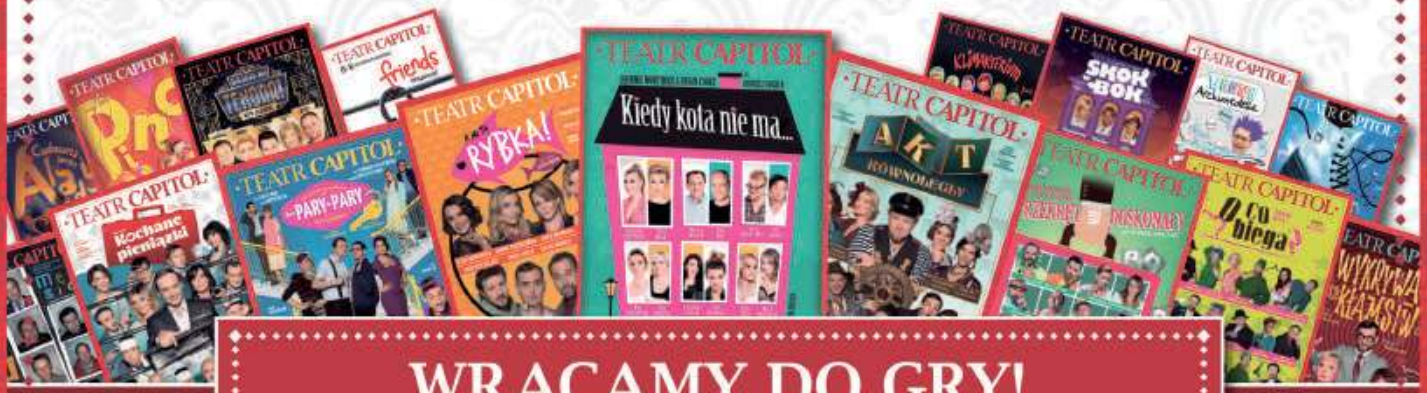

WRACAMY DO GRY!

Zapraszamy na sztuki z naszego repertuaru!

GRAMY BEZPIECZNIE • KUP BILET • www.teatrcapitol.pl

DZIEŃ DZIECKA

Świętujcie razem z nami w teatrze!

Cudowna lampa Aladyna	Pinokio	#kopciuszek
29 maja, g.11:00	30 maja, g.11:00	5 czerwca, g.11:00

FUNDUSZ WSPARCIA KULTURY

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 4b004544af

MAZOWIECKI
TEATR MUZYCZNY
IM. JANA KIEPURY

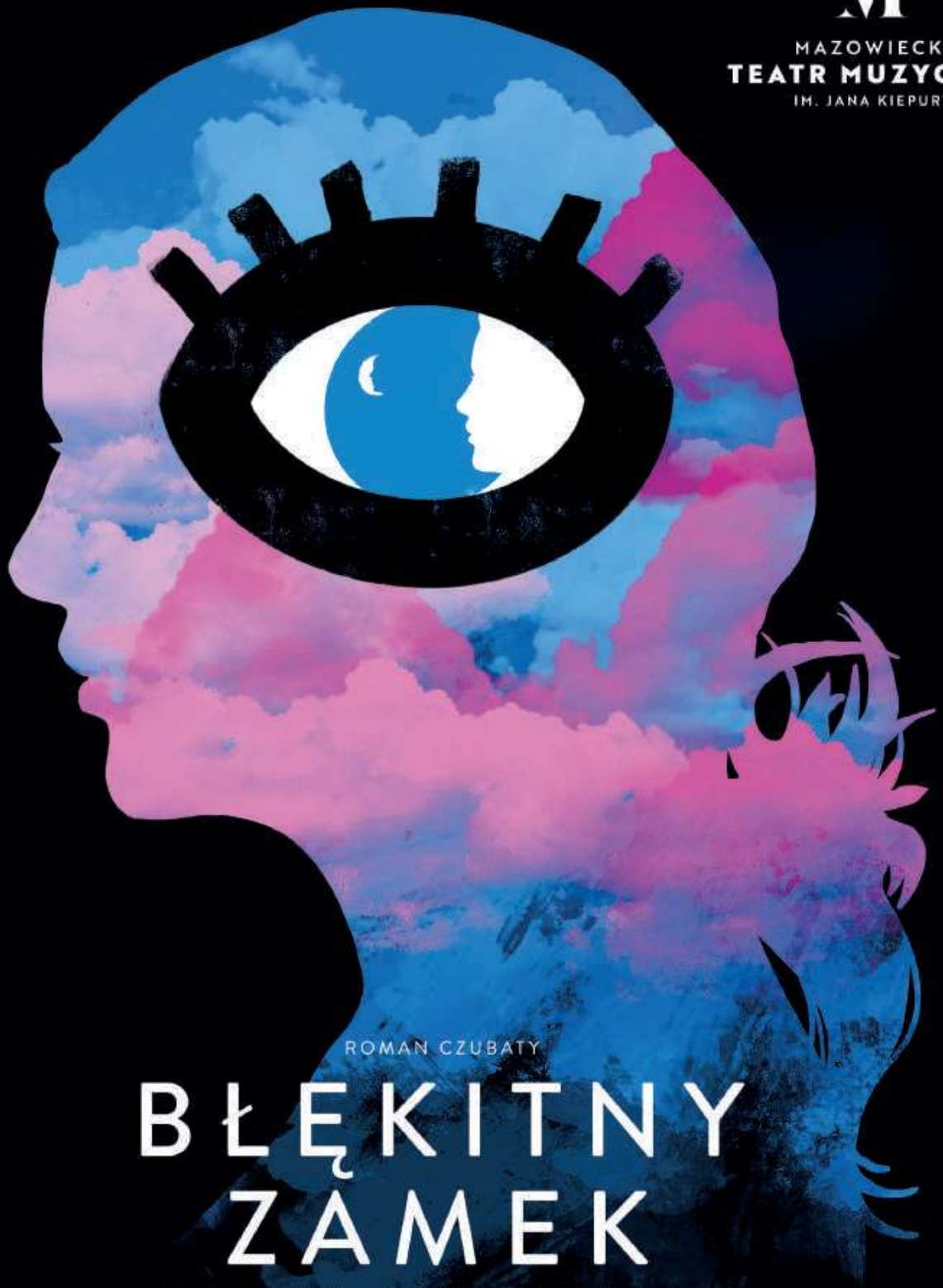

ROMAN CZUBATY

BŁĘKITNY ZAMEK

LIBRETTO: KRYSTYNA ŚLĄSKA, BARBARA WACHOWICZ

PREMIERA 4, 5 CZERWCA 2021 R.

MAZOWIECKI TEATR MUZYCZNY IM. JANA KIEPURY

WWW.MTEATR.PL

ORGANIZATOR: MAZOWIECKI TEATR MUZYCZNY IM. JANA KIEPURY

PATRON HONOROWY: Mazowsze. serce Polski; Marszałek Województwa Mazowieckiego

PARTNER: ruch muzyczny

PATRONAT MEDIALNY: Presto; Tygodnik Przegląd; TVP Classic

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA

LICENCJA NA WYSTAWIENIE UTWORU ZOSTAŁA WYDANA PRZEZ STOWARZYSZENIE AUTORÓW ZAiKS